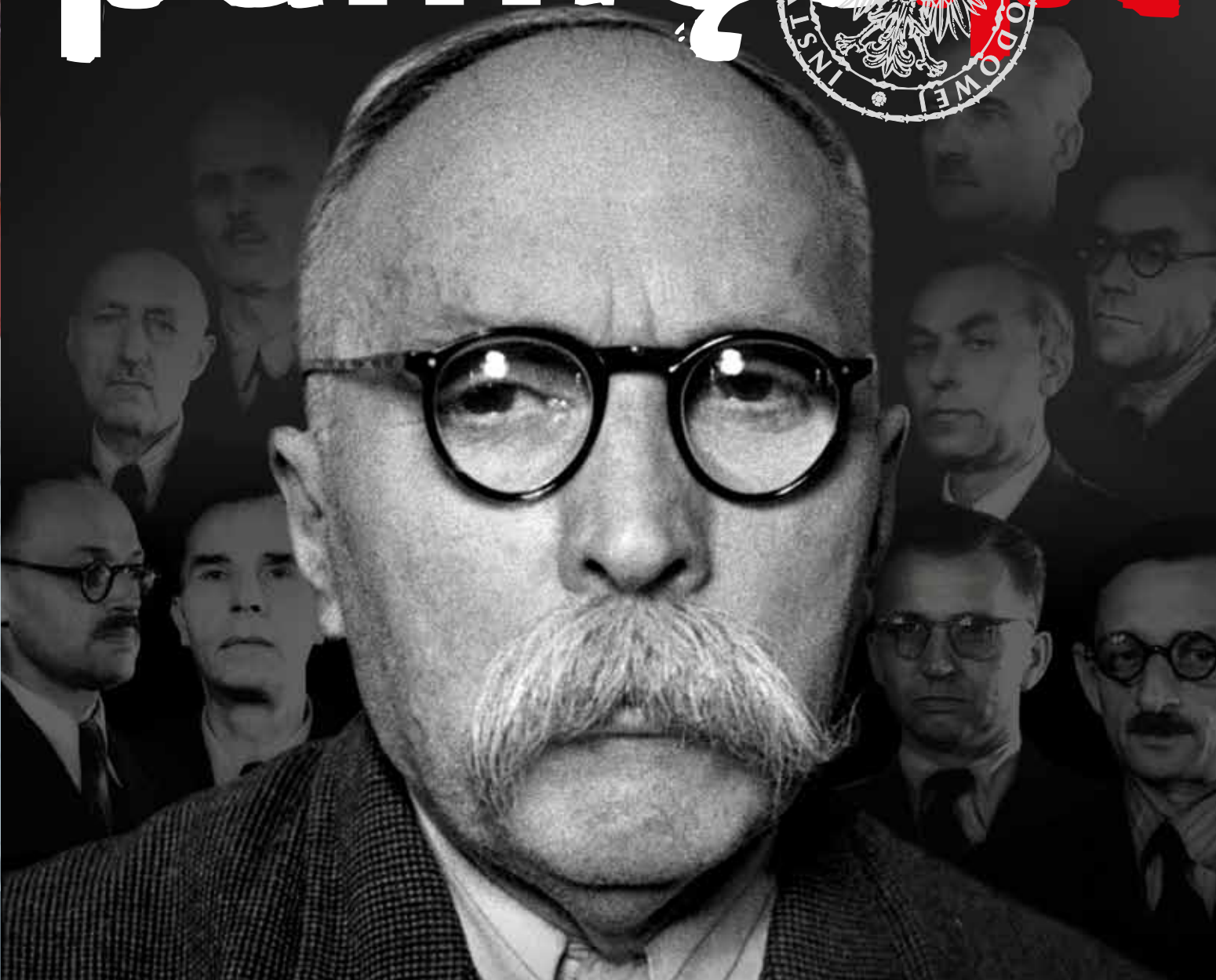


BIULETYN IPN

nr 6 (39)/2015

pamięć **PL**



NKWD przesłuchuje Szesnastu

Kazimierz Pużak: „O żadną łaskę prosił nie będę”

Pierwszy transport do KL Auschwitz

Cena 6 zł (5% VAT)

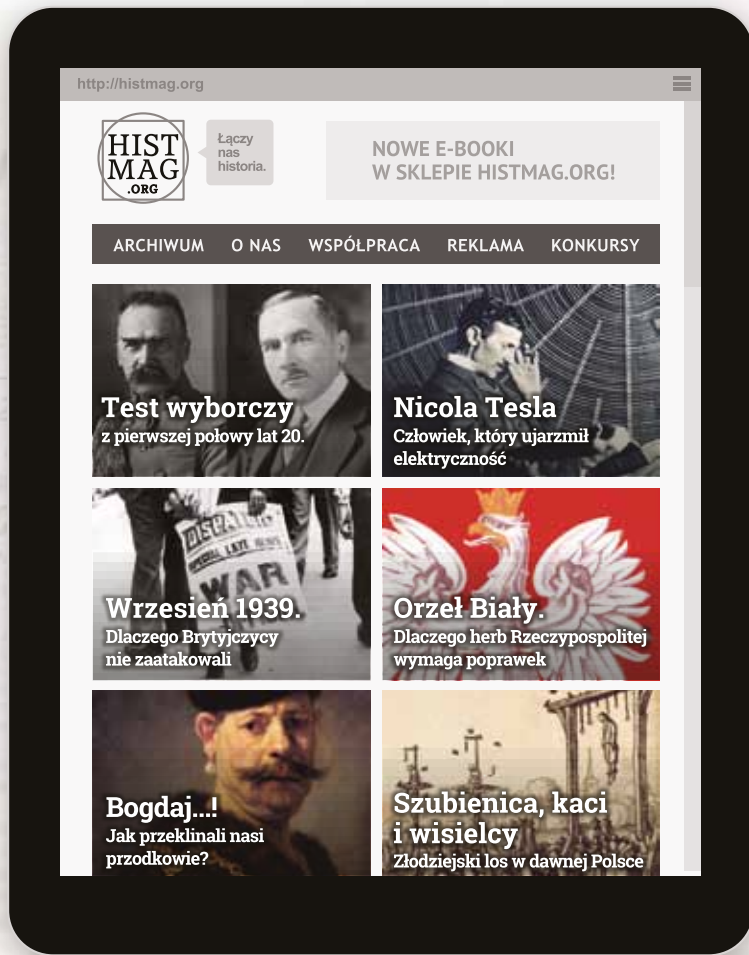
ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.

Dodatek specjalny:
płyty *Ostatnie słowo „S”*
oraz *Krystyny Kuty 25 lat wolności*
i *Z kroniki Auschwitz. Orkiestra*





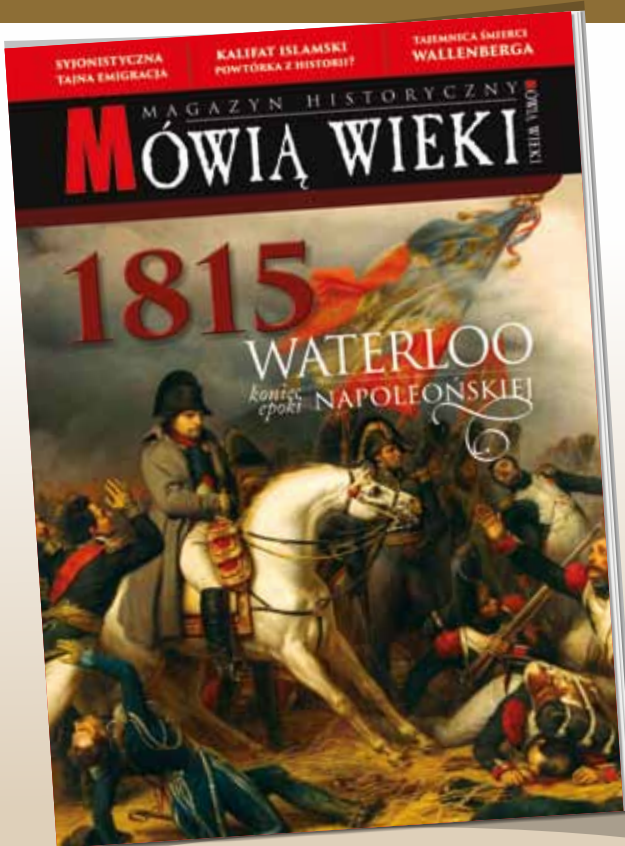
Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 57 lat!

**TEMAT MIESIĄCA: WATERLOO 1815.
KONIEC EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ**

- 100 dni Napoleona
- Waterloo. Ostatni bój Napoleona
- Rothschild pod Waterloo?

PONADTO:

- Syjonistyczna tajna imigracja
- Tajemnica śmierci Raoula Wallenberga
- Kalifat islamski. Powtórka z historii?

oraz recenzje i dodatek edukacyjny „Mówią wieki w szkole”

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellony: ksiegarnia.bellona.pl.
Zamów prenumeratę: kolportaz@bellona.pl

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki

2 AKTUALNOŚCI IPN

4 KALENDARIUM

6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

8 Krzysztof Gottesman, **A podobno Polak, Rusek i Niemiec...**

STOP-KLATKA

10 Tomasz Stempowski, **Pięć lat w Szwajcarii**

Z ARCHIWUM IPN

14 Grzegorz Majchrzak, **Złota uciekinierka pod lupą SB**

WYWIAD

16 **Pamiętać i żyć** – rozmowa z Martinem Pollackiem, pisarzem i tłumaczem literatury polskiej

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

21 Jacek Jaworski, **Polacy w Finlandii: pierwsi przeciw bolszewikom**25 Jacek Sawicki, **Hermann Baltruschat: opowieść kata**29 Szymon Kowalski, **Transport dwudziestolatek**34 Wojciech Frazik, Maciej Korcuć, **Gra obliczona na wyczerpanie**39 Maciej Krawczyk, **„Po dobrowoli się stąd nie ruszę”**43 Inka Słodkowska, **Pospolite ruszenie demokracji**

PAMIĘTAM JAK DZIŚ...

47 **Moja droga do Auschwitz** – relacja Kazimierza Albina50 **Zesłanie** – relacja Stefanii Szantyr-Powolnej

Fot. FilMOTEKA Narodowa



Fot. ze zbiorów Michała Mackiewicza



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego



Fot. AIPN



Fot. ze zbiorów Martyna Polacka

Rys. Krzysztof Komaniński



PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

54 Jerzy Eisler, **Yesterday**

Z BRONIĄ W RĘKU

57 Michał Mackiewicz, **Arsenał III powstania śląskiego**

ORZEŁ BIAŁY

60 Tomasz Zawistowski, **Orły kawalerii II Brygady Legionów Polskich**

MIEJSCA Z HISTORIĄ

64 Katarzyna Dzierzbicka, **„Kusy”: od Ołtarzewa do Palmir**

EDUKACJA HISTORYCZNA

69 Katarzyna Stec, **Muzeum Auschwitz: od ciekawości do empatii**

71 RECENZJE

73 BIBLIOTEKA IPN

Niezłomność to cecha, która bardzo często pojawia się w charakterystykach bohaterów narodowych, patriotów. Podziwiamy ich za siłę woli, która pozwala im trwać przy własnych przekonaniach mimo przeciwności losu, pokus i zagrożenia. Żołnierzy Wyklętych nazywamy także Niezłomnymi (osobiście wolę to określenie – wszak wyklęci byli przez komunę). Nie tylko jednak walczący z bronią w rękę wykazywali niezłomną postawę w obliczu nowego okupanta i narzuconej przez niego w 1945 roku komunistycznej władzy. W rocznicę procesu Szesnastu, w którym sowiecki trybunał bezprawnie sądził przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, Maciej Krawczyk przypomina sylwetkę Kazimierza Pużaka, bohatera niezłomnego, który nie uległ ani terrorowi Sowieców, ani prośbom bliskich i współpracowników – do końca pozostał wierny swym przekonaniom i do końca nie opuścił zniewolonego kraju. Wraz z pozostałą piętnastką uprowadzonych przywódców Polskiego Państwa Podziemnego przeszedł kazamaty Łubianki i haniebny, bezprawny proces. O metodach „śledczych” NKWD stosowanych wobec Szesnastu piszą Wojciech Frazik i Maciej Korkuć.

W czerwcu 1940 roku pojawiła się jedna z najczarniejszych plam w dziejach ludzkości – Niemcy uruchomili obóz w pobliżu Oświęcimia. Historię pierwszego transportu opisuje Szymon Kowalski, a jego opowieść uzupełnia relacja Kazimierza Albina, jednego z pierwszych więźniów, którzy trafili do fabryki śmierci, ale mimo to udało im się przeżyć.

W numerze pamiętamy też o innych czerwcowych rocznicach: Katarzyna Dzierzbicka opowiada o miejscach związanych z Januszem Kusocińskim – wybitnym lekkoatletą zamordowanym przez Niemców w Palmirach w 1940 roku, a Inka Słodkowska pisze o fenomenie „demokratycznego pospolitego ruszenia”, czyli Komitetach Obywatelskich, bez których wybory w 1989 roku mogły wypaść zupełnie inaczej.

Do numeru dołączyliśmy aż dwie płyty: pierwsza zawiera zapis z posiedzenia Komitetu Obywatelskiego sprzed niemal dokładnie 25 lat, druga zaś dwa filmy dokumentalne: historię życia Krystyny Kuty – działaczki opozycyjnej – w Polsce już wolnej od komunizmu oraz część cyklu *Kronika Auschwitz*.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski

■ Trwa szósta edycja konkursu „Sprzączki i guziki z orzelkiem ze rdzy...”, skierowanego do młodzieży gimnazjalnej i ponadgimnazjalnej. Zadaniem uczestników jest stworzenie karty z albumu poświęconej wybranej ofierze Zbrodni Katyńskiej. Na laureatów czeka atrakcyjna nagroda – wyjazd edukacyjny szlakiem walk 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Podróż zostanie zorganizowana w trzecim lub czwartym kwartale tego roku. Organizatorzy czekają na prace konkursowe jeszcze tylko **do 22 czerwca**. Szczegółowy regulamin jest dostępny na stronie www.pamiec.pl/sprzaczki. Dodatkowych informacji udziela Karol Wislocki (karol.wislocki@ipn.gov.pl).



■ Z początkiem lipca rusza ósma edycja konkursu „Książka Historyczna Roku” o nagrodę im. Oskara Haleckiego. W konkursie, organizowanym przez Instytut Pamięci Narodowej we współpracy z Polskim Radiem i Telewizją Polską, mogą brać udział książki i e-booki wydane po raz pierwszy między 1 stycznia 2014 a 30 czerwca 2015 roku, tematycznie związane z historią Polski i Polaków w XX wieku. Jak co roku nagrody jury i czytelników zostaną przyznane w dwóch kategoriach – książek naukowych i popularnonaukowych. Więcej szczegółów na temat konkursu i zasad zgłaszania książek będzie można znaleźć na początku lipca na stronie www.ksiazkahistorycznaroku.pl oraz na stronie www.ipn.gov.pl w zakładce Konkursy i nagrody.



pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski, dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki, dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski, dr hab. Joanna Wojdon, dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący), dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyzewski, dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman, dr Joanna Hytrek-Hryciuk, Agnieszka Jaczyńska, dr Konrad Rokicki, dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka, dr Magdalena Semczyszyn, Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja: Andrzej Brzozowski (redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98; e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl
tel. 22 581 88 19

Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński, Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b, Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.
ul. gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

■ Już po raz czternasty IPN przyznał nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej”. Uroczystość wręczenia statuetek odbyła się 22 maja na Zamku Królewskim w Warszawie. Nagroda, ustanowiona w 2002 roku z inicjatywy dr. hab. Janusza Kurtyki, późniejszego prezesa IPN, jest przyznawana instytucjom, organizacjom społecznym i osobom fizycznym za szczególnie aktywny wkład w upamiętnienie historii Narodu Polskiego w latach 1939–1989 oraz za działalność publiczną zbieżną z ustawowymi celami Instytutu Pamięci Narodowej.



Fot. Maciej Foks

TEGOROCZNI LAUREACI TO:

Fot. Ireneusz Sobieszczuk



Janusz Krupski (pośmiertnie) – absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w PRL działacz opozycji antykomunistycznej, współzałożyciel i redaktor niezależnego pisma „Spotkania”. W stanie wojennym ukrywał się. Jesienią 1982 roku został aresztowany i internowany. Kilka miesięcy po wyjściu na wolność został uprowadzony przez

SB, wywieziony do Puszczy Kampinoskiej i obłany żrącą substancją. W III RP kontynuował działalność wydawniczą. Zasiadał jako ekspert w sejmowej komisji do zbadania skutków stanu wojennego oraz w Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej. W latach 2000–2006 był wiceprezesem Instytutu Pamięci Narodowej, a od 2006 roku kierownikiem Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Zginął w katastrofie smoleńskiej. Został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Wspomnienie o Januszu Krupskim zamieściliśmy w numerze 4/2015 „Pamięci.pl”.

Fot. Maciej Foks



Juliusz Kulesza – porucznik Wojska Polskiego, żołnierz Armii Krajowej ps. „Julek”, uczestnik Powstania Warszawskiego, odznaczony Krzyżem Walecznych. Po wojnie ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Przez ponad 30 lat projektował grafikę użytkową dla wydawnictw. U schyłku lat siedemdziesiątych zajął się historią okupacji i Powstania Warszawskiego. Jest autorem kilkunastu książek poświęconych tej tematyce, m.in. *Z tasiemką na czolgi*, *Przeciw konfidentom i czolgom* (wspólnie z Robertem Bieleckim) i *Starówka. Warszawskie Termopile 1944*.

Fot. Maciej Foks



Kazimierz Piechowski – jeden z pierwszych więźniów obozu koncentracyjnego Auschwitz (nr 918). W 1942 roku – wraz z trzema towarzyszami niedoli – podjął udaną próbę ucieczki. Był żołnierzem Armii Krajowej. Po wojnie został aresztowany przez UB i skazany na 10 lat więzienia. Zwolniony po siedmiu latach, uzyskał tytuł inżyniera i pracował w Stoczni Gdańskiej. Swoje wspomnienia obozowe zamieścił w wydanej w 2003 roku książce *Byłem numerem... Świadectwa z Auschwitz*. Jest także bohaterem fabularyzowanego dokumentu *Uciekinier* (2006). Do dziś stara się

przekazywać wiedzę o Auschwitz. Obszerny wywiad z Kazimierzem Piechowskim opublikowaliśmy w numerze 6/2012 „Pamięci.pl”.

Zofia Pilecka-Optułowicz i Andrzej Pilecki – dzieci rtm. Witolda Pileckiego (1901–



Fot. Piotr Gajewski

–1948), dobrowolnego więźnia Auschwitz, powstańca warszawskiego, bohatera Polskiego Państwa Podziemnego i powojennej konspiracji niepodległościowej, straconego przez władze komunistyczne i bezimiennie pogrzebanego. Rodzeństwo Pileckich wciąż poszukuje miejsca pochówku ojca. W Polsce Ludowej rodzina była szkanowana. Dopiero w 1990 roku wyrok na rtm. Witolda Pileckiego został unieważniony, do czego przyczyniły się m.in. starania jego dzieci. Oboje od lat angażują się także na rzecz należytego upamiętnienia ojca. Z dobrym skutkiem. Imię Witolda Pileckiego nosi już prawie trzydzieści szkół, liczne skwery i ulice, drużyny i chorągwie harcerek. IPN poświęcił mu album *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948*, wystawę pod tym samym tytułem i stronę internetową www.pilecki.ipn.gov.pl. Wywiad z Zofią Pilecką-Optułowicz zamieściliśmy w numerze 5/2015 „Pamięci.pl”.

Muzeum Polskie w Rapperswilu – jedna z najważniejszych i najstarszych instytucji zachowujących i promujących kulturę polską poza granicami kraju. Powstało w 1870 roku w odremontowanym zamku nad Jezioro-



Fot. MP w Rapperswilu

rum Juryskim. Na przełomie XIX i XX wieku mieściła się tu największa biblioteka emigracyjna. Po ponownym otwarciu w roku 1975 muzeum i ogniskujące się wokół niego życie kulturalne stanowiły symbol trwania suwerennej Polski. Obecna ekspozycja obejmuje dzieje relacji polsko-szwajcarskich, sylwetki wielkich Polaków, historię walk Narodu Polskiego „Za wiarę i wolność” oraz sztukę polską. Przy muzeum działają archiwum i biblioteka, które gromadzą i udostępniają materiały dotyczące dziejów Polaków w Szwajcarii i na emigracji. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza Muzeum Polskie w Rapperswilu odwiedziło ponad 300 tys. gości.

POSTAĆ MIESIACA

30 czerwca 1940: General Stefan Rowecki „Grot” został mianowany komendantem głównym Związku Walki Zbrojnej. W działalność niepodległościową Rowecki zaangażował się jeszcze w czasach zaboru rosyjskiego. Należał do tajnego zastępu skautowego i Polskich Drużyn Strzeleckich. W trakcie I wojny światowej walczył w Legionach Polskich. Był jednym z najmłodszych oficerów I Brygady pod komendą Józefa Piłsudskiego. Trzykrotnie odniósł rany. W listopadzie 1918 roku wstąpił do odradzającego się Wojska Polskiego. Wziął udział w wojnie z bolszewicką Rosją. Pozostał następnie w czynnej służbie wojskowej. Redagował „Przegląd Wojskowy”. Dowodził m.in. 55. pułkiem piechoty i Brygadą „Podole” Korpusu Ochrony Pogranicza. We wrześniu 1939 roku walczył na czele Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej. Uniknął niewoli i przeszedł do konspiracji. Został zastępcą komendanta Służby Zwycięstwu Polski – pierwszej organizacji zbrojnej Polskiego Państwa Podziemnego. Później kierował Związkiem Walki Zbrojnej



Fot. AIPN

► General Stefan Rowecki „Grot” (1895–1944)

na terenie okupacji niemieckiej. W czerwcu 1940 roku stanął na czele całego ZWZ, przemianowanego w lutym 1942 roku na

Armię Krajową. Stworzył największą armię podziemną w okupowanej Europie, liczącą w szczytowym momencie, latem 1944 roku, ok. 250–400 tys. zaprzysiężonych żołnierzy. Nadzorował przygotowanie planu powstania powszechnego, które Polskie Państwo Podziemne zamierzało wznieść pod koniec wojny. Powołał również Kierownictwo Dywersji, odpowiedzialne za bieżącą walkę zbrojną z okupantem. 30 czerwca 1943 roku Rowecki został aresztowany przez gestapo w jednym z warszawskich mieszkań. Szybko przewieziono go do Berlina, a następnie do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Odrzucił propozycję porozumienia z Niemcami i wspólnej walki przeciwko ZSRR. Po wybuchu Powstania Warszawskiego został zamordowany. Według ustaleń umorzonych w 2007 roku śledztwa IPN, stało się to między 2 a 7 sierpnia 1944 roku na rozkaz szefa SS Heinricha Himmlera.

W 1995 roku gen. Stefan Rowecki „Grot” został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Wałęsę Orderem Orła Białego.

5 czerwca 1990: Weszła w życie ustawa znosząca cenzurę. Cenzura istniała już w II RP, ale w Polsce Ludowej stała się elementem totalnej kontroli społeczeństwa. Podlegały jej książki, gazety, filmy, a nawet wystawy i spektakle teatralne. Od 1946 roku cenzurowaniem zajmował się Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (od 1981 roku: Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk), podlegający bezpośrednio premierowi i dyspozycyjny wobec władz partyjnych. Tylko niewielka część ingerencji cenzorskich dotyczyła spraw *stricte* politycznych – większość autorów, świadoma istnienia cenzury, sama bowiem omijała drażliwe tematy. Nożyce cenzorskie wycinały też jednak m.in. informacje o morderstwach, wypadkach czy statystyki na temat alkoholizmu. Szczegółowe instrukcje dla cenzorów zawierała – stale aktualizowana – *Księga zapisów i zaleceń GUKPPIW*. Po wyborach czerwcowych 1989 roku ingerencje cenzury zdarzały się już tylko sporadycznie. Pierwszy w powojennej Polsce gabinet z niekomunistycznym premierem na czele nie spieszył się jednak z likwidacją GUKPPIW. Rządowy projekt budżetu na 1990 rok przewidywał dla cenzury 5 mld zł. Kwoty tej nie zatwierdzono tylko dzięki oporowi grupy posłów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. W styczniu 1990 roku w Urzędzie Rady Ministrów opracowano nawet projekt utworzenia nowej, tym razem „demokratycznej” cenzury. „Trzeba zabezpieczyć państwo przed przestępstwami prasy” – tłumaczył Jerzy Ciemniewski, podsekretarz stanu w URM i bliski współpracownik premiera Tadeusza Mazowieckiego. Ostatecznie 11 kwietnia 1990 roku sejm przyjął ustawę uchylającą cenzurę.

Fot. AIPN



11 czerwca 1985: Na moście Glienicke doszło do największej po II wojnie światowej wymiany szpiegów.

W czasach żelaznej kurtyny most Glienicke łączył Berlin Zachodni (od 1961 roku otoczony murem) z przedmieściami Poczdamu, położonego w komunistycznej NRD. Zyskał miano „mostu agentów”, bo w tym znajdującym się na uboczu miejscu kilkakrotnie doszło do wymiany szpiegów między Wschodem i Zachodem. Najbardziej spektakularna była ta z 1985 roku. 11 czerwca (część źródeł podaje datę o dzień późniejszą) stanęły naprzeciw siebie cztery osoby przyłapane na szpiegostwie przez Amerykanów i 23 oskarżone o szpiegostwo na rzecz USA. W tej pierwszej grupie było dwoje obywateli NRD, Bułgar i Polak Marian Zacharski – as wywiadu PRL, wykradający dane dotyczące przemysłu zbrojeniowego Stanów Zjednoczonych (w 1981 roku aresztowany przez FBI i skazany na dożywocie). W drugiej grupie znaleźli się m.in. Polacy: Bogdan Walewski, Leszek Chróst, Norbert Adamaschek i Jacek Jurzak. W ostatniej chwili z przejścia na zachód zrezygnował Jerzy Pawłowski – szermierz zwerbowany przez CIA. Ułaskawiony przez Radę Państwa, zdecydował się pozostać w Polsce.



MARIAN ZACHARSKI

archiwum MSW-Dep. I.
spr. krypt. "KEN" 2/76

Fot. AIPN

20–21 czerwca 1940: W pobliżu podwarszawskiej wsi Palmiry Niemcy rozstrzelali 362 osoby. Od pierwszych dni II wojny światowej niemiecka polityka okupacyjna w Polsce miała niezwykle represyjny charakter. Przejawiało się to m.in. w eksterminacji polskich elit. Najbardziej znanym miejscem kaźni Polaków na terenie tzw. Generalnego Gubernatorstwa stały się Palmiry na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej. Między 7 grudnia 1939 roku a 17 lipca 1941 roku Niemcy przeprowadzili tam 21 potajemnych egzekucji. Rozstrzelano w nich ponad 1,7 tys. obywateli II RP narodowości polskiej i żydowskiej, zazwyczaj przywiezionych z warszawskich więzień i aresztów. W Palmirach – nazywanych niekiedy „Katyniem Zachodu” – zginął kwiat przedwojennej Warszawy: przedstawiciele życia politycznego, naukowego, społecznego i kulturalnego, uczestnicy konspiracji, harcerze. Najkrwawsze były egzekucje z czerwca 1940 roku. Zostali wówczas rozstrzelani m.in. długoletni marszałek sejmu Maciej Rataj, działacz socjalistyczny i poseł Mieczysław Niedziałkowski czy lekkoatleta Janusz Kusociński, złoty medalista olimpiady w Los Angeles (więcej o nim w tekście Katarzyny Dzierżbińskiej na s. 64). Zbrodnię palmirską Niemcy chcieli utrzymać w tajemnicy. O miejscach egzekucji podziemie dowiedziało się głównie dzięki polskim leśnikom. Tuż po wojnie w okolicy Palmir przeprowadzono ekshumacje. Dziś mieści się tam Miejsce Pamięci Palmiry – oddział Muzeum Warszawy.

Fot.: AIPN



21 czerwca 1985: W lesie koło wsi Koźliki znaleziono powieszzonego ks. Piotra Popławskiego. Popławski był proboszczem prawosławnej parafii Podwyższenia Krzyża Pańskiego w Narwi na Podlasiu. Rankiem 15 czerwca 1985 roku wyjechał z domu. Niespełna tydzień później grupa grzybiarzy znalazła jego zwłoki. Po trzech miesiącach, 25 września, zastępca prokuratora rejonowego Tadeusz Misarko umorzył postępowanie. Wersja oficjalna mówiła o samobójstwie niespełna czterdziestoczteroletniego kapłana. W 1991 roku Sejmowa Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW – tzw. komisja Rokity – stwierdziła jednak w swoim raporcie, że śledztwo w sprawie śmierci Popławskiego prowadzono „bez właściwej w takich wypadkach docieklivosti”. Nie zastanawiano się np. nad pochodzeniem kabła, na którym wisiały zwłoki. Nie próbowano wyjaśnić, jak powstały obrażenia na podudziach denata, ani dlaczego w stacyjce samochodu księdza znajdował się złamany klucz. Sprawa śmierci ks. Popławskiego jest dziś jednym z wątków śledztwa IPN w sprawie funkcjonowania w latach 1956–1989 związku przestępczego w strukturach MSW. Jedną z hipotez dziennikarskich mówi, że Popławski natrafił na ślad zorganizowanego handlu darami z zagranicy, w który mogli być zamieszani funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Inna głosi, że ostrzegali Solidarność przed infiltracją ze strony SB.

20 czerwca 1970: Pod zarzutem próby obalenia ustroju aresztowano działaczy „Ruchu”. „Ruch” (nazwę nadała Służba Bezpieczeństwa) powstał w połowie lat sześćdziesiątych. „W odróżnieniu od innych, wcale licznych, organizacji konspiracyjnych, których większość miała po prostu sztubacki charakter, »Ruch« nie tylko istniał przez kilka lat, ale wypracował własną koncepcję programową i świadomie nawiązywał do konspiracji niepodległościowej z lat 1945–1947” – pisze w książce *Pół wieku dziejów Polski* prof. Andrzej Paczkowski. Działacze „Ruchu” – a było ich kilkudziesięciu – określali PRL jako „atrapę państwa polskiego”, otwarcie deklarowali potrzebę odsunięcia komunistów od władzy i odzyskania przez Polskę pełnej niepodległości. Podejmowali działalność wydawniczą i spektakularne akcje ośmieszające oficjalną propagandę. Jednym z takich przedsięwzięć miało być podpalenie Muzeum Lenina w Poroninie. SB aresztowała jednak działaczy „Ruchu”. W październiku 1971 roku zapadły wyroki. Najwyższe otrzymali: bracia Andrzej i Benedykt Czumowie (odpowiednio 7 i 6 lat więzienia), Stefan Niesiołowski (7 lat) Marian Gołębiowski i Bolesław Stolarz (4,5 roku) oraz Emil Morgiewicz (4 lata). W obronie działaczy „Ruchu” wystąpili liczni intelektualiści. Interwencję podjął także Alojzy Mazewski, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej. Ostatni skazani opuścili więzienia jesienią 1974 roku na mocy amnestii. Wielu działaczy „Ruchu” także później angażowało się w aktywność opozycyjną.



Fot.: AIPN

▶ Andrzej Czuma



Fot.: AIPN

▶ Marian Gołębiowski



Fot.: AIPN

▶ Stefan Niesiołowski

28 czerwca 1945: W Warszawie powstał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej.

W lutym 1945 roku, podczas konferencji jałtańskiej, tzw. wielka trójka – premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill, prezydent USA Franklin Delano Roosevelt i sowiecki dyktator Józef Stalin – ustaliła, że w Polsce zostanie powołany Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. W tym celu istniejący już samozwańczy „rząd lubelski”, stworzony przez komunistów, miał zostać poszerzony o „pozostałych przywódców demokratycznych” z kraju i emigracji. Szczegółowe rozmowy na ten temat toczyły się w czerwcu w Moskwie – równoległe do trwającego przed tamtejszym sądem procesu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.

Stanowisko premiera TRJN – tak jak wcześniej „rządu lubelskiego” – objął Edward Osóbka-Morawski, socjalista bliski komunistom. Jednym z wicepremierów – i zarazem ministrem rolnictwa – został Stanisław Mikołajczyk, lider ludowców i były premier rządu RP na uchodźstwie. Jednak nowi niekomunistyczni ministrowie mieli w TRJN niewiele do powiedzenia. Najważniejsze resorty – m.in. obrony narodowej i bezpieczeństwa publicznego – przypadły Polskiej Partii Robotniczej. Rzeczywisty stosunek sił był dla niej jeszcze korzystniejszy – dzięki obecności na ziemiach polskich Armii Czerwonej.



Fot.: PAP

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej został szybko uznany przez USA i Wielką Brytanię. „Zgoda mocarstw zachodnich na tak minimalne ustępstwa Stalina [...] dowodziła, że utrzymanie niezależności Polski nie należało do priorytetów ich polityki” – pisze w książce *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* prof. Andrzej Friszke. TRJN istniał do lutego 1947 roku. Wówczas – po sfałszowanych wyborach do sejmu – komuniści i ich sojusznicy przejęli pełnię władzy w Polsce.

ILUSTROWANY
KURYER CODZIENNY

29 czerwca 1927 roku

„Nieprzejrzany tłum płynie falami głów, jak rzeka potężna, ujęta w wyniosłe brzegi kamienic. Zwolna, uroczysto sunie pochod, mieniący się barwami, las chorągwi i sztandarów, jak wielkie kwiaty, kołysze nad głowami, migoce broń żołnierska. [...] Za trumną kroczy Głowa Państwa, wodzowie, rząd, przedstawiciele narodu, jego kwiat i szczyty – cała Rzeczpospolita idzie za tą trumną. Pogrzeb to, czy tryumfalny wjazd Zwycięzcy?” – w ten sposób „**Ilustrowany Kurjer Codzienny**” z 29 czerwca 1927 roku rozpoczynał relację z niezwykłych uroczystości w Krakowie.

Były one hołdem dla Juliusza Słowackiego, którego szczątki na polecenie Józefa Piłsudskiego ekshumowano z paryskiego cmentarza Montmartre i sprowadzono do Polski, by pochować w katedrze wawelskiej. Słowacki był ulubionym poetą Marszałka. Postanowił on jednak sprowadzić prochy wieszczki narodowego także dlatego, żeby poprzez wielkie uroczystości z tym związane wzmocnić nastroje patriotyczne wśród Polaków i poparcie dla sanacji, która rok wcześniej doszła do władzy po przewrocie majowym. Dlatego trumna przybyła najpierw do Gdańska, skąd transportowano ją Wisłą na statku „Mickiewicz”. Statek zatrzymywał się w Grudziądzu, Toruniu, Włocławku, Płocku i Modlinie, gdzie Polacy mogli oddać hołd autorowi *Ody do wolności*, *Króla-Ducha* i *Balladyny*. 26 czerwca przybył do stolicy, gdzie kondukt pogrzebowy przeszedł ulicami do katedry św. Jana przy Zamku Królewskim. Następnego dnia z Warszawy wyruszył do Krakowa specjalny pociąg z trumną poety.

„Juljusz Słowacki! Oh tak – król-ci to wraca i hetman zwycięski i wieszcz charyzmem natchnienia i ogniem Ducha pomazany, na swe posłannictwo” – czytamy dalej w relacji dalekiej od beznamiętnego, sprawozdawczego stylu. „Wraca prorok, co w dobie upadku i niewoli głosił narodo- wi ewangelję wolności i wiarę swą, jak iskry życiodajnego ognia, rzucał w umysły. Wielki Siewca zbiera dziś stokrot- ny plon zbożnego, samotnego żywota. Stał się podobny pszenicznemu ziarnu, które musi być wrzucone w czarną glebę, aby zakiełkować, wystrzelić rnięią i kłosem i stać się chlebem, danym na pokarm dla ducha milionów”.

Na zakończenie uroczystej ceremonii pogrzebowej, która odbyła się 28 czerwca na dziedzińcu wawelskim, Piłsudski wypowiedział znamienne słowa: „W imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam panom odnieść trumnę Juliusza Słowackiego do krypty królewskiej, bo królom był równy”.

Dzisiaj w Krypcie Wieszczów Narodowych w podziemiach wawelskiej katedry znajduje się sarkofag Adama Mickiewicza, sarkofag z czarnego marmuru Juliusza Słowackiego, pomnik Cypriana Kamila Norwida oraz medalion z wizerunkiem Fryderyka Chopina. 📌

Cena 3 zł
GAZETA OSTROWSKA
 Organ Komitetu Wojewódzkiego Państwa Zjednoczonego Partii Robotniczej
 Nr 11 ABCDE Środa, 21 czerwca 1950 r.

Poznańscy sojusznicy osi Waszyngton-Watykan wrogami granicy pokoju

21 czerwca 1950 roku

„Poznańscy sojusznicy osi Waszyngton-Watykan wrogami granicy pokoju” – pisano na pierwszej stronie „**Gazety Ostrowskiej**” z 21 czerwca 1950 roku. W tym lokalnym dzienniku partyjnym zamieszczono artykuł, w którym potępiono „przedstawicieli wyższej hierarchii kościelnej na terenie województwa poznańskiego” za to, że – jak dowodzono – byli przeciwni granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie. „Księża arcybiskupi i biskupi Wyszyński, Dymek, Biernacki, Nowicki i otaczająca ich kapituła, odmawiając złożenia podpisów pod sztokholmskim apelem pokoju, wybrali sobie tym samym przyjaciół nie tylko na naszym terenie krajowym” – donosił autor tekstu. Duchownym zarzucano, że odmawiając podpisu, solidaryzowali się z „wrogami klasowymi”, którzy z powodu „dawniej już nabranej wprawy w zdradzaniu interesów narodowych wyodrębnili się zdradziecko od reszty społeczeństwa”. Biskupi i księża znaleźli się „w jednym szeregu z tymi wszystkimi w świecie, którzy pragną wojny, ludząc się, iż przez nią złamią siły obozu pokoju i postępu”. Zdaniem autora, wymienionym duchownym chodziło o „rozpętanie wojny i wymordowanie choćby kilkudziesięciu milionów ludzi, jeśli to miało złamać siłę obozu postępu”. W artykule poruszono także problem granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie: „Adenauer, Schumacher, Krupp w zamian za dostarczanie mu mięsa armatniego w wojnie przeciwko ZSRR mają obiecane naszym kosztem jako główną nagrodę, nasz Ziemie Zachodnie!”. Stąd, zdaniem autora tekstu, jedyny możliwy wniosek – „poznańska wyższa hierarchia kościelna zajęła stanowisko przeciwko polskim Ziemiom Zachodnim, przeciwko historycznym prawom i niezmiennym interesom narodu polskiego”. To zdanie nijak się miało do rzeczywistości – Kościół w Polsce wybitnie przyczynił się do zjednoczenia Ziemi Zachodnich z resztą terenów Polski. Już od 1945 roku kardynałowie Hlond, a później Wyszyński ustanawiali tam polskie parafie, a polscy księża organizowali duszpasterstwo wśród Polaków przesiedlonych z Kresów.

Apeł sztokholmski, w którym wzywano do światowego zakazu produkcji broni atomowej, był natomiast akcją propagandową w ZSRR i całym bloku wschodnim. Podpisy pod apelem zbierano w zakładach pracy i instytucjach państwowych. Osoby, które go nie poparły, były wyrzucane z pracy lub zastraszane. Władze komunistyczne w Polsce wykorzystały tę akcję jako pretekst do prześladowania Kościoła i promowania ruchu „księży patriotów”. Duchowieństwu wiernemu papieżowi i biskupom przeciwstawiano „duchowieństwo patriotyczne”, które, jak pisano w artykule, „ma obowiązek widzieć w przedstawicielach wyższej hierarchii kościelnej wrogów polskiej racji stanu” – tzn. powinno się zbuntować przeciwko biskupom. Autor cytował także oświadczenie księży patriotów: „nie mamy nic wspólnego z tymi, co odmawiają podpisania apelu pokoju”. Dzięki hierarchom, którzy nie podpisali, m.in. dzięki prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu, plany komunistów zmierzające do podzielenia polskiego duchowieństwa nie zostały zrealizowane. 📌

Z duchem narodu i aniołem sławy.
 W dniu złożenia prochów Juliusza Słowackiego na Wawelu.

W dniu złożenia prochów Juliusza Słowackiego na Wawelu. Wiersz...

A podobno Polak, Rusek i Niemiec...

Krzysztof Gottesman

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku przestały się w polskich gazetach, radiu i telewizji ukazywać ostrzeżenia przed muchomorem sromotnikowym. Cenzura zabroniła, bo zbyt silnie kojarzyły się z towarzyszami z Biura Politycznego PZPR Zofią Grzyb i Stanisławem Kanią.

Zakazane też było pisanie o kampanii antyalkoholowej prowadzonej w wojsku. Ważnymi dowódcami byli wówczas generałowie Oliwa, Baryła i Żyto.

Historie, choć smakowite, pewnie nie do końca są prawdziwe, może nawet były to tylko dowcipy. Ale wyrosłe na prawdziwym podłożu. A to podłoże da się streścić w jednym zdaniu: w życiu publicznym Polski Ludowej jednym z najważniejszych kanałów informacyjnych były dowcipy i plotki. Oficjalne środki masowego przekazu, bo tak wówczas nazywano media, zajmowały się przede wszystkim propagandą, przekonywaniem, że jest bardzo dobrze. Internet i media społecznościowe – choć to trudne do uwierzenia dla młodego pokolenia, ale tak było – nie istniały. Ich rolę, bo życie społeczne zawsze potrafiło wynaleźć odpowiednie formy, wypełniały właśnie powtarzane w domach i w pracy dowcipy, plotki i pogłoski.

Były to drogi, jak by powiedzieli socjologowie, społecznej komunikacji, a mówiąc prościej – zaspakajania najważniejszych, odwiecznych i podstawowych ludzkich potrzeb – ciekawości i chęci zdobycia informacji.

Pogłoski i plotki towarzyszyły Polakom przez całą PRL. Mówiły, co się dzieje na szczytach władzy, czego można się spodziewać po najbliższym plenum komitetu centralnego PZPR, jaka jest sytuacja ekonomiczna. Z pogłosek też się dowiadywaaliśmy, kiedy się pojawiają w sklepach pomarańcze, a kiedy meble. Jak powstawały plotki? Było bardzo wiele ich źródeł. Przeciaki od lepiej poinformowanych, wiadomości z Wolnej Europy i BBC. Ważnym źródłem było umiejętne czytanie oficjalnych gazet, rozszyfrowywanie stosowanej przez nie nowomowy. Jeżeli w „Trybunie Ludu” długo nie pisano o jakimś ważnym towarzysz, to można było podejrzewać, że coś jest z nim nie w porządku. Wówczas pojawiały się plotki, że towarzysz np. Grabski popadł w niełaskę. I rzeczywiście, bardzo często przychodziło potwierdzenie plotek. Ale też nie wprost, szkoła Orwella wypuszczała przecież dobrych absolwentów. W tej samej „Trybunie”, a często także w „bezpartyjnym” „Życiu Warszawy” pojawiał się w rubryce „Kronika kadrowa” komunikat, że Rada Państwa (to taki zbiorowy peerelowski prezydent) mianowała nowych ambasadorów. A wśród nich jest kto? Towarzysz Grabski, który pojedzie na placówkę do NRD. Zazwyczaj większość zmian kadrowych – poza politycznymi trzęsieniami ziemi – odbywała się w ten sposób. Nominacja na ambasadora lub inne mało ważne stanowisko albo rezygnacja ze względu na stan zdrowia. Jakby się nic nie stało.

Czerpiąc z takich między innymi źródeł, tworzone plotki, pogłoski, interpretacje, przypuszczenia. O tym, czy partyjni liberalowie idą w górę, czy raczej dołują, bo tryumfuje beton; jak się mają „partyźnacy”, jak „puławianie”; czy kupimy licencję Fiata, czy Citroena. Jest otwarcie rozmów z Kościołem, bo Wyszyński dostał paszport, czy raczej drzwi zostały zamknięte. Czy można się spodziewać amnestii dla politycznych, bo Urban na konferencji mniej pluł jadem, czy to tylko mydlenie oczu. I tak dalej, i tak dalej.

Tak się zaczynały również wielkie przełomy. Robotnicy Wybrzeża już na ulicach Trójmiasta protestowali przeciwko podwyżkom cen, a w gazetach jeszcze pisano o dyskusjach w partyjnych komitetach. Od małego gazetowego komunikatu o „zakłóceniu ruchu ulicznego na Krakowskim Przedmieściu w rejonie Uniwersytetu Warszawskiego” zaczął się studencki Marzec. W tym czasie aktyw robotniczy już regularnie pałował młodzież nie tylko na Krakowskim, lecz także na dziedzińcu uniwersytetu.

Jeszcze inną formą orwellowskiego informowania, a także reagowania i wywoływania plotek, były tzw. przeglądy prasy. Z takich przeglądów, zwłaszcza prasy zachodniej, dowiadywaaliśmy się na przykład o konflikcie między komunistami sowieckimi i chińskimi czy najpierw o postępach Praskiej Wiosny, a później, niestety, jej pacyfikacji.

No i dowcipy. Nie był to peerelowski wynalazek. Były – i są – zawsze. Więcej – w wielu z tych dowcipów zmieniali się tylko bohaterowie. Byli nimi Bierut, Gomułka, Gierek, Jaruzelski. Choćby taki, pojawiający się przy kolejnych jubileuszach PRL. Hasło emerytów na dziesięć-, dwudziesto-, dwudziesto-

pięcio-, trzydziestolecie: „Popieramy partię czynem, umieramy przed terminem”. Ale były też indywidualne. O Stalinie, że taki był dobry, bo skazał tylko na Gułag, a mógł przecież zabić; o Gomułce, który życzył inżynierom, by w przyszłości produkowali już nie tylko półprzewodniki, ale i całe.

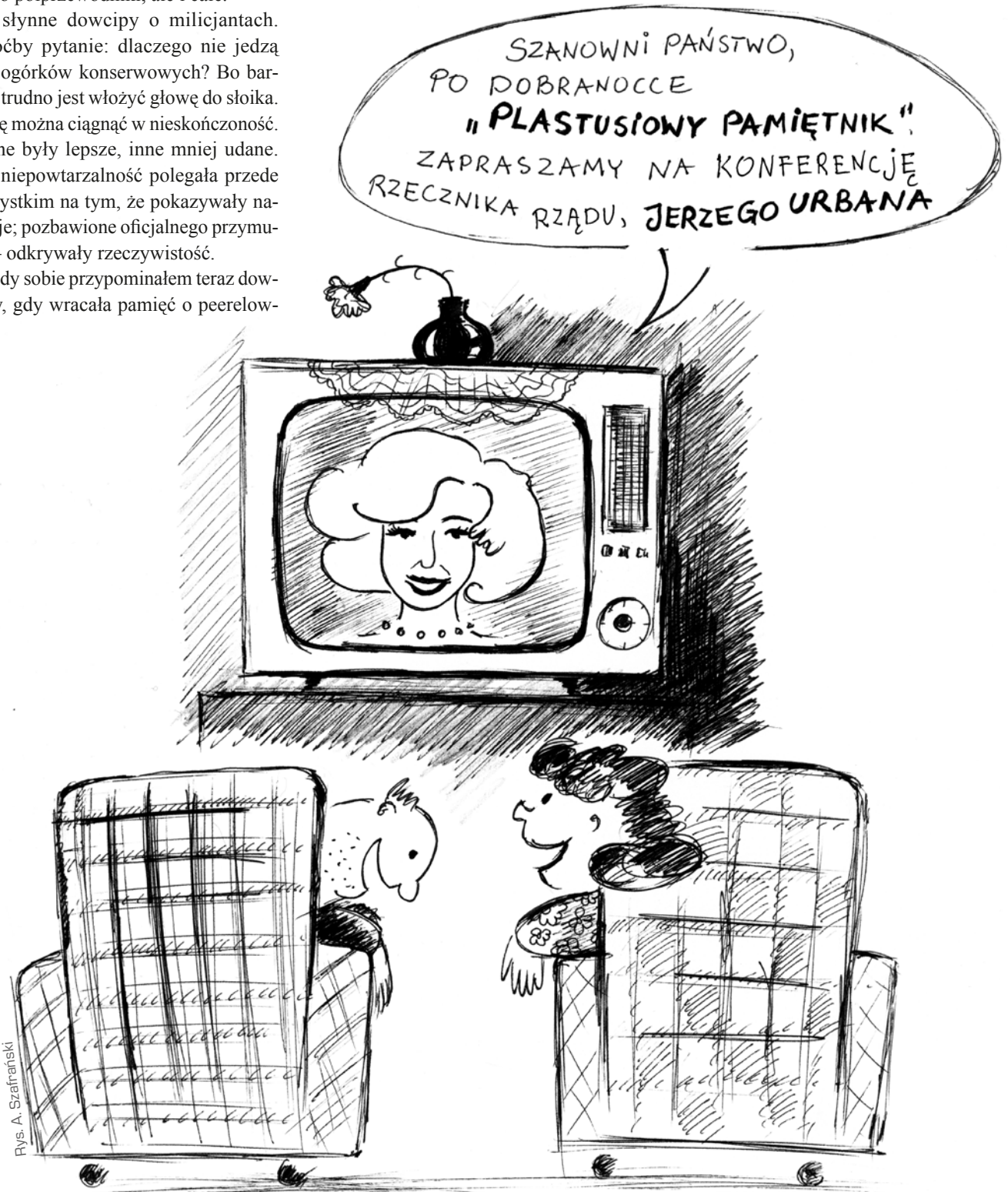
I słynne dowcipy o milicjantach. Choćby pytanie: dlaczego nie jedzą oni ogórków konserwowych? Bo bardzo trudno jest włożyć głowę do słoika. Listę można ciągnąć w nieskończoność. Jedne były lepsze, inne mniej udane. Ich niepowtarzalność polegała przede wszystkim na tym, że pokazywały nastroje; pozbawione oficjalnego przymusu – odkrywały rzeczywistość.

Gdy sobie przypominałem teraz dowcipy, gdy wracała pamięć o peerelow-

skich gazetach, przyplątało się do mnie słynne gogolowskie pytanie: z czego się śmiejecie? Bo chociaż we wszystkich dowcipach o Niemcu, Rusku i Polaku na bezludnej wyspie zawsze zwyciężał Polak, a w konfrontacji partyjniaka

z szarym obywatelem zawsze górą był ten drugi, to jednak, chcąc nie chcąc, wiedząc o tym czy nie wiedząc, śmiało się także z siebie. ■

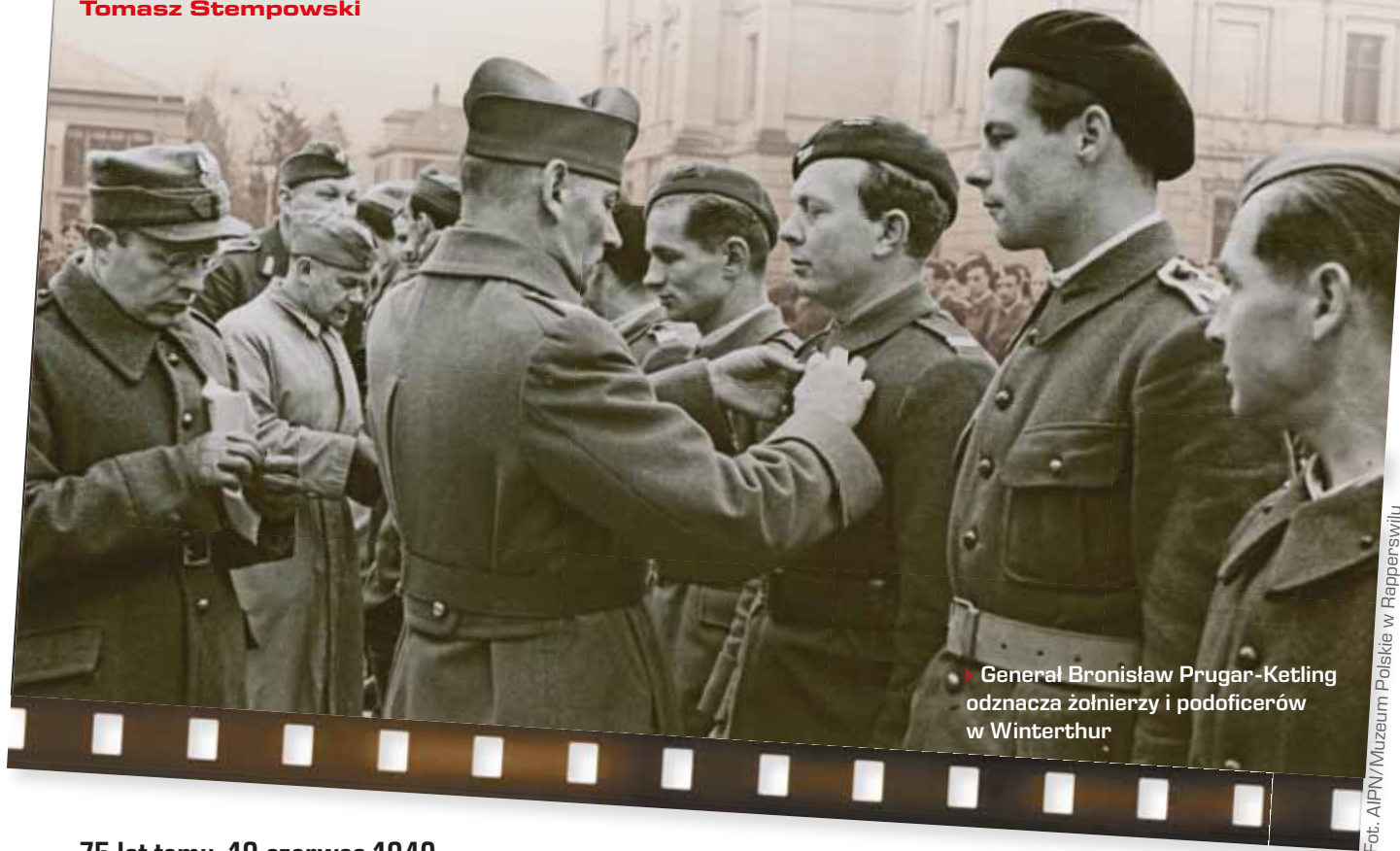
Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



Rys. A. Szafrański

Pięć lat w Szwajcarii

Tomasz Stempowski



• General Bronisław Prugar-Ketling odznacza żołnierzy i podoficerów w Winterthur

Fot. AIPN/Muzeum Polskie w Rapperswilu

75 lat temu, 19 czerwca 1940 roku, ok. 12 tys. polskich żołnierzy przekroczyło granicę Szwajcarii, by pozostać w niej przez pięć następnych lat, a niektórzy z nich nawet dłużej. Choć nie znaleźli się tam dobrowolnie, ich pobyt w kraju Wilhelma Tella nie był czasem zmarnowanym.

Po przegranej kampanii wrześniowej 1939 roku rząd RP na emigracji przystąpił do tworzenia polskiego wojska we Francji. 11 listopada Wódz Naczelny, gen. Władysław Sikorski, wydał rozkaz utworzenia 2. Dywizji Piechoty, na której dowódcę wyznaczył awansowanego do stopnia generała brygady Bronisława Prugara-Ketlinga. Formowanie jednostki napotykało liczne trudności. Przede

wszystkim Francuzi nie zapewнили odpowiedniego zakwaterowania, wystarczającej ilości umundurowania, sprzętu i broni, a część dostarczonego uzbrojenia była mocno przestarzała. W tych warunkach trudne było właściwe wyszkolenie żołnierzy i doprowadzenie dywizji do pełnej sprawności bojowej. W chwili, gdy Niemcy zaatakowały Francję, na dokończenie szkolenia potrzeba było jeszcze trzech miesięcy. Mimo to jednostka została skierowana na front.

Początkowo przetransportowano ją w rejon Colombey-les-Belles, gdzie weszła w skład odwodów francuskiej 3. Armii. Następnie została skierowana w okolice Belfort i włączona w skład 45. Korpusu Armijnego, dowodzonego przez gen. Mariusa Daille'a. Dywizja otrzymała rozkaz zorganizowania obrony w rejonie wzgórz Clos du Doubs. 18 i 19 czerwca 1940 roku stoczyła zacięte boje pod Maiche, Damprichard, Trevillers i Saint-Hyppoli-

te, powstrzymując napór oddziałów niemieckich. W nocy z 19 na 20 czerwca na rozkaz gen. Daille'a przekroczyła wraz z francuskim 45. Korpusem Armijnym granicę szwajcarską i została internowana.

Obecność kilkudziesięciu tysięcy obcych żołnierzy była dla niedużej Szwajcarii sporym problemem ekonomicznym, organizacyjnym i politycznym. Władze starały się utrzymać neutralność i uniknąć niemieckiej inwazji, która stanowiła realne zagrożenie. Wehrmacht przygotował plan ataku na Szwajcarię pod kryptonimem „Operacja Tannenbaum”. W obliczu zagrożenia ukształtowały się dwa nurty polityczne. Środowisko skupione wokół prezydenta i szefa departamentu politycznego Marcela Pilet-Golaza opowiadało się za współpracą z Niemcami, podczas gdy dowodzący armią szwajcarską gen. Henri Guisan stawiał na niezależność i chciał wzmoc-

nienia obronności. 25 lipca 1940 roku zwołał dowódców wojskowych na miejsce, w którym w 1291 roku pierwsze kantony szwajcarskie zawiązały konfederację, i wezwał ich do obrony kraju w razie agresji. Ten tzw. raport na wzgórzu Rütli rozbudził uczucia patriotyczne i wolę oporu Szwajcarów.

Początkowo polskich żołnierzy zgromadzono w kilku dużych obozach, przy czym dowództwo dywizji i oficerów odseparowano od ich oddziałów. Szwajcarzy sądzili, że ułatwi im to kontrolę nad internowanymi i pozwoli zredukować koszty ich utrzymania. Założenia te okazały się błędne. Ich realizacja doprowadziła do spadku morale, niezadowolenia i protestów.

Zmiana tego systemu nastąpiła wiosną 1941 roku, gdy Szwajcarię opuścili żołnierze francuscy. Polaków rozmieszczono w siedmiu odcinkach internowania, obejmujących obszar całego kraju. Wiązało się to przede wszystkim z planami włączenia polskich żołnierzy do szwajcarskiej gospodarki. W wyniku trudności spowodowanych wojną władze szwajcarskie dążyły do uzyskania ekonomicznej samowystarczalności. Tak zwany plan Wahlena (od nazwiska szefa Wojskowego Urzędu Wyżywienia) zakładał powiększenie powierzchni uprawnej zbóż, racjonowanie żywności i obniżenie codziennego spożycia. Zamierzano zagospodarować leżące od-

łogiem nieużytki oraz uruchomić nieczynne kopalnie węgla, rudy żelaza i torfu. Osiągnięcie tego celu byłoby niemożliwe bez pracy internowanych.

Polaków zatrudniano we wszystkich gałęziach gospodarki. Wykonywali prace drogowe (naprawa oraz budowa dróg i mostów), melioracyjne (niwelacja terenu, kopanie rowów), rolne i leśne (karczowanie, wycinka i obróbka drzewa, zalesianie), wodne (regulacja i pogłębianie rzek, kopanie kanałów), górnicze (wydobycie węgla, rudy żelaza i kamienia budowlanego). Duże znaczenie miały prace wykonane dla armii szwajcarskiej. Biorąc udział w budowaniu wysokogórskich ścieżek, lotnisk, stanowisk artyleryjskich, schronów, zasieków, zapór przeciwzoł-

gowych czy linii telefonicznych, Polacy znacząco się przyczynili do zwiększenia możliwości obronnych Helwetów. Szwajcarski historyk Edgar Bonjour w książce *Geschichte der Schweizerischen Neutralität* stwierdził: „Wielki wkład internowanych do zapewnienia działania przemysłu i rolnictwa, przyczynił się do przetrwania gospodarki narodowej w czasie wojny”.

Dowództwo 2. DSP starało się zbierać dane statystyczne, dotyczące prac wykonanych przez polskich żołnierzy. Nie są one pełne, bo nie wszystkie raporty docierały, jednak na ich podstawie można oszacować wkład Polaków w szwajcarską gospodarkę. Wybudowali oni ponad

▶ Studenci obozu uniwersyteckiego Winterthur budujący most w okolicy Cazis



▶ Internowani orzący pole na równinie Magadino

Fot. AIPN/Muzeum Polskie w Rapperswilu



Fot. AIPN/Muzeum Polskie w Rapperswilu



Fot. AIPN/Muzeum Polskie w Rapperswilu

➤ Wykład matematyki dla studentów Obozu Uniwersyteckiego w Winterthur

274 km nowych dróg i przebudowali lub naprawili 198 km już istniejących; zbudowali 56 mostów (w tym 6 betonowych i 12 kamiennych); wyregulowali 1720 m rzek; zrobili ponad 21,5 km kanałów oraz 3915 m wodociągów. W zakresie prac rolnych: zaorali ponad 1600 ha, obsadzili 200 ha, zasiali 136 ha, wykopali ponad 3900 t ziemniaków. Łącznie polscy żołnierze od 20 czerwca 1940 do końca czerwca 1945 roku przepracowali co najmniej 7 929 074 dniówki, za co otrzymali płacę w wysokości 50 434 421 franków. Koszty wykonania tych samych robót przez szwajcarskich pracowników cywilnych wyniosłyby 96 149 634 franki, czyli niemal o 46 milionów więcej. Trzeba uwzględnić także to, że Polacy niejednokrotnie praco-

wali w bardzo ciężkich warunkach, w wysokich górach, przy robotach, do których trudno było znaleźć chętnych wśród robotników szwajcarskich.

Sytuacja internowanych Polaków nie zawsze była prosta. Ludność cywilna w większości przypadków odnosiła się do nich przychylnie. Już przy przekraczaniu granicy spotkali się z licznymi wyrazami sympatii z jej strony, a w ciągu kilkuletniego pobytu nawiązano wiele towarzyskich i przyjacielskich kontaktów. Jednak wprowadzone przez władze przepisy internowania nakładały na Polaków różnorodne ograniczenia. Ich położenie poprawiało się jednak wraz z upływem czasu, w miarę jak pogarszała się sytuacja III Rzeszy.



Fot. AIPN/Muzeum Polskie w Rapperswilu

➤ Ćwiczenia z minowania przy pomocy papierowych atrap w Ośrodku Wyszoklenia w Pfäffikon

Gdy się stało jasne, że okres internowania nie skończy się szybko, przed dowództwem i samymi żołnierzami stało zadanie takiego zorganizowania codziennego życia, żeby czas spędzony w Szwajcarii nie był zmarnowany. Z jednej strony chodziło o to, by w maksymalnym stopniu zachować zdolność bojową dywizji, z drugiej, aby umożliwić żołnierzom rozwój osobisty.

Ogromne znaczenie miała **działalność edukacyjna** prowadzona na różnych poziomach, od podstawowego do wyższego. Już 6 lipca 1940 roku gen. Prugar-Ketling wydał pierwsze zarządzenie w tej sprawie, a we wrześniu władze szwajcarskie zgodziły się na utworzenie obozu licealnego i trzech obozów uniwersyteckich. Wkrótce powstały obozy uniwersyteckie w Winterthur (współdziałający z uniwersytetem i politechniką w Zurychu), w Grange-neuve (współdziałający z uniwersytetem we Fryburgu) i w Simnach, później Herisau i Gossau (współpracujący z Wyższą Szkołą Handlową w St. Gallen) oraz obóz licealny w Wetzikon. Zorganizowano także kształcenie na poziomie podstawowym i zawodowym. Maturę w czasie internowania zdało 185 żołnierzy, przez szkoły wyższe przewinęło się ok. 700, z których 452 uzyskało dyplom.

Dowództwu 2. DSP zależało na utrzymaniu zdolności do prowadzenia działań zbrojnych. Liczono bowiem na to, że w przyszłości dywizja zostanie skierowana na front. W trakcie spotkania gen. Prugara-Ketlinga z gen. Guisanem 22 kwietnia 1940 roku rozmawiano m.in. o włączeniu polskich oddziałów do obrony Szwajcarii w razie agresji Niemiec. Zakładano jednocześnie, że w sprzyjających okolicznościach dywizja może zostać wyprowadzona ze Szwajcarii. Dlatego, mimo trudnych warunków, **prowadzono szkolenie wojskowe żołnierzy**. Miało ono charakter tajny, ale odbywało się przy cichym przyzwoleniu władz szwajcarskich. Największą skalę osiągnęło w Ośrodku Szkolenia Pfäffikon, w Polskim Obozie Licealnym oraz w obozach uniwersyteckich, ale prowadzono je także przy okazji kształcenia powszechnego i zawodowego oraz na kursach organi-

zowanych w poszczególnych obozach.

Wśród internowanych rozwijały się różne formy aktywności kulturalnej i sportowej. Organizowano odczyty, występy chórów i orkiestr, przedstawienia teatralne, uprawiano twórczość literacką i plastyczną. Zasięg tej działalności niejednokrotnie wykraczał poza granice obozów. W wielu wydarzeniach kulturalnych organizowanych przez polskich żołnierzy brali udział także Szwajcarzy, a występy chórów i zespołów teatralnych były życzliwie recenzowane w lokalnej prasie. Internowani wydawali też własne gazety. Największy zasięg osiągnął „Goniec Obozowy”, ukazujący się do września 1940 do czerwca 1945 roku. W niektórych okresach jego nakład przekraczał 7 tys. egzemplarzy.

Zakończenie wojny oznaczało koniec internowania. Część żołnierzy opuściła Szwajcarię już wcześniej, w ramach tajnej ewakuacji, i przyłączyła się do jednostek polskich walczących u boku aliantów. Wyjazdy pozostałych, przede wszystkim do Francji, rozpoczęły się w maju 1945 roku. Generał Prugar-



► Maciej Piotrowski ze swoim autoportretem

Fot. AIPN/Muzeum Polskie w Rapperswilu

-Ketling wraz grupą żołnierzy powrócił do Polski. Inni rozproszyli się po świecie lub pozostali na miejscu.

Pięcioletnia aktywność gospodarza i kulturalna Polaków pozostawiła w Szwajcarii ślady widoczne do dziś. Nie chodzi tylko o rozsiane po terytorium całego kraju kapliczki, pomniki i tablice pamiątkowe. Polscy żołnierze wywarli wpływ nawet na szwajcarski krajobraz. Wiele dróg położonych w wysokich partiach gór jest dziełem właśnie ich rąk. Słowa „Polenweg” i „Polenstraße”, czyli „pol-

ska droga”, na stałe zagościły w szwajcarskich słownikach.

Zachowanie pamięci o internowanych Polakach byłoby trudne bez stałej troski o nią. Czas sprawia, że wspomnienia się zacierają, a przedmioty niszczą. Trzeba o nie nieustannie dbać. Dlatego służba niektórych żołnierzy 2. DSP nie skończyła się po wojnie. Przez dziesięciolecia z własnej inicjatywy i za prywatne środki starali się zabezpieczyć spuściznę swoją i swoich kolegów. Instytucje takie jak Muzeum Polskie w Rapperswilu, które pomagało internowanym od początku ich pobytu w Szwajcarii, czy powstała w latach dziewięćdziesiątych

XX wieku Fundacja „Archivum Helveto-Polonicum” zgromadziły i przechowują obszerne kolekcje dokumentów, fotografii i artefaktów związanych z 2. DSP. Prezentowane zdjęcia pochodzą z zbiorów znajdujących się właśnie w archiwum rapperswilskiego muzeum. Ich większy wybór będzie można wkrótce zobaczyć w albumie i na wystawie przygotowywanej wspólnie przez Muzeum Polskie w Rapperswilu oraz Instytut Pamięci Narodowej. ■

Tomasz Stempowski – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

► Kapliczka wybudowana przez żołnierzy z obozu Gadmen na przełęczy Sustenpass



► Przedstawienie Teatru Żołnierskiego 4. Warszawskiego Pułku Strzelców Pieszych „Wiesław”, Grünematt, grudzień 1941 roku

Fot. AIPN/Muzeum Polskie w Rapperswilu

Fot. AIPN/Muzeum Polskie w Rapperswilu

Nie ulega wątpliwości, że sportowcy w Polsce Ludowej (szczególnie ci wybitni) należeli raczej do beneficjentów systemu. Przynajmniej do czasu, kiedy byli przydatni propagandowo. Jednak kiedy przestawali być potrzebni lub – co gorsza – ich postępowanie uznano za niekorzystne z punktu widzenia interesów „ludowej ojczyzny”, trafiali (podobnie jak inni obywatele PRL) pod czujne oko bezpieki.

Ilustracją postępowania SB względem sportowców są dwa dokumenty dotyczące wybitnej polskiej lekkoatletki Haliny Góreckiej: notatka starszego oficera operacyjnego Wydziału VI Departamentu II MSW z 16 kwietnia 1965 roku oraz informacja na temat uciekiniera, sporządzona pięć dni później. Były one skutkiem pozostania polskiej zawodniczki w Republice Federalnej Niemiec i, rzec można, składnikiem standardowej w tym czasie procedury postępowania w przypadku ucieczki z kraju lub odmowy powrotu do niego przez obywateli PRL.

Jednak, co warto przypomnieć, Halina Górecka nie była typowym obywatelem Polski Ludowej. Ta wybitna zawodniczka należała do słynnego polskiego lekkoatletycznego wunderteamu. Największe sukcesy sprinterka odnosiła w sztafecie 4x100 metrów. W tej konkurencji zdobyła złoty (Tokio 1964) i brązowy medal olimpijski (Rzym 1960), a także była dwukrotnie rekordzistką świata. Na co dzień reprezentowała barwy Górnika Zabrze. Formalnie pracowała w Zakładach Przemysłu Terenowego w Zabrzu – wedle ustaleń SB „na stanowisku rozdzielacza farm w warsztacie przy ul. Królewskiej róg Sobieskiego, zarabiając 1800 zł”. Faktycznie jej praca w tym charakterze miała się ograniczać do kilku tygodni w roku czy wręcz nawet „do kilku dni w roku”, resztę czasu poświęcała bowiem oczywiście na uprawianie sportu.

Dlaczego ta znakomita zawodniczka postanowiła opuścić Polskę i pozostać w RFN niespełna pół roku po swym największym sukcesie – triumfie olimpijskim? Zdecydowały o tym względy osobiste. Jej ucieczka z PRL nie była

zresztą specjalnie spektakularna. Po prostu wyszła z zachodnioniemieckiego stadionu (do Republiki Federalnej Niemiec, a konkretnie do Dortmundu, wyjechała na dwumecz lekkoatletyczny RFN–Polska w dniach 18–21 marca), wsiadła do czekającego na nią samochodu i odjechała.

Ze względu na popularność sportsmenki szybko zaczęto mówić o jej ucieczce. Tak ją opisywał zachodnioniemiecki „Stern” w kwietniu 1965 roku: „Żółty volkswagen podjechał na pierwszym biegu do szkoły sportowej w Kaisbergu i zatrzymał się. Kierowca znalazł sobie miejsce do zaparkowania z dala od głównych drzwi wejściowych. Stamtąd mógł obserwować drzwi, sam nie będąc widziany. Pozostał w samochodzie, zapalił papierosa i czekał. Po pięciu minutach opuściła budynek drobna, młoda kobieta o brązowych oczach i ciemnych włosach. Miała na sobie skromną sukienkę, w prawej ręce niosła torebkę. Kobieta rozejrzała się, jakby kogoś szukała. Gdy spostrzegła volkswagen, ruszyła bardzo wolnym krokiem w jego kierunku. Mężczyzna siedzący za kierownicą otworzył, nie wysiadając, prawe drzwi, kobieta zajęła miejsce obok niego. Mężczyzna zapuścił silnik, dodał gazu i szybko odjechał”.

Jak twierdziła potem sprinterka, jej postępowanie nie miało motywów politycznych ani ekonomicznych, lecz wynikało z pobudek prywatnych. Po prostu nie układało jej się w małżeństwie. Nic zatem dziwnego, że kiedy Reinhold Herrmann – jej dawna miłość (z którym rozdzielił ją jego wyjazd wraz z rodziną do Republiki Federalnej Niemiec w ramach akcji łączenia rodzin) zaproponował jej (po raz kolejny zresztą) małżeństwo, zdecydowała się pozostać

w RFN. Wiedziała, że w Polsce ma niewielkie szanse na rozwód. Co ciekawe, *post factum* przypominała jeszcze, iż zawsze potępiała „te osoby, które zostały zagranicą”. Deklarowała również godne zachowanie w Niemczech „jako obywatelki Polski Ludowej”.

W związku z ucieczką Górecka została zarejestrowana w ewidencji ogólnoinformacyjnej Służby Bezpieczeństwa „w kategorii uciekinierów do NRF”, a informacje na jej temat oraz jej rodziny zaczęła zbierać zabrzańska Służba Bezpieczeństwa (Komenda Miejska MO w Zabrzu). Przeprowadzono rozmowę z jej mężem, zbierano doniesienia agenturalne, wycinki z prasy niemieckiej i ich tłumaczenia, wyjaśnienia samej zawodniczki i jej najbliższych oraz korespondencję napływającą na jej nazwisko.

Rozważano również wszczęcie postępowania przygotowawczego przeciwko niej. Jednak po konsultacji z Biurem Śledczym MSW z tego pomysłu zrezygnowano. Okazało się bowiem, że chociaż Górecka wyjeżdżała na podstawie paszportu służbowego, to nie można było wszcząć procedury, gdyż sportowcy byli traktowani jak przedstawiciele organizacji społecznych, a nie jak urzędnicy. W związku z tym nie mogła zostać pociągnięta do odpowiedzialności karnej „z tytułu tej kategorii przestępstwa”.

Tymczasem lekkoatletka rozpoczęła niełatwe życie emigrantki w Republice Federalnej Niemiec. Co prawda, po nałożonej na nią dyskwalifikacji przez polskie władze sportowe powróciła do uprawiania sportu jako reprezentantka RFN, ale nie odniosła już większych sukcesów – wystartowała wprawdzie na kolejnej olimpiadzie (Meksyk 1968), lecz nie był to występ udany. Tymczasem w PRL zapanowała na jej temat zmowa milczenia. Do Polski przyjechała dopiero niedawno. „Przez wiele lat wstydiłam się tego, że opuściłam kraj. Traktowano mnie tu przecież jako zdraczkinię. A ja tylko poszłam za głosem serca...” – mówiła dziennikarzom „Sportu” Dariuszowi Leśnikowskiemu i Włodzimierzowi Sowińskiemu. ■

Jednostka na szczeblu MSW odpowiedzialna za działalność śledczą

Niemiecka Republika Federalna (nazwa używana w PRL do 1970 roku), właśc. Republika Federalna Niemiec (RFN)

Regina Kruk (ur. 1934) – funkcjonariuszka aparatu bezpieczeństwa (1950–1980), starszy oficer śledczy Wydziału I Departamentu Śledczego MSW (1964–1967)

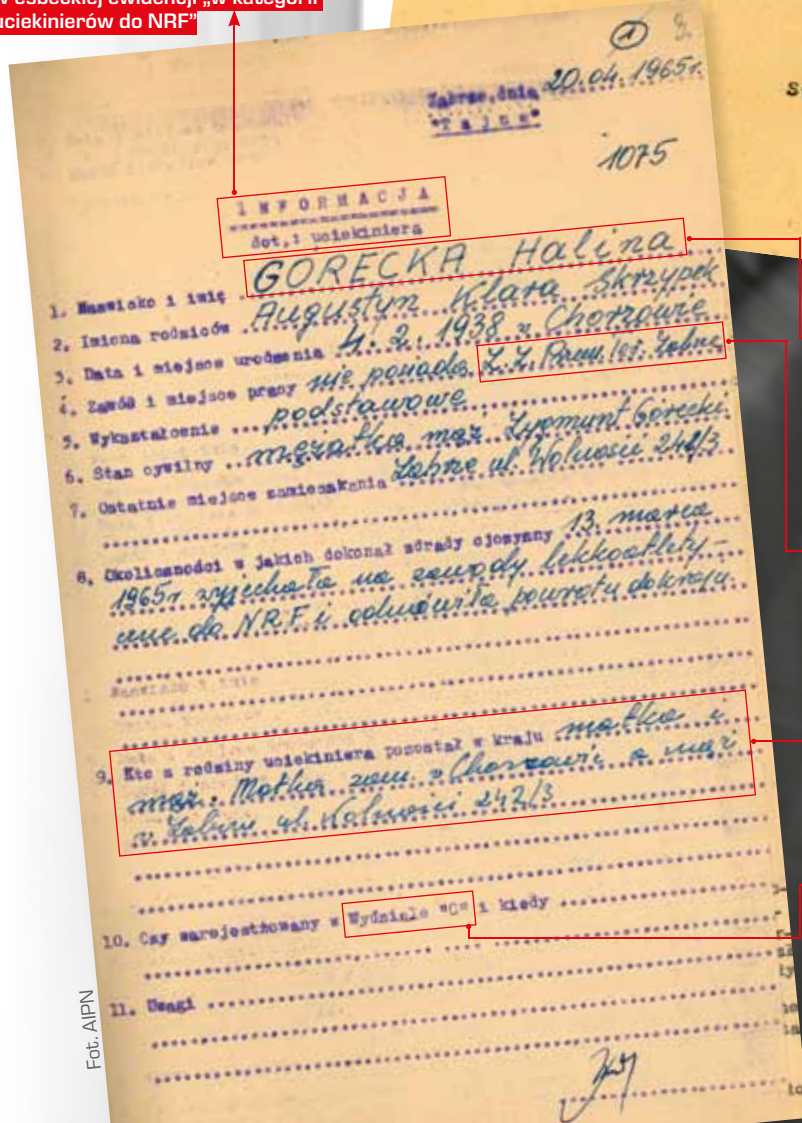
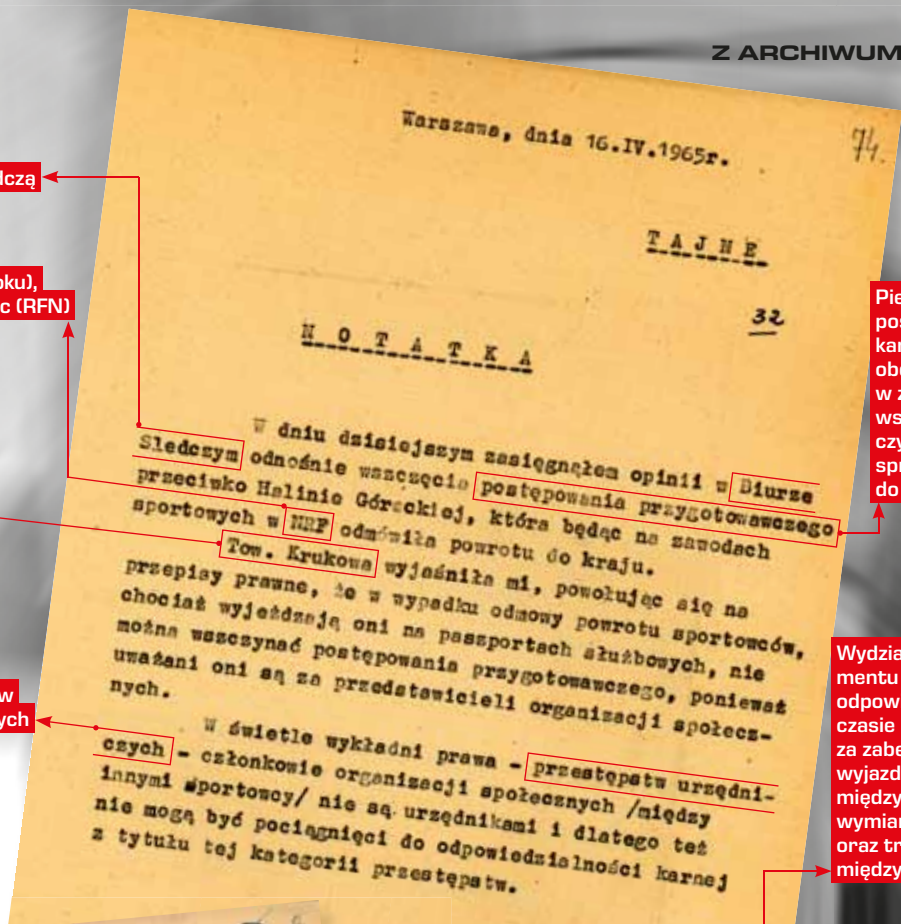
Do wejścia w życie nowego kodeksu karnego (1969) pojęcie stosowane bardzo szeroko, np. w odniesieniu do magazynierów w przedsiębiorstwach państwowych

Specjalny druk, który wypełniano w razie ucieczki danej osoby z kraju lub odmowy powrotu do Polski z zagranicy; Górecką zarejestrowano w esbeckiej ewidencji „w kategorii uciekinierów do NRF”

Pierwszy etap postępowania karnego, obejmujący w zasadzie wszystkie czynności zanim sprawa trafi do sądu

Wydział VI Departamentu II MSW – odpowiadał w tym czasie za zabezpieczenie wyjazdów w ramach międzynarodowej wymiany osobowej oraz transport międzynarodowy

Tadeusz Płocha (ur. 1922) – w latach 1946–1971 funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa, 1964–1967 starszy oficer operacyjny Wydziału VI Departamentu II MSW



Halina Górecka (ur. 1938) – wybitna polska lekkoatletka, członek słynnego polskiego „Wunderteamu”, m.in. złota medalistka olimpijska w sztafecie 4 x 100 metrów (Tokio 1964), dwukrotna rekordzistka świata w tej konkurencji

Zabrzańskie Zakłady Przemysłu Terenowego w Zabrzu, czyli formalne miejsce zatrudnienia Góreckiej

Dane o rodzinie pozostałej w kraju służyły do ewentualnej działalności operacyjnej wobec uciekiniera, a także były wykorzystywane przy podejmowaniu decyzji o przyznaniu paszportu – członkowie rodzin uciekiniera mieli zdecydowanie mniejsze szanse na decyzję pozytywną, ich wyjazdy blokowano czasem przez wiele lat

Jednostka na szczeblu wojewódzkim odpowiedzialna w tym czasie za ewidencję operacyjną

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Pamiętać i żyć

Austriacy nie rozliczyli się z nazistowską przeszłością tak gruntownie jak Niemcy. Moja rodzina też nie chciała słyszeć o rozliczeniach – mówi Martin Pollack, pisarz i tłumacz literatury polskiej, w rozmowie z Maciejem Foksem i Filipem Gańczakiem

Świat w XX wieku to obszar wojen, masowych mordów, „skażonych krajobrazów” – jak brzmi tytuł Pana najnowszej książki. Co sprawia, że zwykli ludzie stają się zbrodniarzami?

Nie jestem filozofem. Ale obawiam się, że świat taki już jest. I chyba nie możemy powiedzieć: „to były czasy hitlerowskie i stalinowskie, teraz mamy to już za sobą”. Dzisiaj też widzimy, że zwyczajni ludzie nagle stają się masowymi mordercami. Tak jak kiedyś mój ojciec.

Pana ojciec, Gerhard Bast, był SS-Sturmbannführerem.

Jego życiorys był dosyć typowy dla Austriaków z tamtego pokolenia. Ojciec pochodził z rodziny z terenów mieszanych, zamieszkałych przez Słowaków i ludność niemieckojęzyczną. W okresie międzywojennym studiował prawo w Grazu. Był członkiem korporacji studenckich. Później wstąpił do gestapo, do SS i do SD (Sicherheitsdienst). Służył m.in. w Linzu, w Münster, w Polsce i na Słowacji. Zrobił typową – można by powiedzieć – karierę gestapowca austriackiego. Bardzo dużo było takich jak on. Nie mówię tego, żeby usprawiedliwić to, co zrobił, bo tego się nie da usprawiedliwić. Ale nie był potworem, psychopatą. Był zwykłym Austriakiem, zwykłym człowiekiem. Niewiele brakowało, by po wojnie uciekł do Ameryki Południowej. W 1947 roku został jednak zamordowany na tle rabunkowym przy próbie przejścia przez granicę.

W książce *Śmierć w bunkrze* wspomina Pan, że w wieku 14 lat dowiedział się od matki o niechlubnej przeszłości ojca.

To wtedy matka pierwszy raz otwarcie powiedziała, że ojciec był w gestapo i w SS, a ja już byłem w tym wieku, że



Fot. ze zbiorów Martina Pollacka

Martin Pollack (ur. 1944) – austriacki pisarz i tłumacz. Przełożył na niemiecki m.in. książki Ryszarda Kapuścińskiego. W 2007 roku otrzymał Nagrodę im. Karła Dedeciusa dla najlepszego niemieckojęzycznego tłumacza literatury polskiej. W tym samym roku za książkę *Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu* dostał Angelusa, Nagrodę Literacką Europy Środkowej. Wydał również m.in. zbiór reportaży *Dlaczego rozstrzelali Stanisławów* (2009), a ostatnio – esej *Skażone krajobrazy* (2014).



Fot. Maciej Foks

rozumiałem, że to nie znaczy nic dobrego. Wcześniej rodzina też nie ukrywała przede mną przeszłości ojca. Przeciwnie, nawet chwalono się tym, kim był. Tyle że jako dziecko niespecjalnie się tym interesowałem.

Ślub Pana rodziców odbył się w szczególnym momencie – 14 kwietnia 1945 roku.

No tak, to nie świadczy o inteligencji mojej mamy, bo wtedy było już wiadomo, jak to się skończy. To już przecież był koniec wojny.

Czy Pana matka już wtedy zdawała sobie sprawę ze zbrodni ojca?

Oczywiście. Była świadoma tego, kim jest i co robi. Nie wiedziała jednak wszystkiego, bo przecież nie była z nim ani na Słowacji, ani w Polsce. Nie przypuszczam, że pisał do niej: „Dzisiaj rozstrzelaliśmy zakładników w Radziejowicach”.

Jak doszło do tej zbrodni?

Mój ojciec trafił tam w czasie Powstania Warszawskiego ze swoim oddziałem – Sonderkommando Einsatzgruppe. Mieli zakładników, których wzięli pod Białymstokiem. Dosłownie w ostatnich dniach dostałem list od pewnego starszego pana, który jako dziecko był świadkiem ekshumacji w Radziejowicach. Opisuje, że jeńcy niemieccy zostali skierowani do kopania ziemi i znaleziono szczątki. Badanie tej sprawy jest dla mnie bardzo nieprzyjemne, ale moim zdaniem jednak potrzebne, bo powinniśmy wiedzieć, kim byli rozstrzelani zakładnicy i ilu ich było. Nie jest wszystko jedno, czy dziesięciu, czy dwudziestu. Bardzo chciałbym też poznać nazwiska.

Z Polski oddział Pana ojca został skierowany na Słowację.

Ich nowym zadaniem było polowanie na Żydów i zwalczanie słowackiego powstania narodowego.

► Gerhard Bast w czasach studiów; opatrunki na twarzy to skutek pojedynku w ramach korporacji studenckiej Germania

Znalazłem dokumenty, a nawet fotografie, pokazujące, że znaleźli w górach Żydów i ich rozstrzelali. Już po wydrukowaniu *Śmierci w bunkrze* pewna pani z Pragi czeskiej napisała do mnie, że jeden z rozstrzelanych to jej wujek. I nagle ten człowiek zyskał imię, nazwisko i swoją historię. Okazało się, że był aptekarzem w Bańskiej Bystrzycy. Dostałem nawet jego zdjęcie. Dla mnie to jest bardzo poruszające. I potrzebne, bo chodzi o to, żeby śmierć nie była anonimowa.

Słyszał Pan o pracach prowadzonych przez IPN na warszawskich Powązkach? Są tam ekshumowane ofiary komunizmu.

Tak, czytałem o tym. Niektórzy mówią: „Dajcie już spokój”. Ale ja myślę, że to jest bardzo ważne. Dwa tygodnie temu byłem zaproszony do Deutsch Schützen – małej miejscowości w Burgenlandzie, położonej 20 km od Bocksdorf, gdzie mieszkam. Dwadzieścia lat temu znaleziono w Deutsch Schützen masowy grób Żydów węgierskich. Teraz burmistrz tej małej miejscowości chce zbierać wspomnienia, bo wciąż nie znamy nazwisk ofiar. Chodzi o to, żeby ustalić, ile ich jest i kim byli ci ludzie.

Jak Pan ocenia postawę Austriaków po przyłączeniu ich kraju do III Rzeszy?

Nie da się ukryć, że Austriacy w większości – bo na pewno nie wszyscy – byli za anszlusem. Mogę tylko powtórzyć: to nie były jakieś potwory, to nie byli psychopaci. Po wojnie mówili: „Myśmy nie wiedzieli o obozie Mauthausen”. Pochodzą z Linzu. To niemal rzut beretem od podwójnego obozu Mauthausen-Gusen. Oczywiście, nie każdy wiedział i widział, co się tam dzieje. Ale trochę wiedzano. Bo przecież nagle znikła rodzina żydowska z sąsiedztwa, aresztowano tego i owego – a ludzie się z tym godzili. Nie powiem, że dzisiejsi Austriacy są nazistami – absolutnie nie – ale wciąż jest bardzo wielu ludzi, którzy mówią: „To nas nie dotyczy. Myśmy nic nie wiedzieli. Myśmy nic nie robili”. Niestety, wiem na przykładzie własnej rodziny, że było inaczej. W mojej rodzinie byli prawie sami naziści. Babcia, dziadek, brat dziadka. Tak samo mój ojczym. Oni nie zmienili poglądów aż do śmierci. Matka, można powiedzieć, była apolityczna.

Pana dziadek, Rudolf Bast, był prawnikiem w Amstetten.

I zbrodniarzem. Po wojnie odsiedział dwa lata. Był nawet w Norymberdze, oskarżony o to, że przeprowadził „aryzację” mienia żydowskiego i że został członkiem SS – bardzo dziwne – w 1944 roku, kiedy miał 64 lata. Po co? Przecież wtedy już powinien wiedzieć, jak to się skończy. To świadczy o tym, że był zapalonym nazistą.

Parę miesięcy temu dowiedziałem się, że mój stryj, młodszy brat mojego ojca, po wojnie mieszkał przez pięć lat w Niemczech pod fałszywym nazwiskiem, bo bał się wrócić do Austrii. Potem jednak już nic mu się nie stało. Zmarł rok temu.

Siostra Pana dziadka – Paulina – nie była narodową socjalistką.

Rzeczywiście. Mieszkała w Laško (niem. Tüffer) na terenie dzisiejszej Słowenii. Jej mąż był zapalonym słoweńskim patriotą. W roku 1945, już po wkroczeniu partyzantów jugosłowiańskich, Paulina została aresztowana, skierowana do obozu w Hrastovcu i tam zginęła. Dziwne: w tej rodzinie było dosyć dużo zbrodniarzy wojennych, ale to ona – niewinna – tak źle skończyła. Moim zdaniem, warto opowiedzieć historię tej biednej, choć może niezbyt ciekawej kobiety. Zaczynam zbierać materiały na ten temat. W mojej rodzinie niestety więcej jest zbrodniarzy niż ofiar.

Mówił Pan kiedyś, że po wojnie obowiązywała formuła „Austria jako pierwsza ofiara Hitlera”.

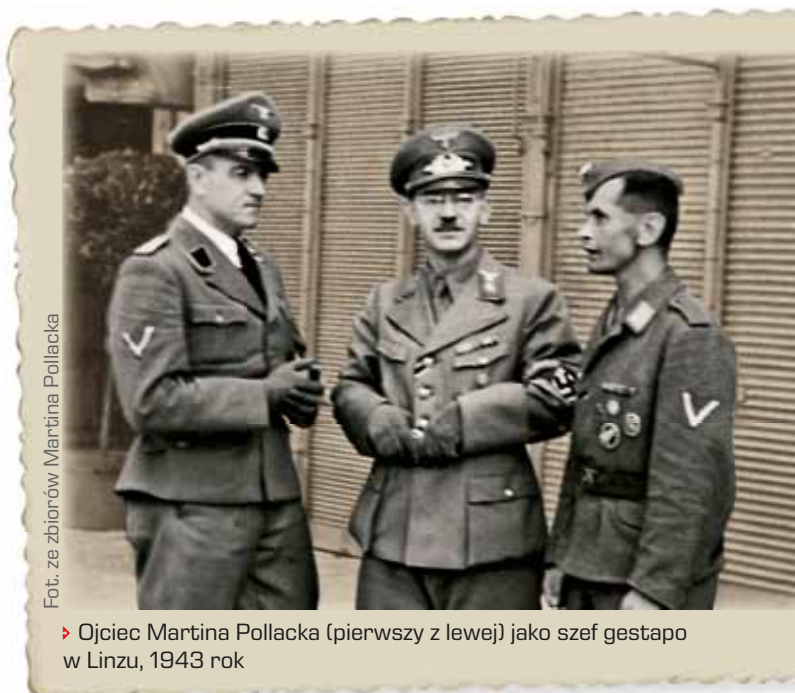
Tak. Bardzo długo, do lat czterdziestych, Austriacy tak mówili – i w pewnym sensie jest to nawet prawdą, bo przecież do Austrii wkroczył Wehrmacht i został obalony kanclerz Kurt Schuschnigg. Tyle że w Wiedniu na Heldenplatz wszyscy witali żołnierzy niemieckich oklaskami. I moja rodzina – jak oni wszyscy – walczyła za to. Anszlus był wielkim marzeniem tych ludzi. Więc nie łudźmy się, większość Austriaków była za. Głupotą jest mówić dzisiaj, że to nieprawda.

Co by Pan zrobił, gdyby Pan tam był w 1938 roku?

Nie wiem.

Czy Austriacy rozliczyli się z nazistowskiej przeszłości?

Dopiero zaczynają. Nie rozumiem, dlaczego robią to tak późno, tak powoli i tak niechętnie. To nikomu nic nie da. Pokazał to przykład Kurta Waldheima, naszego prezydenta w latach ▶



Fot. ze zbiorów Martina Pollacka

▶ Ojciec Martina Pollacka (pierwszy z lewej) jako szef gestapo w Linzu, 1943 rok

1986–1992. Ukrywał swoją przeszłość, ale w dzisiejszych czasach i tak o wszystkim się dowiemy.

Czy austriacka szkoła uczy dziś należycie o narodowym socjalizmie?

Myślę, że teraz jest już zdecydowanie lepiej i w szkołach, i w literaturze. Ale mamy prawicową partię FPÖ, która wciąż relatywizuje zbrodnie niemieckie z czasów II wojny światowej. Wcześniej podobną postawę prezentował Jörg Haider, długoletni premier Karyntii. Pochodził z takiej samej rodziny jak ja – jego ojciec też jeszcze przed anszlusem wstąpił do NSDAP. Dobrze znałem Jörga Haidera. Był trochę młodszy ode mnie, ale są jeszcze tacy ludzie. Nie powiem, że większość.

Jakie różnice dostrzega Pan między Austrią a Niemcami w rozliczaniu nazistowskiej przeszłości?

Społeczeństwo niemieckie zrobiło to gruntowniej niż my.

Co jeszcze powinno się stać, żeby Austriacy zamknęli ten rozdział?

Moim zdaniem, nie da się zamknąć tego rozdziału.

Wielu ludziom Austria kojarzy się raczej z Mozartem czy Straussem niż z Eichmannem, Globocnikiem, Kaltenbrunnerem i Stanglem. Co sprawiło, że tyłu Austriaków wstąpiło w szeregi SS i stało się zbrodniarzami?

Na pewno nie było tak, że zrobili to dla kariery. Przeciwnie, większość z nich siedziała w latach trzydziestych w więzieniach.



Fot. ze zbiorów Martina Pollacka

► W ogrodzie w Amstetten: ojciec, babcia i dziadek Martina Pollacka; prawdopodobnie czerwiec 1944 roku

Czym więc urzekł ich narodowy socjalizm?

To skomplikowane. Już w XIX wieku Austriacy mieli nadzieję, że połączą się z Niemcami. Austria – ze Słoweniami, Polakami, Czechami – wydawała im się zbyt słowiańska. Zakładali więc: nasze szczęście jest w Niemczech. Po I wojnie światowej – kiedy Austria drastycznie się zmniejszyła – ci ludzie myśleli: „Po co nam taka mała Austria? Przecież my jesteśmy Niemcami”. Nikt w mojej rodzinie nie czuł się Austriakiem. Liczono na anszlus – aż doszło do niego w 1938 roku. Hitler zresztą też był Austriakiem. Chodził do szkoły realnej w Linzu, tak samo jak mój ojczym i jak Adolf Eichmann. Wszyscy trzej mieli tego samego historyka – Leopolda Pötscha. Od takich nauczycieli się uczyli.

Czy Pana ojczym znał osobiście Eichmanna i Hitlera?

Jak najbardziej. Z jednej strony patrzył na Hitlera trochę z góry, a z drugiej go uwielbiał. Znał go bardzo dobrze. Eichmanna też, ale chyba nie utrzymywali bliskich kontaktów. Zналиśmy rodzinę Eichmanna, a zwłaszcza rodzinę Ernsta Kaltenbrunnera, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). Moja siostra chodziła nawet przez pewien czas z jego synem. Porządny facet – Hansjörg Kaltenbrunner.

Co mówił o ojcu?

Wtedy nie rozmawialiśmy o takich rzeczach. Ale u nas w domu – w Linzu – był obecny duch nazizmu.

Czy można wskazać w Austrii okres przelomu, kiedy zaczęto mówić o udziale własnych rodzin w zbrodniach? W Niemczech za taki moment uchodzi rok 1968.

U nas też w 1968 roku zaczęto już o tym rozmawiać. Trochę mniej i spokojniej, ale sam brałem w tym udział. Ja i mój brat dyskutowaliśmy z ojczymem. Bardzo, bardzo ostro. W którymś momencie on po prostu wstał i wyszedł.

O co się obraził?

Pytaliśmy, co robił w czasach III Rzeszy. Nie zrobił nic wielkiego, bo nie był już wtedy żołnierzem – był za stary. Był jednak wierzącym nazistą i nie zmienił swoich poglądów aż do śmierci. Uznał więc dyskusowanie z nami za zbyteczne.

Czy utrzymuje Pan znajomość lub rozmawiał z potomkami innych zbrodniarzy?

Raczej nie. Jeśli kogoś spotkam, to jestem gotowy do rozmowy, ale sam o nią nie zabiegam. Ci ludzie prezentują bardzo różne postawy. Na przykład Niklas Frank, syn generalnego gubernatora Hansa Franka, pisze o ojcu z nienawiścią, a z jeszcze większą – o matce. Jego poglądy są mi obce. Ja w dalszym ciągu jestem synem mojego ojca i czuję wobec niego pewną lojalność. Wybrałem taką postawę, że opisuję te sprawy z pewnym dystansem. Nie jestem sędzią ani prokuratorem. Próbuję opisać wszystko tak, jak było – o ile to oczywiście możliwe. Nie będę sądził mojego ojca. Niech to robią ci, którzy czytali moje książki.

A jak Pana bliscy oceniają to, co Pan pisze?

Różnie. Nie wiem, czy rodzina ojca czyta moje książki, w każdym razie już od dawna ze mną nie rozmawiają. Mój brat czyta – i nie ma między nami żadnego sporu. Generalnie nie mam w Austrii problemów z powodu tego, co piszę.

Długo był żywy mit rycerskiego Wehrmachtu – armii, która jakoby nie uczestniczyła w zbrodniach. Dziś jest jasne, że było inaczej. Pan zmierzzył się z innym mitem – legendą Ottona Schimka. Ten młody Austriak miał w 1944 roku zginąć za to, że nie chciał strzelać do Polaków. Jak było naprawdę?

Pisałem o Ottonie Schimku dwa razy. Za pierwszym razem bardzo pozytywnie, bo wtedy byłem zdania, że znalazłem wielkiego bohatera austriackiego, którego nam brakuje. Za drugim razem zabrałem się za ten temat z moim przyjacielem, austriackim pisarzem Christophem Ransmayrem. Postanowiliśmy zbadać tę sprawę bardzo dokładnie: podróżowaliśmy, szukaliśmy świadków, znaleźliśmy nawet siostrę Ottona Schimka – i zaczęliśmy wątpić, czy naprawdę zginął tak, jak mówi legenda. Do tej pory myślę o tym z mieszanymi uczuciami. Wychodzę z założenia, że Otto Schimek był bardzo porządnym człowiekiem. Na pewno mocno naiwnym. Został wychowany – jak mówiła nam jego siostra – przez same kobiety. Był jedynym mężczyzną w domu, najmłodszym bratem, i wszyscy mówili mu – słusznie zresztą: „Ottonie, jak zaczynają strzelać, to nie twoja sprawa. Ty wtedy uciekaj”. I on zrobił to, co mu kazały matka i siostry. Odnaleźliśmy feldwebla z oddziału, w którym służył Schimek, i on powiedział: „No tak, ten wiecieńczyk był naiwny i ciągle uciekał. Złapaliśmy go parę razy, ciągnęliśmy go z powrotem do naszego oddziału, aż nagle znikł na jakieś dwa, trzy dni. Znalazła go żandarmeria polowa i to był koniec”. Moim zdaniem, to chyba była prawdziwa historia tego biednego chłopaka. Nie powiem, że był niedobrym człowiekiem. Wręcz przeciwnie. Gdyby wszyscy postępowali tak jak on, to nie byłoby wojny. Tylko że wielkim bohaterem Schimek też nie jest.

Czyli według Pana nie było tak, że odmówił strzelania do polskich cywilów?

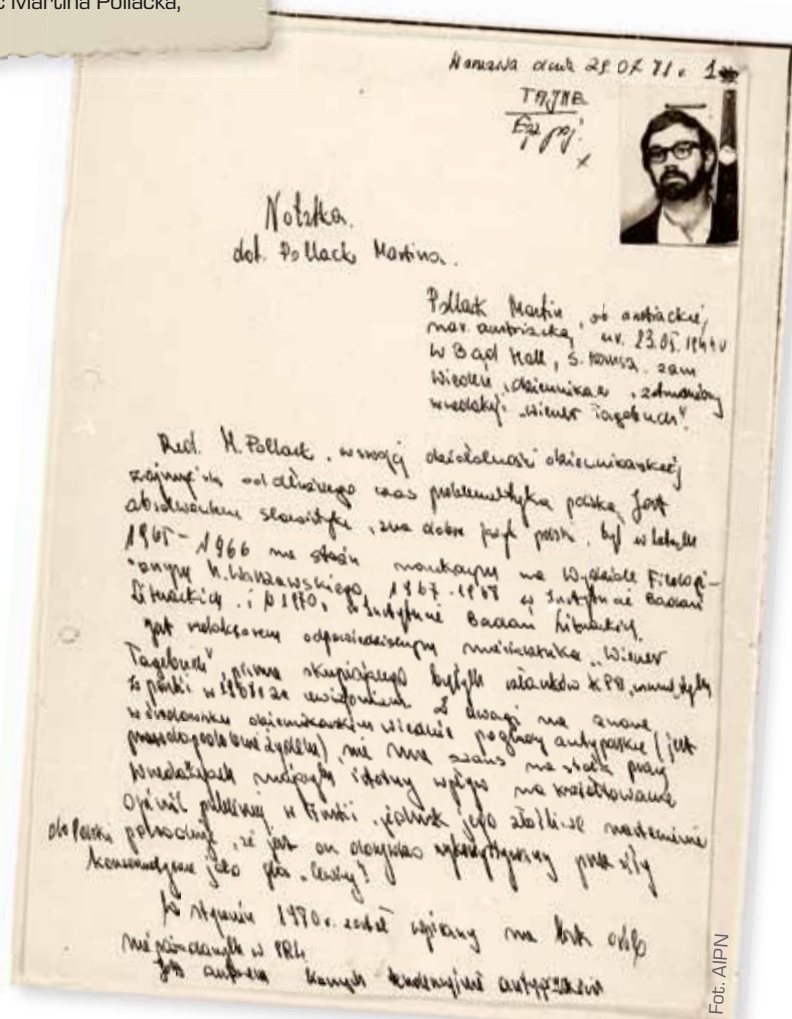
Nie wierzę, że odmówił. Po prostu uciekł. I to jest ludzka rzecz. To normalne, teoretycznie bardzo rozsądne. Tyle że w takich czasach taka postawa może niestety być samobójcza.



► Gerhard Bast, ojciec Martina Pollacka, 1944 rok

Od połowy lat sześćdziesiątych wielokrotnie gościł Pan w Polsce jako stypendysta, a później dziennikarz. Jeden z pierwszych Pana pobytów w Warszawie niemal zbiegł się w czasie z Marcem '68 i kulminacją nagonki antysemitycznej zainicjowanej przez władze komunistyczne.

W 1967 roku, w czasie wojny sześciodniowej na Bliskim Wschodzie, dobrowolnie pojechałem do pracy do Izraela. Stamtąd niemal bezpośrednio wróciłem do Polski na stypendium. Wiedziałem, że podróż tutaj z wizą izraelską niekoniecznie byłaby rozsądna. Zmieniłem więc paszport i trzy tygodnie po powrocie z Izraela przyjechałem ►



► Notatka SB dotycząca Martina Pollacka

Fot. ze zbiorów Martina Pollacka

Fot. AIPN

znowu do Warszawy. Trafiłem właśnie na nagonkę antysemitką. Zacząłem zbierać materiały z prasy, broszury z treściami antysemitkami, postanowiłem napisać coś na ten temat. Pewnego razu do akademika, w którym mieszkałem, przyszedł nieznajomy pan i prowadził ze mną dziwną rozmowę. Nie pamiętam, czy w ogóle się przedstawił, ale powiedział, że władze dobrze wiedzą, co robię. Nie wiem, czy po prostu blefował, ale zdecydowałem się na wyjazd z Polski. W Wiedniu zresztą klub żydowskich studentów organizował konferencję prasową, na którą mnie zaprosili, żebym opowiedział o moich doświadczeniach w PRL. Pamiętam, że obok mnie siedział na podium Szymon Wiesenthal. W latach siedemdziesiątych nie miałem jednak trudności z uzyskaniem polskiej wizy.

18 sierpnia 1980 roku przyjechał Pan do Polski i został zawrócony na lotnisku.

Wybierałem się do Gdańska, gdzie trwał strajk, ale utknąłem na lotnisku w Warszawie. Przyszedł oficer, powiedział, że jestem osobą niepożądaną i muszę natychmiast opuścić Polskę. Nie było już tego dnia powrotnego samolotu. Zaproponowano mi więc nocleg w hotelu o pięknej nazwie Luna. W piwnicy obok męskiej toalety mieli mały pokój. Płaciłem 25 dolarów za noc. Trafił tam również Arab, który nie miał wizy. Przyleciał tutaj – jak mówił – na dziewczyny. Zapytał mnie, czy ja też. Potwierdziłem. Później jeszcze kilka razy próbowała ze mną rozmawiać polska ambasada w Wiedniu. Nie mieli zbyt oryginalnych sposobów. Sekretarz prasowy zapraszał mnie do ambasady na rozmowę. Za każdym razem piliśmy butelkę koniaku. Mój rozmówca mówił: „Rozumiemy pana trudną sytuację. Może coś byśmy dla pana zrobili?”. Zawsze grzecznie dziękowałem.

Nie wyjaśniał, czego chcieli w zamian?

To było oczywiste, ale nigdy nie powiedzieli mi tego otwarcie. Miałem znajomego, austriackiego katolickiego dziennikarza, który za każdym razem, jak pojechałem do Polski, prosił mnie o nazwiska przyjaciół. Potem okazało się, że pracował dla nich. Teraz próbuje ze mną nawiązać kontakt, ale odmawiam.

W styczniu 1989 roku przeprowadził Pan wywiad z Mieczysławem Wilczkiem, ówczesnym ministrem przemysłu PRL.

Pracowałem w tym czasie jako korespondent tygodnika „Der Spiegel” w Wiedniu. Jednocześnie wciąż byłem w PRL osobą niepożądaną. Władze polskie chciały, żeby „Der Spiegel” przeprowadził wywiad z ministrem Wilczkiem. W redakcji odpowiedzieli, że zgadzają się na wywiad pod warunkiem, że ja go zrobię. Polacy stwierdzili, że jestem osobą niepożądaną. „Trudno, nie będzie wywiadu” – odpowiadała redakcja. W końcu otrzymałem specjalną wizę, choć teoretycznie jako Austriak nie potrzebowałem już w tym czasie wizy. Przeprowadziłem wywiad i poszedłem do ambasady austriackiej. Przedstawiłem swoją sytuację ambasadorowi, skarżąc się, że od dziesięciu lat jestem w PRL osobą niepożądaną. Am-

basador dał mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru czegośkolwiek dla mnie zrobić i powinienem się z tym pogodzić. To był 1989 rok. Parę miesięcy później komuniści przegrali w Polsce wybory.

Upadek muru berlińskiego przeżył Pan w Warszawie.

Byłem tego wieczora w hotelu Marriott, relacjonowałem wizytę kanclerza RFN Helmuta Kohla. Pamiętam, jak Polacy dowiedzieli się, co stało się w Berlinie. Zdali sobie sprawę z tego, że Niemcy będą teraz mieli inne problemy – ze zjednoczeniem – i że Polacy już nie będą dla nich tacy ważni.

Czy starał się Pan dotrzeć do materiałów na swój temat, które są dziś przechowywane w IPN?

Pisałem kiedyś do IPN, ale później to odłożyłem. Nigdy nie byłem ważną osobą. Co można znaleźć na mój temat?

Z dokumentów wynika, że władzom PRL nie spodobały się Pana filmy i artykuły z końca lat siedemdziesiątych, np. Marek Edelman – portret dowódcy.

Pierwszy raz o tym słyszę. Wspólnie z przyjaciółką Żydówką, która do dziś pracuje w telewizji, robiliśmy wtedy film o Polsce. Zaproponowałem, byśmy przygotowali również materiał o Marku Edelmanie – jednym z przywódców powstania w getcie warszawskim. Spotkaliśmy się z nim. Nic nadzwyczajnego.

Oficerowie SB pisali o Panu: „złośliwie nastawiony do współczesnej Polski”.

Można powiedzieć, że mieli rację. Pracowałem wtedy dla lewicowego miesięcznika „Wiener Tagebuch”, kojarzonego z komunistami, którzy zostali wyrzuceni z Komunistycznej Partii Austrii po 1968 roku, bo protestowali przeciwko interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Nigdy jednak nie byłem komunistą, bardzo krytycznie patrzyliśmy na ówczesną Polskę. Tłumaczyłem wówczas na niemiecki wiele materiałów polskiej opozycji.

Skażone krajobrazy – Pana najnowsza książka – to rezultat rozmów z ludźmi, którzy mieszkają w miejscach masowych zbrodni.

Nie tylko zresztą moich rozmów. Francuski ksiądz, który jeździł po Ukrainie, poprosił starego człowieka o pokazanie miejsc, w których są pochowani Żydzi. Tamten pokazał. Przybiegli chłopci. „Idźcie stąd, przecież tu mamy swoje ziemniaki, sałatę” – mówili. Nie chcą wiedzieć. To bardzo ludzki odruch.

Trzeba pamiętać, aby żyć, czy pamiętać i żyć?

Pamiętać i żyć. Mamy to za sobą, a teraz trzeba patrzeć w drugą stronę i iść do przodu. Iść do przodu, ale również pamiętać. ■

Rozmowę przeprowadzono w Austriackim Forum Kultury w Warszawie

► Stanisław Bogusławski (drugi z lewej), dowódca Legionu Polskiego w Finlandii

Fot. NAC

Polacy w Finlandii: pierwsi przeciw bolszewikom

Jacek Jaworski

Legion Polski w Finlandii to formacja z okresu I wojny światowej, niewątpliwie należąca do tych najmniej znanych. Historyk wojskowości, Wacław Lipiński, opisując w 1928 roku polskie oddziały z tamtego czasu, poświęcił mu zaledwie jedno zdanie, w dodatku niezbyt precyzyjnie podając ramy czasowe jego istnienia. Tymczasem to pierwsza polska formacja, która walczyła z bolszewikami.

Legion powstawał jako urzeczywistnienie wzniosłych słów fińskiego poety Veiko A. Koskenniemi: „Ludzie! Miejsce dla Białego Orła Polskiego”. Oba narody w przeszłości łączyło niewiele. Owszem, wśród Finów całymi latami wyraźnie się rysowała sympatia dla polskich dążeń niepodległościowych, ale wiedza Polaków o sąsiadach z drugiej strony Bałtyku była znikoma. Specyfika imperium rosyjskiego sprawiła, że Finowie kojarzyli się w okresie naszych powstań narodowych jedynie ze znakomitymi strzelcami „finlandzkimi”. Ich odwagę i nieugiętość wysoko musieli ocenić powstańcy listopadowi i stycz-

niowi, którym niejednokrotnie przychodziło walczyć z tymi najlepszymi oddziałami carskiej armii.

Naturalna sympatia

Ale nie zapamiętano Finów jako wrogów. W okresie formowania się państwowości fińskiej, w 1917 roku, polski poseł do rosyjskiej Dumy, Aleksander Lednicki, został wręcz oskarżony przez Aleksandra Kiereńskiego o sympatie dla Finlandii. Mieszkańcy tamtejszej polskiej kolonii urządzili uroczyste zgromadzenia na rzecz niepodległości Finlandii jeszcze przed jej proklamowaniem, które nastąpiło 6 grudnia 1917 roku. „Co się tyczy manifestowania sympatii na rzecz Finlandii, to objaw ►

ten jest zupełnie naturalny – wyrażał swą opinię Lednicki – [...] wielu Polaków znalazło gościnę w Finlandii, a poza tym narodowi polskiemu muszą być bliskie dążenia narodów do odzyskania niepodległości”.

Jednak zdecydowana większość Polaków o tę gościnę bynajmniej nie zabiegała. Znaleźli się tu w końcowych latach XIX wieku jako przymusowi rekruci. Od końca XIX wieku w Finlandii stacjonowało około tysiąca Polaków w carskich mundurach. Liczba ta wzrosła znacznie ok. 1912 roku, a w 1917 służyło tu już co najmniej 4 tys. naszych rodaków (prawdopodobnie do 6 tys.), przeważnie w piechocie, artylerii oraz marynarce.

Panująca wśród Polaków atmosfera przychylności wobec fińskich dążeń niepodległościowych sprawiła, że wkrótce po przewrocie lutowym

w Rosji Polacy z załóg armii rosyjskiej kwaterujących w Finlandii zaczęli tworzyć Związki Wojskowe Polaków w kilkunastu miejscowościach, m.in. w Helsinkach, Wyborgu (Viipuri), Vaasa, Kokemiakach, Panelli. Henryk Skibiński, przewodniczący Komisji Likwidacyjnej Polskiej w Finlandii, jeszcze w marcu pozostawał w szeregach armii rosyjskiej. Nie przeszkodziło mu to w zwołaniu

zebrania wszystkich Polaków służących w armii rosyjskiej w trzech miejscowościach: Raumo, Kokemiaki i Panelli. Na tym liczącym 120 osób spotkaniu Skibiński został wybrany na prezesa związków wyżej wymienionych miejscowości. Bezwzględnie przystąpił do pracy, aby skupić jak największą liczbę Polaków, których celem było oddzielenie się od armii rosyjskiej i stworzenie polskich oddziałów „dla obrony i dopomożenia w odrodzeniu się ojczyzny”. Przy pomocy sekretarza związku rozpowszechniał broszurę *Józef Piłsudski*, wydaną przez rtm. Stanisława Bogusławskiego, mającą pobudzić świadomość narodową. Dążenie do niepodległości wśród Polaków w Finlandii jeszcze bardziej się pogłębiło po wybuchu rewolucji bolszewickiej, zapoczątkowanej tu rozruchami w Wyborgu, a następnie w Helsinkach.

Obrona przed chaosem

W sytuacji powszechnej anarchii, generowanej przez krwawy przewrót, polscy wojskowi, podlegając formalnie samowładzemu tzw. Oblastnemu Komitetowi Finlandii, z tym większą energią dążyli do usamodzielnienia i wydzielenia z armii rosyjskiej. Porucznik Antoni Ropelewski tak wspominał ten przełomowy okres: „Zaistniała konieczność zorganizowania się, aby wyjść ręką obronną z powstałego w armii chaosu i dezorganizacji, aby uchronić się od mieszania się w cudze sprawy”. Przedstawiciele związków z poszczególnych miast na I ogólnym zjeździe w Wyborgu w czerwcu 1917 roku postanowili wydzielić z szeregów armii rosyjskiej Polaków i stworzyć własne formacje, by w odpowiednim czasie opowiedzieć się po stronie Finów w ich spodziewanej walce o całkowitą niepodległość. Zjazd ten wyłonił Centralny Komitet Związków Wojskowych Polaków w Finlandii, który stał się władzą naczelną oraz ciałem politycznym polskich oddziałów. Prezesem został por. Włodzimierz Strycki.

Jedną z pierwszych formacji był Oddział Polskiej Konfederacji w Helsinkach (*Otdiel Polskoj Wojennej Konfederacji* – ta rosyjska nazwa widniała na pieczęci). W listopadzie

1917 roku zorganizowano w Helsinkach Polski Dywizjon Artylerii Ciężkiej pod dowództwem kpt. Korzeniowskiego, złożony z trzech baterii dowodzonych przez polskich podporuczników. Liczył łącznie stu żołnierzy, którzy, jako oddział sprzymierzony, otrzymali koszary oraz zapotrzebowanie z armii rosyjskiej, z której zostali już zwolnieni. Taki sam dywizjon powstał w Sweaborgu, a w Wyborgu – kombinowany, utworzony ze wszystkich rodzajów broni, Polski Batalion Piechoty ppor. Stanisława Bogusławskiego (ok. 400 żołnierzy). Powstała też 1 kompania piechoty, która została rozmieszczona na wyspie Inio. Jednostki te stały się bazą zorganizowanego wkrótce Legionu Polskiego w Finlandii.

Przezwrot bolszewicki przyspieszył ferment rewolucyjny wśród żołnierzy rosyjskich na terytorium Finlandii. Legalne władze fińskie opuściły stolicę, a gen. baron Karol Gustaw Mannerheim (późniejszy marszałek) z wiernymi wojskami rozpoczął przygotowania do walk, koncentrując siły na południu od Helsinek. Rewolucja miała w Finlandii niezwykle krwawy przebieg. Fiński chłop, od pokoleń przywykły do ojcowizny, niedotknięty prawem rosyjskiego poddaństwa, zaciekle bronił swego, nie godząc się na komunistyczny eksperyment.

Fińscy komuniści, ułatwiając porachunki z oponentami, Polakom okazali co najmniej obojętność, a niekiedy nawet pewne formy uprzejmości. Głównodowodzący fińskiej Czerwonej Gwardii przychylnie się ustosunkował do starań podejmowanych przez zorganizowanych w Wyborgu Polaków o nierozwiązywanie funkcjonującego tam polskiego oddziału. Tak pozytywny stosunek fińskich komunistów do Polaków nie był jednak regułą. Miał się o tym przekonać prezes Skibiński. W czasie usilnej agitacji na rzecz skupiania się polskich wojskowych został aresztowany przez bolszewików i osadzony w więzieniu w Kokemiakach.

Legion w Wyborgu

W miarę narastającego niebezpieczeństwa ze strony zanarchizowanej i rozprężonej masy rosyjskiego żołnierstwa rozpadają-



► Oficer Legionu Polskiego w Finlandii i orzeł z odznaką pamiątkową



cej się i zrewoltowanej armii carskiej armii, oddziały polskie połączyły się w jeden Legion Polski, który zakwaterował się na stałe w Wyborgu. Polacy dysponowali tu wygodnymi koszarami w środku miasta, z dala od kwater rosyjskich. Mieli znaczne zapasy amunicji, żywności i pieniędzy. Legion rozporządzał 1,7 tys. ludzi przy 37 oficerach i był dobrze uzbrojony. Dowódcą „Finlandczyków” został – awansowany do stopnia rotmistrza – Stanisław Bogusławski. Swoje siły Polacy oddali do dyspozycji legalnej władzy Finlandii, reprezentowanej przez naczelnika państwa, Pehra Evinda Svinhufvuda. Ustalono, że polskie siły zbrojne będą się starać utrzymać w swych rękach maksimum broni i amunicji oraz dbać o porządek w twierdzy Wyborg i na odcinku kolejowym Wyborg – granica rosyjska.

Nie angażując się na razie w walki między siłami rządowymi a fińsko-rosyjskimi oddziałami bolszewickimi, legion stał się świadkiem uzyskania przez Finlandię niepodległości, proklamowanej przez parlament 6 grudnia 1917 roku. Przeprowadzono wybory, w których wygrała partia narodowa. Naczelnik państwa Svinhufvud udał się do Petersburga i osobiście rozmawiał z Leninem. Treść rozmowy nie jest znana, lecz w jej wyniku władza sowiecka 31 grudnia 1917 roku uznała niepodległość Finlandii. Jednak w kraju było jeszcze wiele zrewoltowanych oddziałów wojska rosyjskiego, a bardzo liczna socjaldemokracja fińska wyraźnie dążyła do zaprowadzenia dyktatury proletariatu, organizując swą armię czerwoną. Bolszewicy rosyjscy, którzy właśnie formalnie uznali prawo Finów do niepodległego bytu, wysygnowali jednocześnie ogromne sumy,

by wywołać rewolucję w Finlandii. Jej zwolennikom rozdawano broń i żywność, uruchomiono aparat propagandy.

27 grudnia rewolucyjne oddziały odniosły sukces na południu Finlandii, a w styczniu w Helsinkach wzniesiono rewolucję. Już dwa dni później stolica otrzymała swój nowy organ władzy – sowiet – i utworzono tam rząd rewolucyjny, który podpisał układ o przyjaźni z Rosyjską FSRR. Jednocześnie kontrolowany przez bolszewików rząd rozpoczął krwawą wojnę domową z legalnym rządem fińskim, który urzędował na północy kraju. Wraz z rządem sformowała się prężna armia fińska. Pierwsze jej kadry utworzyli jeszcze w 1916 roku aktywiści niepodległościowi przy pomocy przybyłych ze Szwecji instruktorów. Do końca tegoż roku ukrywano ją przed Rosjanami pod szyldem różnych organizacji i towarzystw sportowych – na podobnej zasadzie, jak w przypadku polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, działającego przed I wojną światową.

Przy współudziale dziesięcioletniej armii niemieckiej gen. Rüdiger von Goltza, a także fińskich ochotników z armii niemieckiej, tzw. Jegrów, z 27 batalionu, armia narodowa opanowała sytuację. Wczesną wiosną 1918 roku wojska fińskie przekroczyły na wschodzie granicę dawnego Wielkiego Księstwa Finlandzkiego i weszły do rosyjskiej Karelii z zamiarem przecięcia linii kolejowej Murmańsk–Pietrozawodsk i odcięcia drogi z Pietrozawodsk

wodsk i Moskwy na Murmańsk. Wiosną rewolucja została stłumiona i po kolejnych zwycięstwach nad Rosjanami, szczególnie pod Tampere 16 maja 1918 roku, armia narodowa wkroczyła do Helsinek.

Szwedzi czy Niemcy, którym zdecydowanie bardziej zależało na okupowaniu Finlandii niż wspieraniu jej niepodległości, nie byli jedynymi aliantami Finów. Władzom brakowało sił militarnych do utrzymania porządku w kraju, toteż bezinteresowne zaangażowanie się pokaźnego Legionu Polskiego było ważnym czynnikiem przywracania ładu w Finlandii. Jego przeciwnikiem były jednak często nie tyle oddziały bolszewickie, ile zwykłe bandy rosyjskich żołnierzy i marynarzy, uciekających z bronią do Rosji. Zadaniem legionu – z którego się zresztą wywiązał – było niedopuszczenie do wywozu tej broni z Finlandii. Już 1 i 2 stycznia 1918 roku Polacy stoczyli ciężkie boje z oddziałami czerwonych Finów na froncie wyborskim. Wczesną wiosną legion uczestniczył w części operacji prowadzonych w rosyjskiej Karelii. Od 14 do 18 kwietnia Polacy wzięli udział w walkach w Helsinkach. Poległych pochowano na cmentarzu Hietaniemi. Legion Polski prowadził również akcje socjalno-zaopatrzeniowe.

Z ziemi fińskiej do Polski

Niewielkie wydawnictwo wspomnieniowe *Legion Polski w Finlandji 1917–1927* (pisownia oryginalna), poświęcone dzie-

► Legion Polski w Finlandii, Wyborg, pochód podczas uroczystości ku czci Tadeusza Kościuszki



sięciuleciu powstania legionu, stwierdza, że cel Legionu Polskiego w Finlandii został osiągnięty: „Legion skupił w swych szeregach polskich żołnierzy, wzmocnił wśród nich poczucie wolności, tęsknotę i wolę powrotu do Ojczyzny”. Stwierdzenie to nie jest pozbawione racji. Jednakże samo zgromadzenie Polaków w jednej formacji nie stanowiło przecież celu samego w sobie. Znawczyni problematyki Polonii fińskiej, Elżbieta Later-Chodyłowa, w pracy *Polacy i Polonia w Finlandii* utrzymuje, że głównym celem legionu było dołączenie do organizowanego na Białorusi Korpusu Polskiego gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. To jednak okazało się niemożliwe wobec sprzeciwu rządu bolszewickiego.

Dowództwo polskie rozpoczęło więc proces wyprowadzania legionu z fińskiej ziemi dopiero po uzyskaniu przez to państwo niepodległości. Jednostki polskie jako zorganizowana siła przetrwały w Finlandii do kwietnia 1918 roku, po czym zostały rozwiązane, ponieważ – jak stwierdził por. Ropelewski – „nie miały możliwości normalnego rozwoju i funkcjonowania”. Zgodnie z Traktatem Brzeskim polskie wojska miały zostać wycofane do Polski. Po zakończeniu walk fińsko-bolszewickich i podpisaniu 14 października 1920 roku traktatu pokojowego w Dorpacie, ewakuację żołnierzy polskich przyspieszono. Mimo formalnego rozwiązania legionu, odbywała się ona w sposób zorganizowany. Z zadaniem umożliwienia

powrotu do ojczyzny przybył do Finlandii delegat Rady Regencyjnej Józef Żabicki. Legioniści wracali eszelonami i statkami.

Dowództwo Legionu Polskiego zdołało na czas wyprowadzić swych podkomendnych. Ponad 2,5 tys. żołnierzy statkami wróciło z Helsinek do Lipawy na Łotwie, a następnie do Polski. Wielu zdążyło dotrzeć do kraju, by wziąć udział w bojach o Lwów, Wilno i Warszawę. Istotną rolę w ewakuacji polskich legionistów z Finlandii odegrał były poseł Dumy, a wówczas już przedstawiciel Rady Regencyjnej, Aleksander Lednicki. Mandat tej instytucji dawał mu uprawnienia podobne do tych, które ma konsul. Korzystał z niego, by rozciągać nad Polakami opiekę i interweniować w ich sprawach. Jego działalność była nie tylko tolerowana przez bolszewików, lecz także przeważnie okazywała się skuteczna, a wydawane przez niego paszporty uznawano za dowód polskiego obywatelstwa. W różnych częściach Rosji wyznaczył delegatów, upoważniając ich do wydawania polskich paszportów. Bez funduszy, pod ciągłą groźbą przemocy, wśród anarchii – ratował tylu ludzi, ilu się dało, przerzucając ich do Polski.

Zbiegły z bolszewickiego więzienia Skibiński trafił do Wyborgu, gdzie dowódca legionu przydzielił mu funkcję oficera administracyjnego. W służbie pozostał do końca istnienia polskiej formacji. We wspomnieniach twierdził, że Legion Polski wymaszerował do Piotrogradu, a następnie w niewielkich oddziałach przechodził do Polskich Formacji Wschodnich. Sam Skibiński, dwukrotnie jeszcze aresztowany przez czerwonoarmistów, dotarł wreszcie do Warszawy, gdzie się zgłosił do Polskiej Organizacji Wojskowej. 11 listopada brał udział w rozbrajaniu Niemców i wstąpił do Wojska Polskiego.

Powrót na rocznicę

5 czerwca 1927 roku legioniści ponownie się zjawili w Finlandii. Spotkali się tu w dziesiątą rocznicę powstania Legionu Polskiego na koleżeńskim zjeździe, który obradował w ich dawnych koszarach. Parę fotografii uczestników ubranych w dawne mundury daje wyobrażenie o wyglądzie legionistów. Ich uniformy

były zasadniczo wzoru rosyjskiego, choć mocno spolszczone. Charakterystyczne było wówczas upodabnianie mundurów wszystkich polskich formacji w Rosji do tych, które obowiązywały w korpusie gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. Twórcy legionu, m.in. por. Ropelewski, przygotowali wszystkie odznaczenia polskie do mundurów, a także sprowadzili maciejówki z czerwonym otokiem i orzelkiem. Zielony frencz przyozdobiony był pojedynczym, podwójnie złożonym sznurem naramiennym, oplecionym wokół kołnierza, bez plecionek. Nie miał on pagonów ani epoletów, a oznaki stopni noszono na lewym ramieniu. Spodnie granatowe do długich butów, pojedyncze, czerwone lampasy. Legion miał swą odznakę pułkową w formie równoramiennego krzyża z białej emalii z czerwonym środkiem, na którym widniały orzeł i napis: „Legion Polski w Finlandii”. Jeśli rozumieć wprost słowa zawarte we wspomnianym materiale rocznicowym poświęconym legionowi, miał on również własny sztandar: „Podnieśli wysoko i dumnie sztandar z Orłem Białym i hasłem: »Niepodległość Ojczyzny«”. Uzbrojenie i wyszkolenie legionu znacznie przewyższało przebywające w Finlandii oddziały rosyjskie.

Legion Polski był pierwszą polską formacją wojskową, która zaangażowała się w czynne zwalczanie bolszewików. Jego głównym celem było skupienie Polaków na obcej ziemi w narodowych szeregach i wyprowadzenie do odradzającej się ojczyzny. W przeszłości rzadko się zdarzało, by liczne Legiony Polskie na obczyźnie angażowały się w wewnętrzne konflikty danego państwa; walczyły głównie w szeregach jego armii przeciw zagrożeniu zewnętrznemu. Legion Polski w Finlandii, walcząc „o wolność waszą i naszą”, stał czoło podwójnemu zagrożeniu, przyczyniając się do obalenia władzy bolszewików w Finlandii i zarazem odsuwając zewnętrzne zagrożenie z ich strony o dwa dziesięcia lat. 🇵🇱

Jacek Jaworski – sekretarz Klubu Miłośników Dawnych Militariów Polskich, redaktor naczelny klubowego magazynu „Militaria”, autor kilku książek i kilkudziesięciu artykułów o tematyce historycznowojskowej

➤ Stanisław Bogusławski, dowódca Legionu Polskiego w Finlandii



Hermann Baltruschat: opowieść kata

Jacek Sawicki

Są źródła, które pozwalają wniknąć w świat – wydawałoby się – nie do przeniknięcia, dla współczesnych zamknięty. W Archiwum IPN, wśród materiałów po Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, spoczywa album, który pozwala wejrzeć w codzienność służby funkcjonariuszy gestapo na terenach polskich włączonych do III Rzeszy.

Nadine Fresco w książce *Śmierć Żydów. Fotografie* (2011) zamieściła zdjęcia wykonane przez żołnierza niemieckiego w Rosji zimą 1941/1942 roku. Przedstawia ono dwóch powieszonych czerwonoarmistów, lub raczej sowieckich partyzantów, pochwyconych gdzieś na tyłach wschodniego frontu. Takich fotografii – z dzisiejszej perspektywy obrazujących piekło wojny – zachowało się dość dużo. Na omawianym zdjęciu zwraca jednak uwagę drugi plan. Widzimy tam dużą grupę żołnierzy niemieckich przyglądających się egzekucji. Niemal każdy ściska w dłoni aparat fotograficzny.

Przechodnie i pobojowiska

W literaturze przedmiotu wielokrotnie opisywano powszechny wśród Niemców w XX wieku rytuał robienia pamiątkowych albumów związanych z miejscem pracy czy wykonywanym zawodem. Obrazują one etos pracy, szacunek dla hierarchii, są świadectwem silnych więzi korporacyjnych. Zwyczaj ten nie ominął żołnierzy, członków różnych formacji militarnych i policji, pracow-



ników służb okupacyjnych oraz wszelkiej maści urzędów, którzy powszechnie wykazywali potrzebę dokumentowania na fotografiach wszystkiego, czego byli świadkami. Dzięki upowszechnieniu się w Niemczech fotografii małoobrazkowej, wywołanemu masową produkcją znakomitych aparatów fotograficznych przede wszystkim marki Leica, wielu obywateli III Rzeszy wyruszyło na wojnę, zabierając własny aparat i zwoje kliszy. Później na tysiącach amatorskich zdjęć uwieczniali wszystko to, co w ich mniemaniu było interesujące, czasem dziwne, inne; co napotykali i co przeżywali.

Fotografowali życie koszarowe i obozowe, szkolenie, przygotowania do wojny, później działania bojowe – głównie rezultaty walk, ślady wybuchów, zniszczenia, ale także nieprzyjaciela – poległych i jeńców. Częstym tematem zdjęć były portrety mijanych ludzi, zbliżenia twarzy, jakby porównywano ich czy



wręcz dopasowywano do obrazu znanego z prasy, plakatów i filmów – kreowanego przez niemiecką propagandę. Wiele z nich skupiało się na uwypukleniu różnic kulturowych i biedy, czym miały dowodzić wyższości cywilizacyjnej narodu niemieckiego oraz uzasadnić konieczność podboju. Niektóre

z nich utrwały obrazy drastyczne: szyskan, poniżania czy egzekucji.

I tu dochodzimy do drugiej przyczyny tak powszechnego utrwalania wydarzeń na fotografiach. Dla Niemców zdjęcia, podobnie jak nowe niemieckie nazwy miejscowości, ulic, flagi ze swastyką na gmachach publicznych i narzucane przez nich inne nośniki pamięci wzmacniały efekt odniesionego zwycięstwa, legitymizowały je, rozszerzając panowanie na sferę symboliczną. Dawały niemieckim zdobywcom poczucie wagi i trwałości zmian, a co więcej – dawały poczucie uczestnictwa w czymś dziejowym, wręcz wypełniania misji. Dzisiaj te zdjęcia pozwalają badaczom podejrzeć „codzienność” narodowego socjalizmu, przy okazji odkrywają mniej znane oblicze wojny i okupacji.

W pewnym sensie typowym przykładem takich kronikarskich zapędów był album SS-Oberscharführera Hermanna Baltruschata, opublikowany przez Insty-



Pan życia i śmierci

Co wiemy o tym człowieku, kim był i jaką rolę odegrał w latach okupacji? Otóż urodził się 1 grudnia 1907 roku w miejscowości Skirwietell, Landkreis Heydekrug (wcześniej Memelland) – to północno-wschodni fragment Prus Wschodnich, położony na prawym brzegu Niemna, odłączony od państwa niemieckiego w wyniku wejścia w życie traktatu wersalskiego, część

dzisiejszego Rusnė na granicy Litwy i Obwodu Kaliningradzkiego. W 1928 roku Baltruschat rozpoczął służbę w Schutzpolizei, tj. formacjach policji odpowiadających za ochronę porządku w miastach. Wiosną 1933 roku, a więc zaraz po objęciu pełni władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera, Baltruschat wstąpił do NSDAP i otrzymał legitymację nr 1 767 460. Odbył dwuletnią służbę wojskową w Wehrmachcie. Po zwolnieniu, 1 września 1937 roku, podjął pracę w gestapo w Tylży, miejscowości niedaleko granicy Prus Wschodnich z Litwą.

W przededniu wybuchu wojny zmieniał przydział. Znalazł się w szeregach Einsatzkommando Memelland. Einsatzgrup-

pen der Sicherheitspolizei – tę nazwę nadano specjalnej formacji stworzonej przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, składającej się z oddziałów przeznaczonych do „zwalczania na zapleczu wojsk działających w kraju nieprzyjacielskim wszelkich elementów wrogich Rzeszy niemieckiej”. Takie, wydawałoby się, ogólne zasady działania wyznaczone im zostały na miesiąc przed uderzeniem na Polskę przez Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych Wehrmachtu oraz szefa policji i służby bezpieczeństwa i jednocześnie szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy SS-Obergruppenführera Reinharda Heydricha.

W rzeczywistości na podstawie decyzji Hitlera i wspomnianego rozkazu dowódcy Einsatzgruppen oraz szefowie wkraczających do Polski innych jednostek policyjnych mieli prawo do natychmiastowego, często z pominięciem wprowadzonych jednocześnie policyjnych sądów doraźnych, decydowania o życiu i śmierci oraz rozstrzeliwania na miejscu wszystkich podejrzanych o stawianie oporu, nawet hipotetycznego. W praktyce rozstrzeliwano Polaków podejrzewanych o wrogą działalność wobec Niemców, oraz przejawiających taki stosunek w przeszłości, a także Żydów. Jak obliczono, tylko we wrześniu 1939 roku przeprowadzono 522 egzekucje, w których zamordowano 11 tys. osób.

W czasie kampanii wojennej w Polsce Baltruschat działał w składzie Einsatzgruppe 3/V przy 3. Armii atakującej z Prus Wschodnich na Warszawę. Po rozwiązaniu formacji w końcu 1939 roku powrócił do pracy w gestapo. Od tego czasu służył w strukturach okupacyjnych na terenach polskich przyłączonych do Rzeszy: początkowo w Kutnie, później w Inowrocławiu, a po likwidacji tej placówki w Poznaniu, dochodząc do stopnia SS-Oberscharführera. Dalsze losy Baltruschata wciąż są nieznanne. W 1950 roku w czasie postępowania sądowego ustalono, że zginął w Poznaniu w czasie walk o miasto albo zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej. Po wojnie Baltruschat został wpisany do Centralnego Rejestru Prze-

tut Pamięci Narodowej. Dzieło to nie jest badaczom tematu zupełnie nieznanne. Pochodzi z wydzielonego zbioru fotograficznego byłej Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytutu Pamięci Narodowej, będącego obecnie częścią zasobu Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Warszawie. Jest to zbiór o specjalnym charakterze, stworzony na potrzeby Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, w 1949 roku przemianowanej na Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Miał służyć jako materiał dowodowy podczas procesów zbrodniarzy niemieckich, toczących się przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze, a także później w Polsce przed Najwyższym Trybunałem Narodowym i w dalszych procesach. Obecnie zbiór ten liczy ponad 128 tys. jednostek i stanowi jeden z największych w kraju zbiorów fotografii wojennej.

Przez lata błędnie przypisywano autorstwo albumu funkcjonariuszowi SS o nazwisku Schmidt. Działo się tak dlatego że egzemplarz znaleziony został zaraz po wojnie w mieszkaniu przy ul. Bukowskiej (Bukerstrasse) nr 162 w Poznaniu, które zajmował ów funkcjonariusz. W rzeczywistości autorem albumu był Hermann Baltruschat. W zachowanej dokumentacji i relacjach świadków czasem jego nazwisko było błędnie zapisywane: Baltruschak, Baltruszat czy Baltruszak.



H. Schmidt

stępców Wojennych i Podejrzanych jako obwiniani o popełnienie zbrodni nazistowskich.

„Surowy, ale sprawiedliwy”

To zresztą widać z kart jego albumu. Z pobieżnego nawet przeglądu wynika, że Baltruschat był bardzo dumny ze swojej służby w Einsatzkommando, a później gestapo, i swojej roli w umacnianiu niemieczyny na terenach zdobytych. Podkreślają to podpisy pod zdjęciami, np.: „Pierwsza warta w kraju wroga”, „Polscy podludzie...”, „Żydzi precz!”, „Kara była surowa, ale sprawiedliwa” czy też „Moja zimowa praca...”.

Chronologicznie album obejmuje lata 1939–1943. Zdjęcia przedstawiają Baltruschata i jego kamratów z formacji Einsatzgruppe, a później kolejnych osadzanych przez nich placówek gestapo, ukazując przykładową drogę kariery w strukturach aparatu represji. Obok zdjęć portretowych autora i jego towarzyszy służby znajdziemy tu dokumentację pierwszych szykan wymierzonych przeciwko ludności polskiej i żydowskiej, obrazy przedstawiające jeńców wojennych, aresztowania. Bardzo szybko dołączają fotografie z posiedzeń sądów doraźnych. Baltruschat z nieukrywaną chępliwością portretuje skazańców, a później dokładnie dokumentuje przebieg kaźni. Równie często jego obiektyw pokazuje twarze oprawców. Dodajmy, że jest to dzisiaj jedyna forma napiętnowania, w większości bowiem ludzie ci nigdy nie stanęli później przed wymiarem sprawiedliwości i nie zostali rozliczeni za swoje czyny. Właściciel albumu próbuje się przy tym kreować na człowieka surowego, ale sprawiedliwego. To, co widzimy, było jednak zwykłą zbrodnią. Osobne miejsce zajmuje dokumentacja związana z zagładą Żydów: szykany i represje w kolejnych miejscowościach, w których Baltruschat służył.

W części dotyczącej pobytu Baltruschata w Inowrocławiu zwraca uwagę dokładna dokumentacja rozpracowania i likwidacji siatek polskiej konspiracji. Dla czytelnika może być zaskoczeniem to, jak dogłębna była wiedza Niemców o tych sprawach.

Album w warsztacie historyka

Każde zdjęcie jest zapisem konkretnej chwili, jakiegoś wydarzenia. Jeśli nie zostało zmanipulowane, stwierdza: tak było. Fotografie, zwłaszcza uporządkowane w albumie, dają także sposobność dostrzeżenia bardziej złożonych zjawisk historycznych. Dobrym tego przykładem w albumie Baltruschata jest seria zdjęć ze zlotu Hitlerjugend Kraju Warty w Kutnie, kończącego tzw. marsz wolności. Była to duża operacja propagandowa, w której pamięć o zwycięstwie we wrześniu 1939 roku łączono z tezą o prześladowaniu

folksdojców przez Polaków. Miała wykreować mit założycielski, który uzasadniał i potwierdzał niemieckie panowanie na anektowanych ziemiach polskich. Kilka stron dalej Baltruschat wkleił fotografie pokazujące przyjazd do Gostynina niemieckich osadników z Wołynia. Obie serie są wymownym świadectwem niemieckiej polityki narodowościowej, czyli w rzeczywistości brutalnej germanizacji. Pierwsza w jej wymiarze ideologicznym, druga praktycznym.

Album pozwala też odtworzyć światopogląd i portret psychologiczny jego twórcy. W przypadku Baltruschata zwracają uwagę zdjęcia świadczące o zafascynowaniu śmiercią (precyzyjnie ułożone fotoreportaże z egzekucji, zdjęcia przypadkowych ofiar wypadków czy detaliczne obrazy sekcji zwłok) i nazistowska wizja świata (przekonanie o wyższości kultury niemieckiej nad kulturami narodów podbitych).

Po co w ogóle Baltruschat zrobił swój album? Zawartość i forma albumu podpowiadają, że miała to być pamiątka ze służby wojskowej, dokumentacja szczególnych osiągnięć zawodowych. Jednak można w nim też dostrzec coś więcej. Zwracają uwagę wielokrotne odwołania w podpisach pod zdjęciami egzekucji i zabitych cywili do wyroków nazistowskich sądów i pojęcia sprawiedliwości oraz portrety pokazujące Baltruschata nie w mundurze, ale w cywilnym ubraniu, z teczką czy za biurkiem – niczym zwykłego urzędnika wykonującego codzienne obowiązki. Być może w ten sposób próbował usprawiedliwić swoje czyny, starając się przenieść odpowiedzialność za nie na instytucje i abstrakcyjny porządek.

W publikacji – ze względu na szacunek dla zmarłych – niektóre najbardziej drastyczne obrazy zostały zaciemnione. Integralność albumu jako materiału źródłowego jest bowiem wartością mniej ważną niż etyka. Zwłaszcza że naturalistyczne zdjęcia sekcji zwłok niewiele wnoszą do wiedzy historycznej, a ich wierne reprodukowanie byłoby uleganiem pornografii śmierci, tak charakterystycznej dla Baltruschata.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na postęp w badaniach nad problematyką II wojny światowej. Album Baltruschata znany jest od dawna. W 1963 roku Jerzy Ziarnik zrealizował nawet film dokumentalny *Powszedni dzień gestapowca Schmidta*, w którym wykorzystał ponad sto zaczerpniętych z niego zdjęć. Niewiele jednak wiadano o konkretnych przedstawionych w nich ludziach, a autorstwo albumu przypisywano błędnie Schmidtowi. Dopiero współczesne badania historyków polskich i niemieckich oraz współpraca IPN i Niemieckiego Instytutu Historycznego, pozwoliły na ustalenie wielu faktów. Na przykład odtworzenie struktury i składu osobowego niemieckiej policji bezpieczeństwa w Kutnie i Inowrocławiu okazało się możliwe dzięki konfrontacji akt personalnych z niemieckich archiwów z dokumentami polskiej bezpieki przechowywanymi w archiwum IPN.

Tomasz Stempowski



Fot. Piotr Życiński

► Dyskusja w Niemieckim Instytucie Historycznym towarzysząca promocji albumu: Tomasz Stempowski, prof. Bogdan Chrzanowski (Uniwersytet Gdański), dr hab. Ruth Leiserowitz (Niemiecki Instytut Historyczny), dr hab. Jacek Sawicki, dr Jochen Böhler (Imre Kertész Kolleg Jena)



Okupanci po godzinach

Do innej kategorii tematycznej, ale umiejętnie wplecionej w całość, należą zdjęcia wykonane w czasie koleżeńskich spotkań, rautów i uroczystości, najczęściej zakrapianych alkoholem. Pozwalają one zobaczyć skrawki życia funkcjonariuszy niemieckiego aparatu okupacyjnego na podbitych ziemiach. Nie jest to pełny obraz, ponieważ nie pokazuje życia rodzinnego. W świecie utrwalonym na kartach albumu nie ma miejsca dla żon, kochanek, dzieci. Baltruschat pozostaje na nich cały czas w kręgu służby i kolegów z pracy.

W albumie zwraca uwagę jeszcze jeden charakterystyczny element, mianowicie kompozycja. Jego układ jest przemyślany, podzielony logicznie na części. Wynikają one nie tylko z chronologii wydarzeń, ale też z zamysłu artystycznego autora – odwzorowują strukturę utworów literackich czy muzycznych. Zawierają wyraźny wstęp, przedstawienie wydarzeń – jako rozwinięcie tematu – i zakończenie. Także każda pojedyncza karta albu-

mu ma przemyślany układ. Próbuje on narzucić osobie oglądającej interpretację zgodną z zamysłem autora. Karty mają swoje zdjęcie główne i tło – zdjęcia dopełniające. Fotografie różnią się także wielkością.

Można domniemywać, że album był wykonany z zamysłem kronikarskim i podsumowywał przebieg służby, pokazując związane z nią najistotniejsze wydarzenia.

Tym, co szokuje w trakcie przeglądania albumu, jest coś, co można nazwać teatrem śmierci. Od 1941 roku na kartach pojawiają się zdjęcia niezwykle drastyczne. Wydaje się, że ani życie pod okupacją, ani służba Baltruschata nie uległy brutalizacji. On wykonywał swoją krwawą robotę już od września 1939 roku. Ale w drugim roku wojny, w okresie niemieckich zwycięstw na kolejnych frontach, został przełamany opór moralny przed utrwalaniem obrazu terroru i systemowej zbrodni. Zdjęcia, o których mowa, stanowią swoiste świadectwo kresu człowieczeństwa.

Przedstawiony przez Baltruschata teatr śmierci, powtarzany na kartach albumu wielokrotnie, opiera się na kilku stałych elementach. Pierwszy poziom tworzą zdjęcia sygnalityczne – to portrety osób zatrzymanych, przeciwko którym toczyło się śledztwo. Po nich następują zdjęcia z posiedzenia sądu doraźnego. Musimy pamiętać, że niemal zawsze zapadały na nich wyroki śmierci. Po tych zdjęciach Baltruschat dołączał fotografie skazanych. Zmuszanie

ludzi przed śmiercią do patrzenia w obiektyw aparatu fotograficznego miało być dla nich jeszcze jednym upokorzeniem, a autorowi dostarczało widocznie dodatkowej satysfakcji. Możliwe, że upewniało go co do zasadności i wagi całej akcji.

Kolejny poziom stanowią zdjęcia pokazujące przygotowania do wykonania kary. Ukazują zawłaszczenie przestrzeni publicznej i jednocześnie symbolicznej byłego polskiego miasteczka przez wzniesienie na środku szubienicy. Kolejne zdjęcia dokumentują przebieg kaźni. Na koniec autor albumu zastosował rodzaj kłamry spinającej każdą z tych opowieści i sfotografował ciała ofiar po egzekucji. I znowu często można zobaczyć, że były na różne sposoby profanowane. Albo zrzucano je na wspólny wózek, pozbawiano trumien, albo nawet poddawane były niepotrzebnej sekcji, jak w przypadku ofiar brutalnego śledztwa.

Album rozszerza wiedzę historyczną o okupacji, dając wgląd na sprawców zbrodni, dotykając problemów mentalności szeregowych pracowników aparatu represji oraz przebiegu ich kariery zawodowej w zbrodniczych strukturach policji politycznej. Jest to ważne, bo – jak zauważył Harald Welzer – „sama myśl, że odpowiedzialni za masowe zbrodnie mogli być z psychologicznego punktu widzenia zupełnie normalnymi ludźmi, większości współczesnych wydawała się całkowitym absurdem”.

Dla Baltruschata album był zapewne ważną, bardzo osobistą pamiątką. Przedstawił w nim swój obraz wydarzeń: początkowy „trud” zdobywania, później utrwalania niemieckości na podbitych ziemiach Rzeczypospolitej, inkorporowanych do III Rzeszy. Widać z jego kart, że był dumny z wykonywanych obowiązków. To od niego zależało bezpieczeństwo i porządek prawny na powierzonym terenie. Dla dzisiejszego czytelnika album ma jednak inne znaczenie, jest ważnym świadectwem dokonanej zbrodni, jak bowiem zauważył Aleksander Wat, „świat prędzej wierzy spowiedzi kata niż oskarżeniom ofiary”.

dr hab. Jacek Sawicki – kierownik Sekcji Opracowywania Dokumentacji Audiowizualnej BUiAD IPN



Kariera SS-Oberscharführera Hermanna Baltruschata 1939–1943. Album fotograficzny funkcjonariusza Einsatzgruppe i Geheime Staatspolizei na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy, red. Jacek Zygmunt Sawicki, współpraca Jochen Böhrer, Warszawa 2014

Tom serii wydawniczej IPN „Dokumenty”. Zawiera dodatkowo trzy obszernie teksty historyczne: Jacka Z. Sawickiego o źródle historycznym, którym jest fotografia; Jochena Böhlera o przedstawionych w albumie funkcjonariuszach gestapo; Tomasza Stempowskiego o niemieckich represjach i ich ofiarach. Album został opracowany jako wspólny projekt badawczy Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów Instytutu Pamięci Narodowej oraz Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Zawiera teksty w trzech wersjach językowych: polskiej, niemieckiej i angielskiej.

Transport dwudziestolatków

Szymon Kowalski



► Dworzec kolejowy w Tarnowie, pierwszy transport Polaków do KL Auschwitz, 14 czerwca 1940 roku

14 czerwca 1940 roku przywieziono do KL Auschwitz pierwszy transport polskich więźniów politycznych; z więzienia w Tarnowie przybyło łącznie 728 osób. Datę tę przyjmuje się jako początek funkcjonowania obozu. Od 2006 roku, na mocy uchwały sejmiku, obchodzimy w tym dniu Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych.

Dużą grupę w pierwszym transporcie stanowili osiemnasto-, dwudziestoletni uczniowie gimnazjów i studenci aresztowani jesienią 1939 roku oraz zimą i wiosną 1940 roku w różnych miejscowościach Polski południowej (okolice Nowego Targu, Zakopanego, Nowego Sącza Krynicy, Sanoka). Podążali w kierunku granicy ze Słowacją z zamiarem jej nielegalnego przekroczenia i przedostania się przez Węgry do Francji, do tworzonej tam przez gen. Władysława Sikorskiego polskiej ar-

mii. Część osób aresztowano już na Słowacji. Niemcy określali ich mianem „turystów” bądź „graniczników”. Do tej grupy należeli m.in. Jerzy Bielecki, aresztowany na początku maja 1940 roku w Dąbrowie k. Nowego Sącza oraz Kazimierz Albin i jego starszy brat Mieczysław, którzy dwukrotnie próbowali przekroczyć granicę, ostatecznie zostali aresztowani na dworcu kolejowym w Muszynie (relacja Kazimierza Albina na s. 47).

Oprócz „turystów” w transporcie przywieziono do obozu także organiza-

Konzentrationslager Auschwitz

– największy niemiecki obóz koncentracyjny i ośrodek zagłady. Utworzony wiosną 1940 roku w lewobrzeżnej części Oświęcimia, na terenie dawnych koszar wojska polskiego. W zamyśle hitlerowców miał być narzędziem terroru i eksterminacji Polaków – wrogów III Rzeszy: członków podziemnych organizacji oraz inteligencji: nauczycieli, prawników, lekarzy, byłych wojskowych. Pierwszy transport przywieziono 14 czerwca 1940 roku. Do połowy 1942 roku polscy więźniowie polityczni stanowili największą grupę więźniów. Od wiosny 1942 roku obóz (szczególnie jego druga część Birkenau) stał się centrum deportacji i zagłady blisko miliona europejskich Żydów.

Polacy byli przywożeni do końca istnienia obozu; spośród około 150 tys. deportowanych połowa zginęła w obozie. Ponadto w KL Auschwitz zginęło także 21 tys. Cyganów, 15 tys. radzieckich jeńców wojennych oraz 10–15 tys. więźniów innych narodowości.

torów akcji przerzutu na Węgry. Byli to głównie mieszkańcy Zakopanego i okolic, narciarze i przewodnicy tatrzańscy. Wśród nich Bronisław Czech – znakomity narciarz, taternik, trzykrotny uczestnik olimpiad.

W transporcie znaleźli się również członkowie utworzonego jesienią 1939 roku Związku Walki Zbrojnej, w tej grupie był m.in. pchor. Antoni Wykręt oraz kapitan Tadeusz Paolone (w obozie przebywał pod nazwiskiem Lisowski), organizator konspiracji w Tymbarku.

Liczną grupę stanowiła też młodzież aresztowana wiosną 1940 roku w ramach akcji AB wymierzonej w polską inteligencję. Kierując się głębokim patriotyzmem, wielu z tych młodych ludzi zaangażowało się w działalność konspiracyjną, polegającą m.in. na kolportowaniu ulotek i nielegalnej prasy. W tej grupie znajdowali się m.in. Wiesław ►

Jerzy BIELECKI, ur. w 1921 roku w Słaboszowie, uczeń gimnazjum; aresztowany w maju 1940 roku w Dąbrowie k. Nowego Sącza, w czasie próby nielegalnego przekroczenia granicy. W KL Auschwitz oznaczony numerem 243. 21 lipca 1944 roku w mundurze esesmana uciekł z obozu, wyprowadzając więźniarkę Cylę Cybalską (w obozie przebywała pod nazwiskiem Stawiska), Żydówkę. Po ucieczce Cybalska ukrywała się u polskiej rodziny Czerników w okolicach Raławic. Bielecki walczył w partyzanckim oddziale AK. Oboje przeżyli wojnę.

W 1985 roku został odznaczony przez Instytut Yad Vashem medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Swoje wojenne wspomnienia opublikował w książce *Kto ratuje jedno życie...*. Zmarł w 2011 roku.



Fot. Archiwum PMA-B

Kielar i Stanisław Ryniak – aresztowani w Jarosławiu; Jerzy Bogusz i Adam Jurkiewicz – aresztowani w Nowym Sączu; Jan Zdebik, Emil Barański i jego brat Stanisław – aresztowani w Rzeszowie. W transporcie były także osoby aresztowane przez Niemców w czasie obław ulicznych, wśród nich Bronisław Cynkar, aresztowany w Sanoku, oraz Janusz Pogonowski (w obozie pod nazwiskiem Skrzetuski), aresztowany w czasie łapanki na ul. Szpitalnej w Krakowie. Więźniowie pierwszego transportu pochodzili z różnych grup społecznych, głównie jednak z inteligencji. Obok wspomnianej grupy uczniów i studentów, byli także nauczyciele, prawnicy oraz urzędnicy. Przeważali ludzie bardzo młodzi.

Tarnów: ścisła izolacja

Punktem zbiorczym dla całego transportu było więzienie w Tarnowie, jedno z głównych więzień dystryktu krakowskiego. Więźniów przeniesiono tutaj z mniejszych placówek w Zakopanem, Nowym Targu, Nowym Sączu, Rzeszowie, Jarosławiu, Przemyślu i Sanoku. W aresztach i więzieniach byli poddani przesłuchaniom

► Jerzy Bielecki, fotografia wykonana po ucieczce z obozu, październik 1944 roku

Geheime Staatspolizei — Staatspolizeistelle Litzmannstadt
Nachrichten-Uebersmittlung

Formularz informacyjny o ucieczce Jerzego Bieleckiego z KL Auschwitz, wysłany do placówek policji niemieckiej.

Adresat: Krijo uni Ratno haben Abschr. erhalten.

Telegramm: Funkspruch Fernschreiben Fernspruch

KL AUSCHWITZ NR. 7141 22.7.44 1130 DR =
AN ALLE OESTL. STAPO(LEIT)- KRIPO(LEIT) STELLEN UND
G.P. KOHM., BESONDERS KATTOVITZ UNDKRAKAU =
BETR.: POLN. SCHUTZ. B I E L E T Z K I, GEB.
28.3.21 ZU SŁABOSZOW, ZULETZT WOHNH. GESEWESEN:
MICHALOWITZE, KR. WIECHOW, EINGELIEFERT AM 14.6.40
VON KDR.D. SIPO U.D. SD KRAKAU, AUSZENDIENSTSTELLE TARNOW
O.AZ. =
PERSONENBESCHREIBUNG: 1.78 GROSZ, D* BLONDE HAARE,
SPRICHT POLN. BLAUGRAUE AUGEN, BESONDERE KENNZEICHEN:
AM LINKEN UNTERARM EINTÄTOWIERTE NR. 243. =
B I E L E T Z K I AM 21.7.1944 AUS KL.-AU. ROEH 1
ENTFLOHEN. SOFORT EINGELEITETE SUCHAKTION BISHER OHNE
ERFOLG. WEITERE FAHNDUNGSMASSNAHMEN VON DORT AUS ERBETEN.
IM ERGRIFFUNGSFALLE KL.-AUSCHWITZ UNGEHEHR
BENACHRICHTIGEN. =
ZUSATZ FUER STL. KATTOVITZ: UIRLIEGENDE GEND. POSTEN
WURDEN F VON FLUCHT FERNMUENDLICH VERSTAENDIGT N DESGL.
HAUPTZOLLAETHER KATTOVITZ, BIELITZ, TESCHEN ZUR
MITFAHNDUNG VERANLASZT. =
ZUSATZ FUER KRAKAU: AUSSCHREIBUNG B I E L E T Z K I
IM SONDERFAHNDUNGSBUCH VON DORT AUS VERANLASSEN. =
ROEH 2/243/22.7.44 SCHU.- BO. = KL. AU. ROEH 1
GEZ.: B A E R . +

Fot. Archiwum PMA-B

► Telegram władz obozowych informujący o ucieczce Jerzego Bieleckiego z KL Auschwitz, wysłany do placówek policji niemieckiej





Fot. Archiwum PMA-B

► Fotografia obozowa Stanisława Ryńskiego

połączonym z biciem i torturami. Przeniesieni do Tarnowa, zostali umieszczeni w zatłoczonych celach. Dokuczały im szczególnie głód, wszy oraz całkowita izolacja – zakaz pisania listów, brak spacerów, a nawet zakaz zbliżania się do okien. Mimo tych obostrzeń więźniom udawało się nawiązać kontakt między celami oraz z otoczeniem. Wyrzucane przez nich grypsy zbierali w nocy tarnowianie mieszkający w pobliżu więzienia.

► Budynek przedwojennego Monopolu Tytoniowego, w którym początkowo umieszczono więźniów z pierwszego transportu, później – *Stabsgebäude* (budynek sztabowy); obecnie siedziba Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. rtm. Witolda Pileckiego

Przesyłano je następnie pod wskazany adres i w ten sposób rodziny dowiadywały się o miejscu pobytu swoich bliskich. Wkrótce do niektórych więźniów zaczęły nadchodzić paczki z żywnością. Pomocy udzielali także polscy strażnicy więzienni oraz miejscowe oddziały Polskiego Czerwonego Krzyża i Polskiego Komitetu Opiekuńczego.

13 czerwca wieczorem opróżniono wszystkie cele, więźniom zwrócono

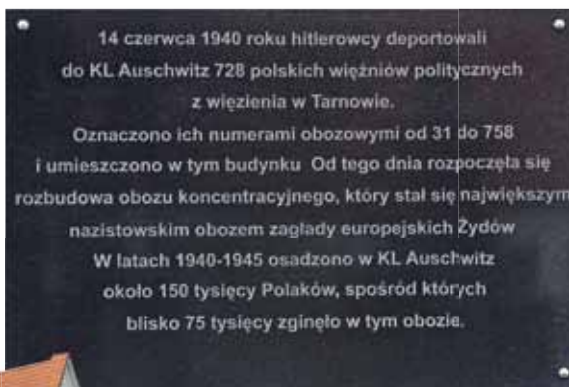
ich depozyty, a następnie poprowadzono ich do budynku łaźni miejskiej, gdzie całą grupę poddano kąpieli i dezynfekcji. Tam również wszyscy oni spędzili noc. Nazajutrz o świcie więźniów uformowanych w stuosobowe kolumny poprowadzono pustymi ulicami miasta w kierunku dworca kolejowego. Na stacji całą grupę skierowano do podstawionego wcześniej pociągu osobowego. Słócenzi w przedziałach, byli pilnowani przez strażników niemieckich, którzy zajęli miejsca w korytarzach wagonów. Ponieważ pociąg ruszył w kierunku zachodnim, panowało przekonanie, że wywożą ich na przymusowe roboty do III Rzeszy.

Numerowanie

Pierwszym przystankiem na trasie przejazdu był Kraków. Tutaj przez dworcowe megafony dowiedzieli się o upadku

Paryża, wiadomość ta wywołała ogólne przygnębienie. Po kilku godzinach jazdy dotarli do stacji Oświęcim (przemianowanej na Auschwitz). Po krótkim postoju pociąg skrzył powoli w kierunku budynków Monopolu Tytoniowego, usytuowanych w pobliżu przedwojennych koszar wojska polskiego. Był to kres ich podróży. Przez okna wagonów zobaczyli uzbrojony kordon esesmanów oraz grupę więźniów funkcyjnych, których początkowo, na skutek nieznanego stroju, wzięli za niemieckich marynarzy.

Przy akompaniamencie wrzasków esesmanów wypędzono więźniów z po- ►



Fot. Tomasz Pielasz/Archiwum PMA-B

► Tablica upamiętniająca przybycie do obozu pierwszego transportu polskich więźniów



Fot. Tomasz Pielasz/Archiwum PMA-B

Kazimierz ALBIN, ur. w 1922 roku w Krakowie; uczeń gimnazjum. Aresztowany w 1940 roku wraz ze starszym bratem Mieczysławem w Muszynie, podczas próby przedostania się na Węgry. W obozie oznaczony numerem 118. 27 lutego 1943 roku uciekł z obozu. Jako żołnierz Armii Krajowej brał później udział w licznych akcjach dywersyjnych, m.in. wykonując wyroki na konfidentach gestapo. W ramach represji za ucieczkę do KL Auschwitz przywieziono jego matkę. Wojenne losy opisał we wspomnieniach *List gończy. Historia mojej ucieczki z Oświęcimia i działalności w konspiracji*. Obecnie wiceprezydent Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego oraz członek Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej.

ciągu i przegnano ich na podwórzu jednego z budynków otoczonego drutem kolczastym; na jego narożnikach wznosiły się budki strażnicze. Po skrupulatnym sprawdzeniu listy obecności zapędzono wszystkich do piwnicy, gdzie odbyły się strzyżenie oraz dezynfekcja. Następnie przeprowadzono rejestrację nowo przybyłych, oznaczając ich kolejnymi numerami obozowymi od 31 do 758 (numery od 1 do 30 otrzymali kryminalni więźniowie niemieccy, przywiezieni do obozu 20 maja 1940 roku z KL Sachsenhausen). Po zakończeniu formalności podzielono więźniów na mniejsze grupy i umieszczono na nocleg w kilku sa-

► Janusz Pogonowski

Janusz POGONOWSKI (w obozie Skrzetuski), ur. w 1922 roku w Krakowie; student; aresztowany w maju 1940 roku w czasie łapanki ulicznej w Krakowie. W KL Auschwitz oznaczony numerem 253; członek obozowej konspiracji. 19 lipca 1943 roku powieszony w obozie razem z jedenastoma więźniami w odwecie za ucieczkę trzech osób z komanda mierników i kontakty z ludnością cywilną. Według relacji świadków egzekucji, w trakcie odczytywania wyroku, stojąc z pętlą na szyi, wykopał spod siebie stółek i sam odebrał sobie życie, okazując w ten sposób oprawcom pogardę. W akcie zgonu podano fałszywą przyczynę śmierci: nagły atak serca.

Geheime Staatspolizei
Staatspolizeistelle Hohensta
Grenzpolizeikommissariat Rastau

K. 11. 1560

KL. AUSCHWITZ NR. 6225-28.2.43 1945

D R I N G E N D -- SOFORT VORLEGEN.

AN ALLE OESTL. STAPD(LEIT)-, KRIPO(LEIT)- STELLEN U.
GRIEKO BENDERS K R A K A U. --
AN DAS RSHA. IV C 2 R E R L I N. --
AN DAS SS- W.V. H. AMTSGRUPPE DORANENBURG. --
BETRIFFT: 1.) SVHSHZ. POLE T U R O Z Y NSD A W LADIMIR
GER. 10.7.16 IN RADLOW. --
2.) SCHUTZH. POLE K L U S ADAM, GER. 3.12.15 IN
RAKSZAWA. --
3.) SCHUTZH. POLE A L B I N KAZIMIR, GER. 30.8.22 IN
KRAKAU. --
BEZUG: OHNE. --
DIE OBG. WURDEN AM 14.6.40 REZV. 8.10.40 VOM SD KRAKAU
IN DAS HIEB. LAGER EINGELIEFERT U. SIND AM 27.2.43 IN
DEN ABENDSTUNDEN AUS DEM HIES. LAGER GEFLOHEN. --
DIE SOFORT EINGELEITETE SUCHAKTION HIER BISHER OHNE
ERFOLG. --
ES WIRD GEHETEN, VON DORT AUS WEITERE
FAHNDUNGSMASSNAHMEN EINZULEITEN, U. IM ERGEBENGSFALLE
- DAS KL. AUSCHWITZ SOFORT ZU BENACHRICHTIGEN. --
ZUSATZ FUEH -KDR. SIND U. SD KRAKAU. --
DIE ABSCHREIBUNG DER OBG. IM SONDERFAHNDUNGSBUCH
HIER POLEN BITTE ... ZU VERANLASSEN. --



Fot. Archiwum PMA-B

► Telegram władz obozowych informujący o ucieczce z KL Auschwitz Kazimierza Albina, wysłany do placówek policji niemieckiej

lach na parterze i piętrze budynku. Podłogi sal były wysłane jedynie cienką warstwą słomy. W olbrzymim zatłoczeniu i niemiłosiernym zaduchu więźniowie spędzili pierwszą noc w nowym miejscu.

„Sport”

Nazajutrz rano, 15 czerwca, rozpoczął się okres kwarantanny wstępnej, która w zamyśle oprawców miała doprowadzić do psychicznego i fizycznego załamania, odhumanizowania człowieka i sprowadzenia go do pozycji numeru, ślepo wykonującego wszystkie polecenia. Każdego dnia esesmani przy współudziale więźniów funkcyjnych katowali więźniów wielogodzin-

► Akt zgonu Janusza Pogonowskiego, sporządzony w obozowym urzędzie stanu cywilnego

Nr. 25467/1943

Auschwitz, den 29. Juli 1943

der Automechaniker Janusz Skrzetuski

Katholisch

wohnt: Baanow, Kreis Gloggnow, Distrikt Badon

ist am 19. Juli 1943 am 18. 19. 20

in Auschwitz, Kasernenstrasse

geboren am 8. Februar 1922

in Krakau

Vater: Boleslaw Skrzetuski

Mutter: Rosa Skrzetuski geborene Stadnicki

Verstorben am 19. Juli 1943

Stellvertretung des Arztes Doktor der Medizin Kitt in Auschwitz vom 19. Juli 1943

Die Überlebening mit dem Leichnam wird bekräftigt.

Auschwitz, den 29.7. 1943

Der Standesbeamte In Vertretung

Der Standesbeamte In Vertretung Grabner

Todesursache: Plötzlicher Herztod

Fot. Archiwum PMA-B

nymi ćwiczeniami fizycznymi, nazywanymi w obozie „sportem”. Prowadzili je przeważnie esesmani: Ludwig Plagge (nazwany przez więźniów „Fajeczką”), Franz Meier (ochrzczony mianem „Laluś”) oraz późniejszy postrach wszystkich więźniów Gerhard Palitzsch. Były więzień Stanisław Ryniak tak wspominał ten okres: „Ustawieni w rzędach na podwórzu w odpowiednich odstępach, abyśmy sobie wzajemnie nie przeszkadzali i aby był do nas dostęp, na komendę esesmanów i kapów ćwiczyliśmy »padnij«, »powstań«, skakaliśmy w przysiadzie z wyciągniętymi do przodu rękami lub leżąc na żwirowatej nawierzchni placu obracaliśmy się jak »wałek po cieście« (*rollen*). Na skutek tej »gimnastyki« szybko słabliśmy, niektórzy spośród nas zaczęli padać na placu. Polewano ich wodą i odciągano na bok. Trudno opisać, jak bardzo byliśmy tym »sportem« zmaltretowani i jak bardzo czekaliśmy na jego zakończenie”.

Między ćwiczeniami niemieccy kapo uczyli więźniów wymaganych form meldowania się oraz śpiewu niemieckich piosenek. Długotrwałe ćwiczenia fizyczne były niezmiernie wyczerpujące. Ci, którzy opadali z sił, byli bici przez funkcyjnych. Tylko nielicznej grupie osób udało się uniknąć kwarantanny, względnie skrócić jej okres. Byli to głównie więźniowie skierowani do pracy przy budowie ogrodzenia w przygotowywanym obozie, a także wybrani do pracy w kuchni, prac porządkowych oraz pielęgnarskich w utworzonej izbie chorych.

Na początku lipca 1940 roku więźniów pierwszego transportu (wraz z trzypięcioroosobową grupą przywiezioną 20 czerwca



Fot. Archiwum PMA-B

► Fotografia obozowa Mieczysława Ciepłego

Mieczysław CIEPŁY, ur. w 1920 roku w Przemyślu; uczeń; w KL Auschwitz oznaczony numerem 35. 5 czerwca 1942 roku zginął w obozie.

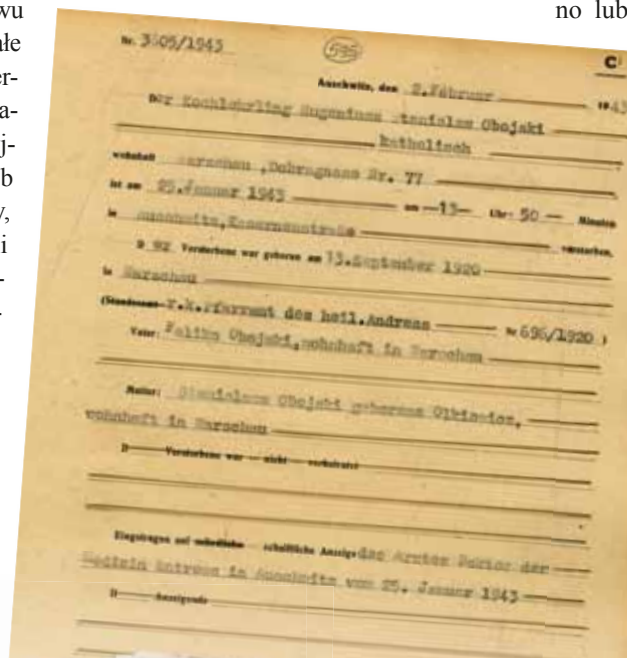
z więzień w Nowym Wiśniczu i Krakowie) przeniesiono na teren właściwego obozu, do pokoszarowych bloków 1–3. Tym samym rozpoczął się dla nich okres ciężkiej, morderczej pracy w komandach, głodu, chorób, wyniszczenia oraz – w wielu przypadkach – bezpośredniej eksterminacji.

Tragiczny bilans

Na podstawie fragmentarycznie zachowanych akt obozowych udało się ustalić tylko część tragicznego bilansu. Spośród 728 Polaków przywiezionych do KL Auschwitz w pierwszym transporcie – co najmniej 227 zginęło w obozie. Co najmniej 266 więźniów przeniesiono lub ewakuowano do innych niemieckich obozów koncentracyjnych, gdzie

61 zginęło, w tym kilkudziesięciu 3 maja 1945 roku „u progu wolności” w Zatoce Łubeckiej, w czasie ewakuacji obozu Neuengamme, na statkach zbombardowanych przez lotnictwo alianckie. Łącznie zatem zginęło ok. 300 osób, a przeżyło – najprawdopodobniej ok. 320 osób (w tym ponad 70 zostało zwolnionych z obozu). Los ponad 100 więźniów pozostaje do dziś nieznany. 📌

Fot. Archiwum PMA-B



Eugeniusz OBOJSKI, ur. w 1920 roku w Warszawie; uczeń kucharski. W KL Auschwitz oznaczony numerem 194; zatrudniony w komandzie Leichterträgerów (nosieli zwłok); członek Związku Organizacji Wojskowej, założonego w obozie przez rtm. Witolda Pileckiego. 25 stycznia 1943 roku rozstrzelany pod ścianą straceń. W akcie zgonu podano fałszywą przyczynę śmierci: osłabienie serca przy zapaleniu płuc.

► Akt zgonu Eugeniusza Obojskiego, sporządzony w obozowym urzędzie stanu cywilnego

Szymon Kowalski – historyk, pracownik Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu

Dane na podstawie: *Księga Pamięci. Transporty Polaków do KL Auschwitz z Krakowa i innych miejscowości Polski Południowej 1940–1944*, red. F. Piper, I. Strzelecka, t. 1, Warszawa – Oświęcim 2002.

Gra obliczona na wyczerpanie

Wojciech Frazik, Maciej Korcuć

W śledztwie przeciw porwanym przywódcom Polskiego Państwa Podziemnego Sowieci stosowali nieco inne metody niż w pozostałych śledztwach. Więźniów nie bito. Nie oszczędzono im jednak działań, które miały wpłynąć na destrukcję osobowości, doprowadzić do rozstroju psychicznego oraz poczucia osaczenia i osamotnienia.

Podporządkowując sobie Polskę, Sowieci zakładali zniszczenie struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Na zajętych terenach aresztowali jego przedstawicieli i dowódców AK. Opanowując kolejne części Polski, szukali możliwości ujęcia kierownictwa podziemia. Pretekstem do nawiązania kontaktu była deklarowana chęć unormowania stosunków na tyłach walczącej na froncie Armii Czerwonej. Już w lutym 1945 roku z taką ofertą – rzekomo w imieniu marsz. Gieorgija Żukowa – wystąpiono do komendanta głównego AK, gen. Leopolda Oku-

lickiego „Niedźwiadka”. I on, i politycy zgodnie uznali, że nie należy na nią reagować. Równocześnie jednak przyjęto, że Polska Podziemna musi wziąć udział w realizacji uchwał jałtańskich, że mimo ryzyka nie może się uchylić od próby politycznego rozwiązania kwestii władzy w Polsce.

Na taki grunt padło zaproszenie na rozmowy, wystosowane 6 marca do gen. „Niedźwiadka” i delegata rządu na kraj, wicepremiera Jana Stanisława Jankowskiego. Podpisał je w imieniu gen. Iwanowa z sowieckiego dowództwa płk Pimienow. Zapraszany gwarantował

bezpieczeństwo pod „słowem honoru sowieckiego oficera”. W rzeczywistości był on dowódcą radomskiej grupy operacyjnej NKWD, a pod nazwiskiem Iwanowa krył się Iwan Sierow, główny doradca NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Przywódcy podziemia, licząc się z podstępem, zdecydowali się na spotkanie. Po serii wstępnych rozmów, które rozwiąły nieco obawy, miała się odbyć zasadnicza konferencja. 27 i 28 marca w Pruszkowie stawili się gen. Okulicki, wicepremier Jankowski, przewodniczący podziemnego parlamentu – Rady Jedności Narodowej – Kazimierz Pużak i delegaci głównych stronnictw.

Przybyłych działaczy Polskiego Państwa Podziemnego poinformowano, że polecą samolotem na konferencję z wyższym dowództwem sowieckim do Radomia. Kiedy się zorientowali, że samolot kieruje się na wschód, a nie na południe,

► Teatr zamiast sądu: proces Szesnastu; Moskwa, czerwiec 1945 roku

mówiono im, że zamiast na rozmowy z przedstawicielami sowieckimi w Polsce polecą na bezpośrednie negocjacje ze Stalinem. Byli oszukiwani podczas całej podróży do Moskwy, odbywającej się najpierw drogą lotniczą, a następnie – przez



► Kazimierz Pużak

16 godzin – pociągiem. Po wyjściu z dworca w Moskwie zostali podstawionymi limuzynami przewiezieni do siedziby NKWD na Łubiankę.

„Człowiek nie zna swojej siły”

Tam, mimo że wszyscy byli oficjalnymi przedstawicielami władz Rzeczypospolitej Polskiej, wyposażonymi w gwarancje bezpieczeństwa, spotkali się już z nieukrywanymi aktami przemocy. Niektórzy z nich zostali przez oficerów NKWD gwałtownie pchnięci na ścianę i przygnieci z poleceniem podniesienia rąk do góry. Następnie zostali poddani upokarzającym procedurom: rozebrano ich do naga i przeprowadzano szczegółowe rewizje całego ciała. Skonfiskowano im ubrania i przedmioty, które mieli przy sobie.

Wszystkich porwanych oddzielono od siebie. Żaden z nich nie miał kontaktu z innymi. Tylko okresowo się zdarzało, że w celi przebywali z innymi więźniami – Rosjaninem (np. w przypadku Kazimierza Pużaka czy Adama Bienia – ok. 10 dni) lub Rosjaninem i Niemcem (Zbigniew Stypułkowski). Sowieci nie dopuścili do sytuacji, w których mogłoby dojść do wymiany informacji między przesłuchiwanymi. W końcowym etapie śledztwa incydentalnie zdarzały się konfrontacje pod nadzorem śledczych



► Stanisław Michałowski

– były to pierwsze wzajemne kontakty między porwanymi od czasu stawienia się na rozmowy w Pruszkowie. Tym bardziej dotkliwie okazało się nieprzygotowanie aresztowanych na taki scenariusz

wydarzeń – chociażby w postaci wspólnie ustalonej linii obrony.

Adam Bień we wspomnieniach *Więźniowie Moskwy* pisał: „Uwięziono nas niespodziewanie i nie zdążyliśmy ustalić wspólnej jakiejś »legandy«. Każdy z nas będzie więc zeznawać w »ciemno«. Wszystkie wymienione tajemnice znają: Delegat Rządu, Okulicki, wszyscy trzej członkowie Krajowej Rady Ministrów, ludowcy Bagiński i Mierzwa, prezesi stronnictw politycznych. Ujawnienie ich teraz, wśród złowrogich przesłuchań na Łubiance, nie jest wprawdzie pewne, ale jest możliwe: zależy przecież od stanu zdrowia, rozumu, odwagi i całej postawy psychicznej badanego”.

Z zasady prowadzono uciążliwe, wielogodzinne przesłuchania. Trwały od trzech do czternastu, piętnastu godzin. Takich przesłuchań w ciągu kilkutygodniowego śledztwa niemal każdy z pojmanych doświadczył ponad sto razy. Kazimierz Bagiński był przesłuchiwany 120 razy, Kazimierz Pużak ok. 140 razy, Zbigniew Stypułkowski 141 razy.

Kazimierz Pużak pisał w opublikowanych w „Zeszytach Historycznych” *Wspomnieniach 1939–1945*: „Dzień w dzień badanie dwukrotne! Z rana od

godziny 10-tej lub 10.30 do 5-tej, czasem 4.30 po południu. Wieczorem od godz. 9.30 lub 10-tej do godz. 4.30, nieraz 5.30 rano”.

„Z trzeciego badania wróciłem po ośmiu godzinach. W krótkich odstępach czasu przyszło czwarte, piąte, szóste. Gdy już wyczerpał się cały materiał [...], a Tichonow uważał, że wciąż mu nic nie powiedziałem, zdałem sobie sprawę, że wszystkie przesłuchania nie mają nic wspólnego z dochodzeniem winy czy ustalaniem prawdy obiektywnej. Zrozumiałem wtedy, że jest to gra obliczona na wyczerpanie psychiczne i znękanie fizyczne. Nie znałem jeszcze ani jej zasięgu, ani możliwości. Idąc na

siódme badanie, gdzieś koło 4 w nocy, powiedziałem sobie: wytrzymam dwadzieścia. Człowiek nie zna swojej siły – musiałem wytrzymać sto czterdzieści jeden” – zanotował Stypułkowski w książce *Zaproszenie do Moskwy*. „Sędziów śledczych” z NKWD, którzy prowadzili przesłuchania,

określił jako „panów życia i śmierci oskarżonego”: „On [sędzia śledczy] wyłącznie decyduje o warunkach przebywania w celi [...]. On też reguluje dietę oskarżonego [...]. Jest poinformowany o każdym najdrobniejszym szczególe zachowania się oskarżonego; czy spał dziś,



► Antoni Pajdak

► Zeznania, których treść nie miała dla sędziów żadnego znaczenia; na zdjęciu: Jan Stanisław Jankowski



czy miotał się w łóżku, czy wykazuje wyczerpanie, bierność całkowitą, czy też biega po celi”.

Spośród ogromnego zasobu narzędzi wywierania nacisku – pisał Stypułkowski – śledczy wybierali w zasadzie tylko dwa: gwałt fizyczny i częste, wielogodzinne, nużące przesłuchania: „Stosując te metody w sposób prymitywny, niszczą oskarżonego [...]. W pierwszym stadium badań sędzia śledczy na Łubiance stawia sobie – moim zdaniem – trzy zasadnicze cele do osiągnięcia. Pierwszym jest dokładne przeegzaminowanie osoby więźnia pod względem jego inteligencji, charakteru i siły stawianego odporu. Usiłuje on przy tym uzyskać od niego najdrobniejsze szczegóły z życia osobistego i stosunków rodzinnych, odkrywa jego słabości i mierzy jego ambicję. Drugim zadaniem sędziego jest zakazać wyobraźnię więźnia i zrujnować jego równowagę psychiczną przez powodowanie nieustannej huśtawki w nastrojach – od szczytowego optymizmu do skrajnej depresji. Trzecim i najprawdopodobniej najważniejszym celem jest doprowadzić do wynaturzenia tkwiący w każdym człowieku instynkt samozachowawczy”.

Może kawioru?

Długotrwałość, częstotliwość i intensywność przesłuchań, prowadzonych często także w nocy, była połączona z ostrym reżimem. Więźniów przede wszystkim głodzono. „Na tacy [kucharz więzienny] miał porcję chleba dla mnie. Co drugi dzień dostawałem też dwie kostki cukru. Do czajnika wlewał po brzegi gorącej wody. Było to śniadanie” – wspominał Zbigniew Stypułkowski.

Adam Bień: „W miskach na tacy mieści się dzisiejszy obiad, ze 450 g chleba – to porcja na jedną dobę, a kostka cukru – na dwie doby. [Strażnik] Wręcza mi nadto kawałek papieru toaletowego wielkości karty do gry oraz kawałek mydła



▶ Leopold Okulicki



▶ Jan Stanisław Jankowski



▶ Stanisław Mierzwa



▶ Józef Stemler-Dąbski



▶ Józef Chaciński



▶ Feliks Urbański

zwyczajnego wielkości połowy pudełka od zapalek. Obiad składa się z dwu dań, każde w oddzielnej misce. Zupę stanowi »szczy«, czyli kwaśny kapuśniak ugotowany na ogonach i łbach śledziowych, o czym nieomylnie świadczy zapach oraz pływające w misce strzępy owych śledzi. Drugim daniem są rozgotowane na rzadko zielonawo-żółte

ziemniaki bez dostrzegalnych oznak okras. Ziemiaków jest na objętość pół szklanki. Ilość i jakość owego »menu« nie ma jednak znaczenia, bo nic z pierwszego obiadu więziennego nie zdołałem przełknąć. Zjadłem tylko kawałek chleba, który »zagryzłem« kostką cukru”.

Zbigniew Stypułkowski: „Okolo dwunastej w południe zjawiał się taki sam kucharz



▶ Aleksander Zwierzyński

z blaszaną menażką, pełną gorącego płynu z liśćmi kapusty wewnątrz. Czasem można było tam wyłowić kawałek kartofla, czasem na dnie znajdowały się ości ryby. Był to obiad”.

Adam Bień: „W misce – pół szklanki rozgotowanego na rzadko ciemnego grochu polnego. W tym samym czasie strażnik przynosi w wiadrze parujący płyn jasnobrazowy. [...] Czuję głód. Zjadam groch, który choć nawet nie pachnie okrasą, posiada przecież coś ze smaku grochu [...]. »Czaj« nalewam do stojącego na szafce kubka fajansowego. »Czaj« jest w rzeczywistości wodnistą kawą zbożową bez cukru. Resztę chleba popijam odrobiną »czaju« – i jestem po kolacji”.



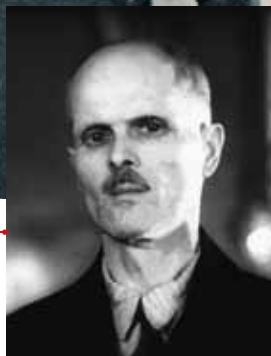
▶ Eugeniusz Czarnowski



▶ Adam Bień



▶ Stanisław Jasiukowicz



▶ Kazimierz Kobylański



▶ Zbigniew Stypułkowski

Zbigniew Stypułkowski: „O piątej po południu dostawałem na dnie menażki dwie łyżki kaszy zalanej niekiedy jakimś sosem. No i znowu czajnik pełen gorącej wody. [...] Głód po pierwszych dwóch tygodniach zaczął mi się dawać we znaki. [...] Powoli jednym z ważniejszych zagadnień stawało się dzielenie chleba otrzymywanego rankiem tak, aby mi starczył na cały dzień. Były tego ogółem dwa kawałki, a pod koniec śledztwa zjadłbym sześć takich na jeden raz. Dzieliłem więc porcję na części. [...] Później brakło mi tyle siły woli. [...] Przypadkiem kiedyś dostał się do mojej celi kawałek papieru. Owijałem nim starannie resztkę chleba i chowałem w kącie, aby nań nie patrzeć w ciągu dnia i zachować na chwilę, gdy głód najbardziej już mi dokuczał. [...] Narastający głód wywierał duży wpływ zarówno na moje siły

fizyczne, jako też na kształtowanie się psychiki w czasie pobytu w więzieniu. Chwytałem się na tym, że jedzenie stawało się wartością, za którą gotów byłbym płacić coraz większą cenę. Coraz trudniej mi było podporządkować słabnące siły fizyczne woli. [...] Najtrudniej było poradzić sobie z głodem ludziom starszym. [...] To też sędzia śledczy używał chytrze tego narzędzia zwłaszcza w stosunku do nich. Zbudzony ze snu więzień jest przesłuchiwany już którąś godzinę z kolei. Koło czwartej nad ranem zaczyna słab-

nąć. Coś niecoś opowiadać. Drży na całym ciele z chłodu i głodu. Wtedy sędzia dzwoni na służącego i powiada: »Głodny jestem, proszę dać mi coś do zjedzenia«, a następnie zwraca się do swej ofiary: »A może pan jest głodny, może napiłby się pan ze mną herbaty i zjadł kanapkę z kawiołem?«. Za tę cenę zamyśla sędzia podtrzymać klimat psychiczny, w którym więzień niespostrzeżenie dla siebie samego uroni jakiś fakt lub da się uwikłać w sidła”.

Twarzą do żarówki

Oprócz głodu dokuczliwe było też zimno. „Temperatura w celi wahała się między siedmiu a dziesięciu stopniami Celsjusza. Nie było więc zbyt mroźno – mogłem jednak dojrzeć parę z ust. Kaloryfer był zazwyczaj nieczynny, czasem letni. Siatka, która go odgradzała od nas nie pozwalała na regulowanie ciepłoty” – wspominał Stypułkowski. To, co opisał dalej, pozwala przypuszczać, że niska temperatura nie wynikała wyłącznie z oszczędzania na węglu, lecz była jedną z metod dręczenia więźniów: „Gdy przełamawszy stan psychiczny i uspokoiwszy drżenie ciała zapadałem w sen, zapominałem o tym i mechanicznie podciągałem derkę na ramiona, a ręce przyciągałem do ciała. Taki stan nigdy nie trwał długo. Mój anioł stróż dojrzał przez judasza przestępstwo najdalej w ciągu paru minut. [...] Rozbudzał mnie i przerywał na długo dalszą szansę zaśnięcia. Marznące kończyny praktycznie to uniemożliwiały, chyba że znowu skurczyły się gdzieś koło ciała. Ale wtedy cierpliwy dozorca wchodził ponownie i wykladał mi ręce na koc”.

Dodajmy, że noc (od 22.00 do 6.00) – poza dwoma ściśle wyznaczonymi godzinami w ciągu dnia (od 14.00 do 16.00) – była jedynym czasem, w którym więźniom zezwalano na sen. Próby wypoczywania w ciągu dnia kończyły się tak, jak opisał Adam Bień: „Zdejmuję trzewiki, pozabawione sznurowadeł, kładę się na łóżku i przykrywam futrem. [...] »Sjestej« moja ▶



▶ Kazimierz Bagiński

bardzo szybko przerywa zgrzyt zamka. Na progu celi staje [strażnik] »Ponury«: *Dniom na kojki leżał' wospriesczajetsia!* (W dzień nie wolno leżeć na łóżku). Wstaję. Wkładam trzewiki. Rozpoczynam marsz. Jedyny możliwy marsz więźnia: pięć kroków od drzwi do okna i tyleż kroków od okna do drzwi. Tam i z powrotem. Bez końca”.

Pozbawianie snu było istotnym elementem śledztwa. Często sprowadzano więźnia do celi w nocy po wielogodzinnym przesłuchaniu po to, aby chwilę po tym, jak się położy, zerwać go na kolejne przesłuchanie. To miało wytrącić przesłuchiwanego z równowagi. „Wróciłem do celi w nocy zmęczony, [...] zdjąłem ubranie, owinąłem się szczelnie kocem i próbowałem drzeć. Nie było to jednak łatwe. Napięcie nerwowe nie ustępowało. [...] Zacząłem usypiać, gdy zgrzyt kluczy sprowadził mnie z powrotem do otrzeźwienia. Wszedł strażnik ze słowami: »przygotujcie się na *dapros* [przesłuchanie]«. Była to godzina trzecia nad ranem. [...] Drugie przesłuchanie [tej nocy] trwało do rana” – wspominał Zbigniew Stypułkowski. Opisał jeszcze jedną – oprócz budzenia w nocy – metodę pozbawiania więźniów snu przez Sowietów: „Światło [elektryczne] gra wielką rolę w systemie preparowania więźnia na Łubiance. Nad drzwiami celi umieszczona jest lampa elektryczna o dużej sile. Pali się ona niemal bez przerwy – w każdym razie przez całą noc. Promienie światła padają wprost na łóżko więźnia. Przed tym światłem niepodobna się ukryć. Ilekroć w nocy obróciłem się bokiem, tyle razy strażnik wchodził do celi i odwracał [moją] twarz tak, aby oczy moje były zwrócone na lampę. »Muszę – mówił – widzieć twoje oczy«. Niektórzy z moich towarzyszy znosili z tej przyczyny wielkie cierpienia – we mnie to podniecało stan nerwowy i potęgowało bezsenność. A bezsenność jest potężnym czynnikiem, który rozkłada siły, wolę i inteligencję każdego człowieka, głodnego i drżącego z chłodu”.

Przypomnijmy: więźniom Łubianki wolno było spać w zasadzie wyłącznie w nocy.

Jeśli byli wzywani na nocne przesłuchanie, nie mogli odespać w ciągu dnia. „W przeciągu siedemdziesięciu dni badań jednej tylko nocy nie byłem wzywany” – zanotował Stypułkowski.

Adam Bień w kontekście pozbawiania snu opisał prawdopodobnie najgorszą w swoim życiu Wielkanoc: „Godzina szósta. Cały rozpoczęty właśnie dzień Wielkiej Niedzieli walczę z chłodem, z sennością, z czasem. Siadam, czytam, drzemię, wstaję, chodzę. Czerwoną, popękaną od starości lastrykę froteruję usilnie sukniami podrzuconymi przez strażnika. Nadchodzi godzina czternasta, kiedy wolno w celi spać. Według regulaminu układam się na łóżku i natychmiast zasypiam. Natarczywy zgrzyt zamka. W otwartych drzwiach – strażnik: – *Na dapros, pożałujsta!*”.

Gra na emocjach

Oprócz dręczenia fizycznego stosowano też inne, bardziej wyrafinowane metody – tortury psychiczne. „Bolszewicki oficer podniecał wyobraźnię w szatański sposób. Oto już po kilku dniach, w czasie kolejnego badania, oskarżony mógł zobaczyć z oddali na biurku sędziego szereg drobnych przedmiotów, które wskazywały, iż pod ujawniony adres jego bliskich zawitało NKWD. Samolotami sprowadzono z jego rodzinnego domu jakieś fotografie, parę książek, listy... Sędzia śledczy o nic nie pytał, nic nie wyjaśniał, badał tylko wrażenie, jakie na oskarżonym wywiera widok tych rzeczy. Czasem, gdy nie był pewny, że oskarżony je zauważył, z daleka na nie wskazywał. »Czy to należy do pana – ach, tak« – i urywał. Wtedy obawa o los matki, siostry, syna staje się czynnikiem, ważnym czynnikiem, zachowania się więźnia w dalszym biegu śledztwa. Subiektywnie odgrywać może rolę decydującą w fazie, gdy osłabienie odporności psychicznej łączy się z utratą sił fizycznych i zdolności do obiektywnego rozumowania” – zanotował Stypułkowski.

Innym zabiegiem stosowanym przez sowieckich śledczych były nagłe zmiany tonu i charakteru przesłuchania. Prowa-

dzone przez wiele godzin w tonie pozytującym na przyjazny nagle zamieniały się w agresywne przepytywanie. „Drugie przesłuchanie trwało do rana. Styl jego różnił się bardzo od poprzedniego. Major Tichonow rozmawiał ze mną w tonie suchym, niemal groźnym. Kazał opowiedzieć, jaką wrogą działalność prowadziłem przeciwko Związkowi Sowieckiemu” – relacjonował Stypułkowski.

Teatr zamiast sądu

Wiarygodność historyczna protokołów wytworzonych przy użyciu takich metod jest niezwykle ograniczona. Były one sporządzane zgodnie z potrzebami NKWD i według obowiązujących tam zasad, niemających nic wspólnego z przyjętymi w cywilizowanym świecie. Adam Bień zapamiętał, że protokół przesłuchania nigdy nie powstawał natychmiast jako dokument autentyczny i pełnowartościowy. „Najpierw były to tylko notatki [śledczego]. Potem, już w mojej nieobecności, [śledczy] Sorokin dokonywał odpowiedniej »obróbki«. Przy następnym spotkaniu czasem (rzadko!) żądał podpisania tego lub owego protokołu, nigdy go nie czytając ani tym bardziej nie okazując. Do formalności tej nie przywiązywał żadnej wagi. Kiedy przed rozprawą przeglądałem akta śledztwa (bez możliwości zanotowania czegokolwiek), przekonałem się, że zebrany materiał daleko odbiega od tego, co było przedmiotem naszych rozmów. Wszystko, co zeznałem na temat walki całego narodu polskiego z Niemcami, na temat doniosłej roli Armii Września, Delegatury Rządu, Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, polskich stronnictw politycznych – wszystko to zniknęło bez śladu i w aktach śledztwa było nieobecne. W aktach pozostało tylko to i tak spreparowane, by umożliwiło i ułatwiło wydanie wyroku skazującego schwytanych i oddanych pod sąd Polaków za dowolnie obmyślane przestępstwa”.

dr Wojciech Frazik – historyk, pracownik OBEP IPN w Krakowie

dr Maciej Korcuć – historyk, naczelnik OBEP IPN w Krakowie



„Po dobrowoli się stąd nie ruszę”

Maciej Krawczyk

Groźba śmierci, porwanie, kazamaty w moskiewskiej Łubiance, sfingowany proces, wyrok i kilkumiesięczny pobyt w więzieniu NKWD – żadna z tych okoliczności nie skłoniła Kazimierza Pużaka do najmniejszego ustępstwa wobec komunistów. A już na pewno nie do opuszczenia zniewolonej ponownie Polski. Do końca uważał, że jako przewodniczący Rady Jedności Narodowej i następca prezydenta RP reprezentuje Rzeczpospolitą.

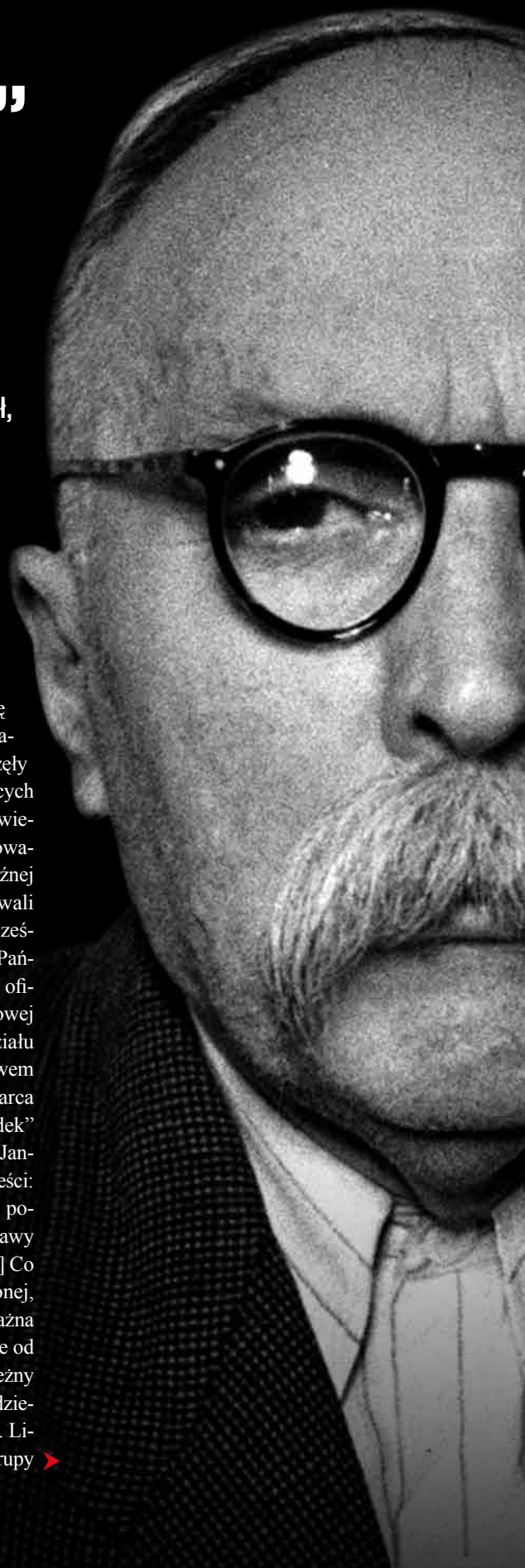
Adam Ciołkosz pisał, że w życiu Kazimierza Pużaka „nie było husarskich skrzydeł ani pawich piór. Było poczucie obowiązku, skondensowane, stężone, wypowiadające się nie słowami, bo to był człowiek w słowach oszczędny, ale postawą. Postawą, która w najtrudniejszych okresach jego życia sprowadzała się do trwania i wytrwania do końca”.

W kwietniu 1944 roku Władysław Raczkiewicz i Stanisław Mikołajczyk desygnowali Pużaka na stanowisko następcy prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i oddali do jego dyspozycji samolot, którym miał udać się do Londynu. Jak wspominał kurier rządu polskiego, Jerzy Lerski, Pużak „spojrzał na mnie spode łba i tym swoim wschodnio-malopolskim miękkim, śpiewnym akcentem odpowiedział twardo, że na dostojeństwa w Londynie nie poluje. »Robotnicy polscy powołali mnie na odpowiedzialną funkcję w zarządzie [Polskiej] Partii [Socjalistycznej], powiedział, powołali na złe i dobre – z nimi tu chcę pozostać. Nie ruszę się z kraju po dobrowoli, chyba by mnie przemocą Niemcy lub Moskale zabrali«. Ostatnie słowa okazały się prorocze.

Mistrzowie oszustwa

Pużak zanotował w swoich *Wspomnieniach*, że na początku 1945 roku tam,

gdzie tylko stanęła stopa radzieckiego żołnierza, „zaraz zaczęły się ujawniać różne instytucje porządku Lubelskiego. Więc milicja wraz z oddziałami kolejowymi, Rada Narodowa, w której ukazali się przedstawiciele partii w czasie okupacji prawie nie działających. [...] Zaczęły się manifestacje witające wkraczających Rosjan, bramy tryumfalne i przemówienia – akademie, na których występowali osobnicy często o bardzo niewyraźnej działalności”. Komuniści przejmowali faktyczną władzę w Polsce. Jednocześnie zarówno do działaczy Polskiego Państwa Podziemnego, jak i dowódców oficjalnie rozwiązanej już Armii Krajowej zaczęły trafiać zaproszenia do udziału we wspólnej konferencji z dowództwem Armii Czerwonej. Na początku marca gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” i delegat rządu na kraj Jan Stanisław Jankowski otrzymali listy następującej treści: „Wzajemne zrozumienie i zaufanie pozwolą załatwić bardzo poważne sprawy i nie dopuścić do ich zaostrzenia. [...] Co do mnie, jako oficer Armii Czerwonej, któremu przypadła w udziale tak ważna misja, daję Wam pełną gwarancję, że od momentu, kiedy Wasz los będzie zależny ode mnie (po przyjeździe do nas), będziecie w całkowitym bezpieczeństwie”. Listy podpisywał płk Pimienow, szef grupy ▶



operacyjnej NKWD. Pod wspomnianym w wiadomości „zastrzeżeniem” kryła się fala aresztowań, która objęła działaczy politycznych polskiego państwa podziemnego, m.in. wiceprezesa Rady Jedności Narodowej Aleksandra Zwierzyńskiego, aresztowanego przez NKWD 8 marca w Milanówku. W tych okolicznościach zdecydowano się zaproszenie przyjąć – uznano, że jego odrzucenie oznaczałoby zamknięcie drogi do jakichkolwiek negocjacji. Na spotkanie wybrano szesnastoosobową delegację władz Polskiego Państwa Podziemnego. Oprócz Pimienowa Sowietów miał zaś reprezentować niejaki gen. Iwanow – w rzeczywistości był to gen. Iwan Sierow, dowódca NKWD, współodpowiedzialny m.in. za Zbrodnię Katyńską.

Pużak nie miał złudzeń co do prawdziwych zamiarów Sowietów. 25 marca mówił Zygmuntowi Zarembe (działaczowi przedwojennej i konspiracyjnej PPS): „Widzisz, jeden z nas musi zostać przy robocie. Ja, jako prezes Rady, nie mogę się uchylić. Delegat nalega na mnie, żebym wziął ciebie na te rozmowy. Ale to szaleństwo wchodzić nam obu w paszczę sowiecką. Mam najgorsze przeczucia. Ja znam bolszewików. Idą ciężkie czasy, które trzeba przetrzymać.

Zostań, pilnuj organizacji. Bądź ostrożny i podejrzliwy. [...] To są mistrzowie oszustwa. Gdy zaś zużyją ten środek, sięgną po brutalny gwałt”.

28 marca pierwsi na miejscu spotkania w Pruszkowie pojawili się Jankowski, Pużak i Adam Pajdak, przedstawiciel PPS, nieco spóźniony był gen. Okulicki, reszta delegatów miała przybyć dopiero nazajutrz. Po obiedzie z pułkownikiem Pimienowem politycy Polskiego Państwa Podziemnego zostali przewiezieni do podwarszawskich Włoch, a następnie do siedziby NKWD przy ul. Środkowej w Warszawie. W trakcie tych peregrynacji samochód wiozący gen. Okulickiego został odłączony od grupy. Cały czas utrzymywano pozory „konferencji” z gen. Iwanowem, przedstawicielem dowództwa frontu białoruskiego, lecz Pużak, stary konspirator jeszcze z czasów carskich, dość szybko dostrzegł podstęp. By potwierdzić swoje przypuszczenia, postanowił przetestować zachowania eskortujących go oficerów podczas wyjść do toalety. Dopiero w siedzibie przy ul. Środkowej *cicerone* stanął podczas wiadomych czynności tuż za nim. „Więc byłem aresztowany” – skwitował we wspomnieniach. Następnego dnia się okazało, że mają lecieć do Moskwy, by

„dobić układ ku swojemu całkowitemu zadowoleniu” z wysokimi przedstawicielami radzieckimi. Chociaż było już jasne, że zostali zwabieni w pułapkę, protestować nie było sensu. Tymczasem ku zaskoczeniu Sowietów do Pruszkowa przybyła reszta delegatów – oni również zostali zapakowani do samolotu, wraz z aresztowanym wcześniej Aleksandrem Zwierzyńskim. W Moskwie wszyscy trafili na Łubiankę.

Proces pokazowy

Pużak bardzo szybko zauważył, że „śledztwo w ZSRR ma tę oryginalność, że oskarżony nie otrzymuje oskarżenia sformułowanego przytoczeniem wszelkich danych (dane rzeczowe, świadkowie itp.), natomiast oskarżony winien sam naprowadzić na fakty ze swej działalności, codziennego życia, na podstawie których *sledawatiel* buduje oskarżenie. Tego rodzaju indagacja jest powtarzana w tym przeświadczeniu, że indagowany zapłacze się w szczegółach”. Kazimierza Pużaka oskarżono o „dywersyjną robotę na zapleczu Osvobodzicielskiej Armii Czerwonej”. W trakcie przesłuchań nie stosowano tortur, jedynie karmiono podłe i nie dawano spać. „Ograniczyłem się jedynie do tych faktów, które nikogo nie obciążały [...]. Dawałem

► Ława oskarżonych w procesie Szesnastu (Moskwa 1945), w tle – protokół przesłuchania Kazimierza Pużaka (Warszawa 1947)



siebie, Delegata, z którym byłem aresztowany [...] – zastępców mimo pasji i scen karczemnych (śledczego) wyparłem się jako moich znajomych, odmówiłem nazwisk dyrektorów departamentów. Przyznałem się do »Niedźwiadka« – ale Okulickiego nie znałem. To najbardziej wściekło moich badaczy”.

Wyniki śledztwa nie były dla sowieckiego sądu aż tak istotne: w czerwcu rozpoznał się błyskawiczny proces pokazowy. Pużak stwierdził: „Już powierzchowne zapoznanie się z myślą przewodnią aktu [oskarżenia] wskazuje nie na argumentację, ale na jedynie nienawiść i głupią, nieumotywowaną zemstę na organizacji narodu, która nie mogła być agentem ZSRR. Czy taka taktyka da się wytłumaczyć jedynie winą Sowietów? Otóż nie! Od Teheranu, a nawet wcześniej [...] Roosevelt i Churchill odstąpili bez reszty Polskę i jej cały problem Rosji”. W skazaniu szesnastu nie chodziło bowiem nawet o brutalny rewanż polityczny – jak to widział Pużak – ale raczej o pokazanie wszystkim siłom politycznym jeszcze działającym w Polsce, że są absolutnie osamotnione i nowa sowiecka władza może wszystko. Pużak, sam – według Adama Ciołkosza – „będąc uosobieniem godności osobistej i narodowej, górujący na trybunałem”, bardzo wysoko oceniał postawę swoich kolegów z ławy oskarżonych. W pamiętnikach zapisał również kilka ciepłych słów o obrońcy. „Mój adwokat, [...] wykazał dużo umiejętności w stawianiu sprawy. Toteż nie mogę narzekać, jakkolwiek przez moje odmowy Rudence podania nazwiska, o które Rudenko dopytywał się, utrudniłem stanowisko obrończe Kaznaczejewa, tym niemniej wybrnął z trudnej sytuacji, nic nie uroniwszy z istotnego adwokata w trudnej, a w założeniu nawet gardłowej sprawie”.

Jedynym wyjątkiem od niezłomnej postawy sądzonych był Franciszek Urbań-



Fot. AIPN

Kazimierz Pużak, ps. „Bazyli” – polski działacz socjalistyczny, w 1906 roku razem z Józefem Piłsudskim współtworzył PPS-Frakcję Rewolucyjną, wieloletni poseł na sejm w II RP, w czasie II wojny światowej organizator i sekretarz generalny PPS-Wolność Równość Niepodległość, przewodniczący Rady Jedności Narodowej

ski ze Stronnictwa Pracy, który w śledztwie podpisał protokół zrzucający całą winę za „robotę wywrotową” na Pużaka i opisujący jego „faszystowsko-reakcyjne poglądy”. Szef RJN dostał ostatecznie wyrok dość łagodny – półtora roku więzienia. Komunistyczny sąd stwierdził bowiem, że „w warunkach przechodzenia do budownictwa pokojowego nie ma konieczności stosowania surowych kar – do rozstrzelania włącznie”. Skazani byli również informowani przez śledczych o rychłej i nieuchronnej amnestii. Tak się zresztą stało – na Łubiance Pużak odsiedział tylko kilka miesięcy – 1 listopada 1945 roku jemu, Kazimierzowi Bagińskiemu i Aleksandrowi Zwierzyńskiemu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR udzieliło amnestii.

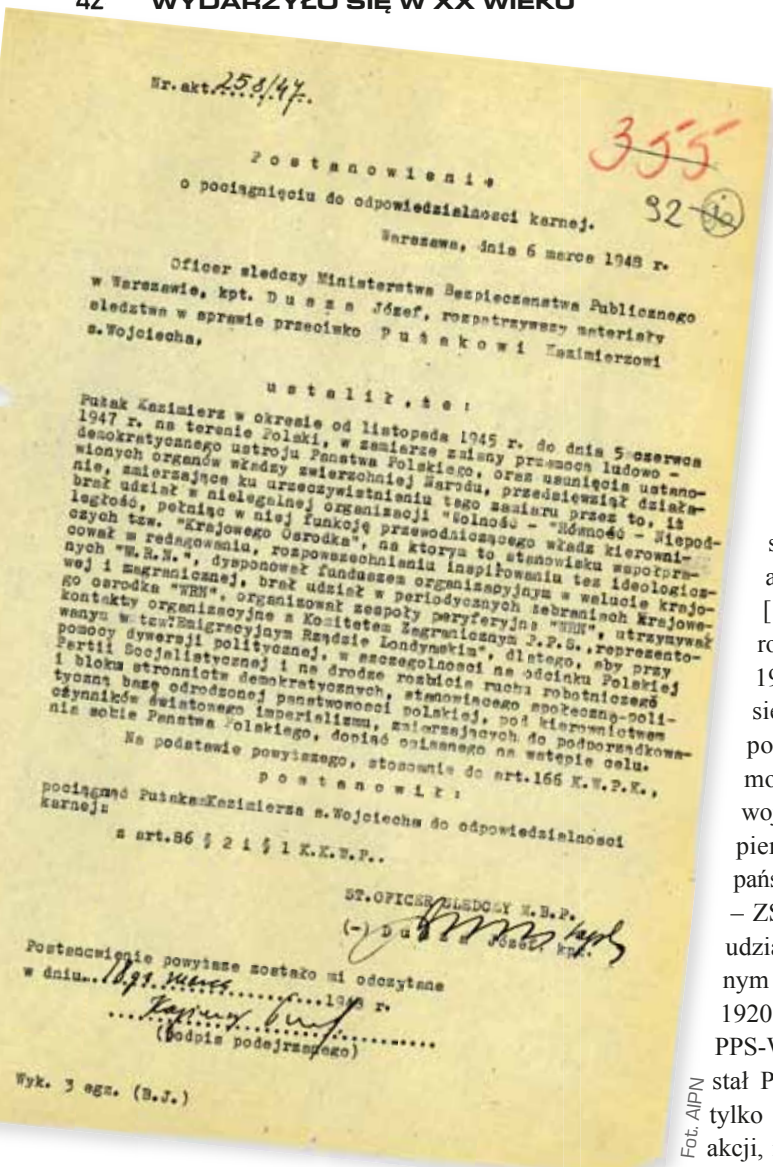
Zwolnienie nie przebiegło jednak bez zgrzytów. W czasie podróży powrotnej do Warszawy „zaraz za Mińskiem Mazowieckim kazano nam wyjść z pociągu i w szeregu pod konwojem cywilów, kroczyć przed siebie. Znaleźliśmy się pod lasem. [...] Zwierzyński szepem mnie zapytał: – Czy to prowadzą nas na rozstrzał? – odpowiedziałem: – Zdaje mi się, że coś w tym rodzaju. Po przejściu jeszcze z pół kilometra doszliśmy do szosy, na której stały dwa oświetlone samocho-

dy. Kazano nam do nich wsiąść i jechać jeden za drugim. Mimo nieprzenikliwej ciemności zorientowaliśmy się, że wzięliśmy kierunek na Warszawę. Po pewnym kluczeniu [...] doszedłem do wniosku, że bocznymi drogami wjeżdżamy na szosę Siedlecką i Grochowską, wreszcie na Pragę na ul. Środkową do UB, czyli do tego samego gmachu, w którym już byłem gościnnie u Rosjan”. Tam zażądano, by niedawni więźniowie podpisali coś w rodzaju lojalności. Pużak odmówił, nie podpisał też protokołu zarządzającego nadzór policyjny nad nim. W końcu napisał odręcznie ołówkiem zobowiązanie, że będzie informował Urząd Bezpieczeństwa o każdej ewentualnej... zmianie adresu zamieszkania.

Koniec złudzeń

Po powrocie do kraju Pużak ani myślał zaprzestać działalności konspiracyjnej i natychmiast wrócił do pracy w strukturach Wolności-Równości-Niepodległości. Mimo że kontakty z nim były utrudnione przez bardzo dokładny nadzór bezpieczeństwa, został wybrany na przewodniczącego Ośrodka Krajowego WRN. Wielokrotnie odrzucał wszelkie (również te pochodzące od władz) propozycje emigracji, choć jak twierdził Zygmunt Zaremba, „rozumiał dobrze, że bolszewicy nie pozwolą mu długo cieszyć się nawet względną wolnością. Aby zrozumieć tę postawę, trzeba pamiętać, że Pużak związał się z polskim ruchem socjalistycznym w epoce, gdy jedynym możliwym końcem ka- ➤

Pamiętnik Kazimierza Pużaka *Wspomnienia 1939–1945* powstał przed drugim aresztowaniem autora w 1948 roku. Pomimo starań UB nie udało się odnaleźć ukrywanego rękopisu. Wspomnienia Pużaka zostały przepisane, rękopis zniszczono. Służba Bezpieczeństwa zdobyła kopię dopiero w 1973 roku. Pamiętnik przekazano na Zachód, został wydany przez Instytut Literacki w Paryżu w 1977 roku.



riery rewolucjonisty było więzienie, katorga czy śmierć na szubienicy. Troszczyć się tylko wypadało, żeby ten koniec przyniósł jeszcze jakiś pożytek sprawie”. Starzy rewolucjoniści z Pużakiem na czele chyba właśnie w ten sposób myśleli.

Koniec politycznych złudzeń przyszedł bardzo szybko. Już w 1947 roku Kazimierz Pużak został ponownie aresztowany. Był to element rozgrywki o „zjednoczenie” Polskiej Partii Robotniczej z PPS. Tym razem śledztwo trwało ponad rok. Proces rozpoczął się na początku listopada, na miesiąc przed powstaniem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, która objęła niepodzielne rządy w Polsce, nazywanej już Ludową.

Akt oskarżenia Pużaka i jego kolegów z WRN-u był niezwykle długi i w zasadzie pozbawiony konkretów, za to naszpici-

kowany znamieną dla tamtego czasu nowomową. „Grupa oskarżonych z Pużakiem na czele, wywodzi się z kadry pepesowców-piłsudczyków, która jeszcze w latach pierwszej wojny imperialistycznej uczynili z Polskiej Partii Socjalistycznej sługę imperializmu austro-niemieckiego [...] Reakcyjne kierownictwo PPS w latach 1919–1920, znajdując się całkowicie w dyspozycji Piłsudskiego, mobilizowało masy do wojny zaborczej przeciw państwu socjalistycznemu – ZSRR i brało oficjalny udział w rządzie wojennym Piłsudskiego w roku 1920. Wojenne wcielenie PPS-WRN, na czele której stał Pużak, było więc nie tylko agenturą polskiej reakcji, nie tylko narzędziem narodowego kapitału, służącym do hamowania zbrojnej walki narodu polskiego z hitlerowskim najeźdźcą i do uzależnienia przyszłej Polski od mocarstw anglosaskich, ale stała się organizacją idącą faktycznie na rękę niemieckiemu okupantowi”. Taki kaliber oskarżenia sprawił, że kwestia rzekomego szpiegostwa na rzecz gen. Władysława Andersa była zaledwie dodatkiem. Zarzuty były tak absurdalne, że oskarżonemu nie pozostało na sali sądowej nic innego, jak oświadczyć: „Jestem rzymskim katolikiem narodowości polskiej. Więcej nie mam panom do powiedzenia”.

Proces był bardzo nagłaśniany przez prasę w tonie jeszcze bardziej oskarżycielskim, właściwie zawsze obok artykułów o nadchodzącym zjednoczeniu partii pojawiały się tytuły w stylu „Kazimierz Pużak paraliżował walkę przeciw-

ko Niemcom”, „Pużak – mistrz intrygi i prowokacji”, „Szulerka polityczna klikki Pużaka”. W trakcie procesu miał miejsce bardzo przykry epizod – jeden z szefów wojewódzkich „odrodzonej” PPS przysłał donos jakoby potwierdzający agenturalny charakter działalności Pużaka w okresie międzywojennym – w 1935 roku miał dostać dość wysoką emeryturę. Były przewodniczący RJN miał za to szczęście do adwokatów – mowa kończąca mecenasa Mariana Niedzielskiego była zręczna i na tyle prawdziwa, na ile pozwalała kuriozalność zarzutów. Pużak był jednak legendą, którą komuniści i tak postanowili zniszczyć. Został skazany na dziesięć lat więzienia.

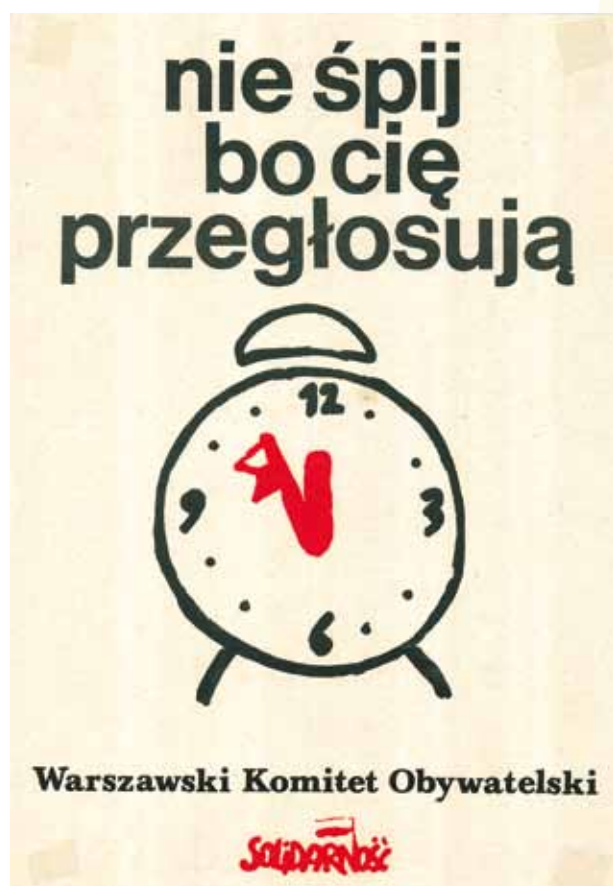
Mimo próśb żony i córki nie poprosił o łaskę ani się nie ukorzył. „Mnie car trzymał w manelach kilkanaście lat i nie złażał, a oni teraz, kiedy stoję nad grobem, żądają ode mnie zdrady. To byłaby zdrada was wszystkich”. W więzieniu w Rawiczu Pużak był poddawany najróżniejszym szykanom – to dawano mu za małe ubrania, to za krótki koc, zakręcano grzejniki w celi, odmawiano leków. Wielokrotnie był również wzywany na długie nocne przesłuchania, których celem było właściwie tylko pogwałcenie więźnia. Biorąc pod uwagę ponurą sławę rawickiego zakładu, można przypuszczać, że najprawdopodobniej był również bity, przetrzymywany w izolatce i polewany wodą. Nawet brutalne traktowanie nie zmieniło jego postawy. Władzom odpowiadał: „Z wami nie będę rozmawiał, o żadną łaskę prosił nie będę”.

Zmarł 30 kwietnia 1950 roku. Okoliczności jego śmierci nigdy nie zostały wyjaśnione, znamy przynajmniej trzy wersje przekazywane najczęściej przez anonimowych świadków. Najprawdopodobniej leciwy Pużak został zepchnięty ze schodów przez strażników i zmarł z powodu obrażeń. Nie wiemy na pewno, czy był to mord polityczny, jednak wiele – zwłaszcza gorliwość władz przy tuszowaniu tego zdarzenia i wątpliwa autentyczność aktu zgonu Pużaka – na to wskazuje. ■

Maciej Krawczyk – popularyzator historii, krytyk kultury i popkultury, związany z Magazynem Historycznym „Mówią Wieki”, autor zeszytów w serii „Polska Walcząca”

Pospolite ruszenie demokracji

Inka Słodkowska



Wiosną 1989 roku, gdy Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” podjęła decyzję o udziale w wyborach czerwcowych, w całej Polsce powstały Komitety Obywatelskie „Solidarność”. Ich zadaniem było przeprowadzenie kampanii wyborczej solidarnościowych kandydatów do sejmu X kadencji i senatu I kadencji.

Startowali oni do sejmu w ramach trzydziestopięcioprocentowej puli miejsc, które w wyniku ustaleń Okrągłego Stołu miały zostać obsadzone w rezultacie wolnej gry wyborczej, a także do przywróconego po pół wieku senatu, do którego obowiązywała już w pełni

konkurencyjna ordynacja. Na wezwanie KKW NSZZ „Solidarność” i Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” do pracy w kampanii wyborczej zgłosiły się tysiące ludzi. Było to wielkie pospolite ruszenie obywateli. Komitety Obywatelskie powstały w stolicach ówczesnych 49 województw,

we wszystkich miastach, w większości gmin, we wsiach.

Inicjatorami powstania komitetów byli przede wszystkim działacze Solidarności, wspierani przez członków Klubów Inteligencji Katolickiej i innych stowarzyszeń niezależnych (Niezależne Zrzeszenie Studentów, Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej, duszpasterstwa, towarzystwa gospodarcze itp.). Komitety tworzone w sposób demokratyczny, w większości ośrodków w takim trybie były również wyłaniane ich gremia kierownicze. Kandydatów do parlamentu wysuwały Komitety Obywatelskie szczebla wojewódzkiego, do ▶

których spływały propozycje z ośrodków lokalnych oraz ze strony Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. Ostateczna lista 261 kandydatów z całej Polski została przegłosowana i przyjęta 23 kwietnia 1989 roku na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”, który przez władze



Zadania zrealizowane przez Komitety Obywatelskie:

- utworzenie Komitetów Obywatelskich „Solidarność”: powołanie władz, zespołów i komisji, ustalenie zakresu i harmonogramu prac i zadań;
- powołanie komitetów wyborczych i zgłoszenie ich zgodnie z nakazami ordynacji do odpowiednich instytucji administracji rządowej;
- organizacja i wyposażenie biur wyborczych i punktów informacyjnych Solidarności; zgromadzenie pracowników oraz osób i instytucji wspierających;
- organizacja transportu i łączności;
- wyłonienie i zatwierdzenie kandydatów na posłów i senatorów, wybór i zatwierdzenie ich asystentów, zgłoszenie ich do Ogólnopolskiego Biura Wyborczego KO „S” w Warszawie;
- zebranie podpisów pod kandydaturami Solidarności do sejmu i senatu (do 10 maja 1989 roku);
- wysunięcie i zgłoszenie członków komisji wyborczych wszystkich szczebli oraz mężów zaufania kandydatów Solidarności, przeprowadzenie odpowiednich szkoleń;
- wysunięcie i zgłoszenie pełnomocników do wojewódzkich ośrodków radiowo-telewizyjnych;
- opracowanie oraz udostępnienie wzorów materiałów i instrukcji wyborczych oraz materiałów propagandowych;
- opracowanie i przyjęcie programu wyborczego;
- stworzenie systemu łączności między: (1) biurem wyborczym a kandydatami i ich asystentami, (2) poszczególnymi biurami w regionie oraz (3) regionami a Ogólnopolskim Biurem Wyborczym KO „S” w Warszawie;
- przeprowadzenie akcji zdobywania funduszu wyborczego, w tym: sprzedaż cegiełek wyborczych, organizacja zbiórek publicznych, aukcji, kiermaszów itp.;
- upowszechnienie wiedzy o kandydatach Solidarności oraz szkolenie wyborców w procedurach wyborczych;
- redagowanie i wydawanie lokalnej gazety wyborczej oraz biuletynów wyborczych; kolportaż „Gazety Wyborczej”;
- szkolenie kandydatów i ich publiczna prezentacja;
- agitacja wyborcza: produkcja audycji radiowych i programów telewizyjnych; druk i rozpowszechnianie plakatów i ulotek oraz produkcja innych akcesoriów wyborczych; audiowizualna propaganda uliczna;
- organizacja spotkań kandydatów z wyborcami, wieców, konferencji prasowych, koncertów, festynów i innych imprez masowych;
- zapewnienie w czasie kampanii wyborczej transportu, wyżywienia i noclegów dla: kandydatów na posłów i senatorów, pracowników oraz wolontariuszy biur wyborczych „S”, artystów biorących udział w kampanii, członków komisji wyborczych, mężów zaufania, ekip plakatujących itp.;
- organizacja systemu kontroli wyborów (mężowie zaufania, obserwatorzy), szkolenie w technikach rejestracji wyników wyborów;
- obsada komisji wyborczych (członkowie, mężowie zaufania) oraz punktów informacyjnych Solidarności 4 czerwca 1989 roku (w dniu I tury wyborów);
- rejestrowanie przez Komitety Obywatelskie wyników głosowania w I turze wyborów 4 czerwca 1989 roku w okręgach i w obwodach na terenie całego kraju; przesyłanie tych wyników do Warszawy, gdzie odbywało się zbiorcze obliczanie głosów w Ogólnopolskim Biurze Wyborczym KO „S”;
- organizacja II tury wyborów 18 czerwca 1989 roku.

▶ Aleksander Małachowski, poseł wybrany z listy Komitetu Obywatelskiego, i premier Tadeusz Mazowiecki tuż przed apogeum „wojny na górze”; Warszawa, 17 czerwca 1990 roku

związkowe został upoważniony do kierowania kampanią wyborczą.

Wbrew władzom, pod lupą bezpieki

Od początku kwietnia 1989 roku w Warszawie przy ul. Fredry 6 działało Ogólnopolskie Biuro Wyborcze Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Były tam prowadzone szkolenia organizacyjne i prawne, rozdzielane środki finansowe, dystrybuowane cegiełki wyborcze oraz plakaty, ulotki i inne materiały propagandowe, produkowane przez zespół poligraficzny biura. Działały tam także księgowość, sekcje prawnicza i prasowa oraz zespoły koordynujące kampanię wyborczą. Stała łączność z Komitetami Obywatelskimi była utrzymywana za pomocą teleksu, telefonów oraz dzięki kilkudziesięciu łączniczkom i łącznikom, nieustannie podróżującym po całej Polsce.

Kampania wyborcza rozpoczęła się w niełatwych warunkach organizacyjnych i materialnych. Brakowało wszystkiego: lokali wyborczych, papieru, sprzętu poligraficznego, środków łączności i transportu (benzyna była reglamentowana), mebli. Jeden z łączników informował w kwietniu 1989 roku: „Biuro Wyborcze Komitetu Obywatelskiego »S« w Zielonej Górze potrzebuje pilnie co najmniej jednego, jakiegokolwiek kserografu i jednej maszyny elektrycznej do pisania lub zwy-

klej maszyny. Nigdzie nie można kupić maszyn do pisania. Obecnie w Biurze jest jedna, prywatna maszyna”. Na mocy ordynacji wyborczej komisji zwracały się do władz administracyjnych o przydział lokali na biura wyborcze, środków łączności (telefonów i teleksów), papieru, benzyny, czasu antenowego w radiu i telewizji oraz zgłaszały planowane publiczne spotkania i imprezy wyborcze, aby uzyskać zgodę władz na ich organizację. Wielokrotnie starania te napotykały opór. Od samego początku działalności Komitetów Obywatelskich były nieustannie inwigilowane przez służby bezpieczeństwa PRL.

Sprawą o zasadniczym znaczeniu dla powodzenia akcji wyborczej była postawa większości społeczeństwa: gotowość nie tylko do ofiar pieniężnych, ale nade wszystko do pracy w sztabach wyborczych. Z tego pospolitego obywatelskiego ruszenia powstała niezwykle sprawna organizacja, w której działały tysiące wolontariuszy. Tak jak w Solidarności w latach 1980–1981, wspólnie pracowali inteligenci, artyści, robotnicy, rolnicy, młodzież. Rozlepiono tysiące plakatów i ulotek, zorganizowano setki spotkań wyborczych, przeszkolono setki członków komisji wyborczych i mężów zaufania, wydawano i kolportowano gazety wyborcze o masowym nakładzie. Dla potrzeb kampanii udostępniano prywatne samochody i benzynę, mieszkania, maszyny do pisania, żywność i wszelkie potrzebne dobra materialne. Przede wszystkim zaś czas – spędzany na dyżurach w biurach wyborczych, przy organizacji spotkań z kandydatami, przy plakataowaniu i rozdawaniu ulotek (tu głównie pracowała młodzież studencka i szkolna, wśród niej wielu członków NZS, ZHR czy Federacji Młodzieży Walczącej).

Na potrzeby kampanii wyborczej Solidarność przeznaczyła kilkadziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich (całe swe ówczesne rezerwy finansowe) oraz zaciągnęła pożyczkę bankową. Pomoc nadeszła też ze strony Kościoła katolickiego, Klubów Inteligencji Katolickiej, środowisk twórczych,



rzemiosła, zrzeszeń taksówkarzy i innych oraz Polonii na całym świecie. Wsparcia udzieliły związki zawodowe i inne organizacje z Zachodu. Były to bezcenne w tamtych czasach dary: papier na plakaty i ulotki, maszyny drukarskie, ksero-kopiarki, komputery, teleksy, telefony, faksy, a nawet samochody i żywność. W kampanii wyborczej Solidarności wzięły udział światowe gwiazdy filmu i muzyki.

Między kampaniami

Solidarność zdecydowanie wygrała wybory czerwcowe, wprowadzając 99 swych przedstawicieli do stuosobowego senatu i 261 posłów do sejmu (wyczerpała tym samym trzydziestopięcioprocentową pulę). Komitet Obywatelski, w których działały tysiące osób, przedstawiały już wtedy znaczącą siłę polityczną. Podjęta 17 czerwca 1989 roku uchwała Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” o rozwiązaniu Komitetów Obywatelskich na szczeblu wojewódzkim nie weszła w życie na skutek protestów nie tylko ze strony działaczy komitetowych, lecz także – przede wszystkim – przedstawicieli regionalnych władz związkowych. Po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego Komitet Obywatelski brały udział w przeprowadzaniu zmian ustrojowych, wspierając rząd i Obywatelski Klub Parlamentarny – solidarnościową reprezentację w parlamencie.

Okres od jesieni 1989 roku do wiosny 1990 roku to czas dynamicznego rozwoju Komitetów Obywatelskich. Utworzyły one szeroki ruch społeczno-polityczny, kładący w całym kraju podwaliny pod budowę społeczeństwa obywatelskiego. Odbywały się regularne zjazdy ruchu komitetowego na szczeblu centralnym i regionalnym, służące ustalaniu wspólnych działań i wymianie doświadczeń. Podstawowymi zadaniami, stojącymi wtedy przed Komitetami Obywatelskimi, były organizacja wyborów do odtwarzanego samorządu terytorialnego oraz przygotowanie do pracy przyszłych radnych i kadr dla nowej administracji lokalnej. Prace rozpoczęły się niemal natychmiast po czerwcowych wyborach. W realizacji tych zadań komitety były wspierane przez Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” oraz Fundację Rozwoju Demokracji Lokalnej, stworzoną przez senatora Jerzego Regulskiego w sierpniu 1989 roku. Zaplecze finansowe zapewniały ruchowi komitetowemu środki pozyskiwane na całym świecie przez Fundację Obywatelską, założoną przez Lecha Wałęsę w grudniu 1989 roku.

W latach 1989–1991 Komitety Obywatelskie inicjowały i realizowały liczne zadania na rzecz transformacji systemowej. Ich członkowie tworzyli wiele instytucji politycznych i gospodarczych oraz rozmaitych stowarzyszeń. Działacze ▶

▶ Komitety Obywatelskie: Lech Wałęsa (w środku) i jego stronnicy w „wojnie na górze”: Zdzisław Najder (z lewej) i Jarosław Kaczyński; Warszawa, 30 czerwca 1990 roku



komitetowi organizowali Biura Poselsko-Senatorskie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, do którego należeli parlamentarzyści wybrani w czerwcu 1989 roku z listy Solidarności. Zakładali szkoły, fundacje, banki i spółdzielnie, tworzyli wszechnice obywatelskie, otwierali oficyny wydawnicze i wydawali niezliczone tytuły prasy lokalnej, prowadzili działalność charytatywną i ekologiczną, rozwijali przedsiębiorczość w większych i mniejszych miastach, a także na terenach wiejskich. Działacze komitetowi wielokrotnie uniemożliwiali proces „uwłaszczenia nomenklatury”. Komitety Obywatelskie budowały także od podstaw sieć kontaktów zagranicznych Polski lokalnej. Przywracały pamięć historyczną oraz tradycje narodowe i regionalne. Przed pierwszymi wolnymi wyborami do odtworzonego samorządu terytorialnego komitety uczestniczyły w przygotowaniu niezbędnych zmian prawnych, a także przeszkoliły tysiące kandydatów na radnych i na urzędników samorządowych. Wielu z nich przebywało na szkoleniach zagranicznych dzięki staraniom Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej we współpracy z odpowiednimi fundacjami i innymi organizacjami z Europy Zachodniej.

Na wiosnę 1990 roku Komitety Obywatelskie, równie znakomicie jak w czerwcu 1989 roku, przygotowały i przeprowadziły kampanię wyborczą swych kandydatów w pierwszych po II wojnie światowej wolnych wyborach do samorządu terytorialnego (27 maja 1990 roku). Kampania ta była niezwykle trudna, gdyż Komitety Obywatelskie musiały powstać we wszystkich miastach i gminach. Wszędzie trzeba było zebrać kandydatów na radnych i przyszłych urzędników samorządowych oraz obsadzić tysiące komisji wyborczych obwodowych i okręgowych. Wszyscy ci ludzie musieli zostać przeszkoleni. Trzeba było opracować programy i przedstawić je wyborcom w czasie spotkań z kandydatami oraz na plakatach, ulotkach, w audycjach radiowych i telewizyjnych, a także w gazetach lokalnych, wydawanych przez Komitety Obywatelskie w całym kraju. W wyborach do odtworzonego

samorządu terytorialnego 27 maja 1990 roku Komitety Obywatelskie odniosły kolejne zdecydowane zwycięstwo.

Pionierzy demokracji

W latach 1990–1991 działacze komitetowi od podstaw budowali demokratyczne struktury Polski lokalnej. Byli kompetentnymi i zaangażowanymi samorządowcami, obejmowali stanowiska prezydentów i burmistrzów miast, wójtów gmin, tworzyli instytucje samorządu terytorialnego i inne organy administracji lokalnej. W tym okresie wiele komitetów zakończyło swą działalność, ale znaczna ich część kontynuowała prace do momentu pierwszych wolnych wyborów parlamentarnych na jesieni 1991 roku.

Po wyborach samorządowych w drugiej połowie 1990 roku w działalności ruchu komitetowego zaczęły się rysować coraz większe sprzeczności i konflikty. Od początku istnienia komitety były głęboko zróżnicowane, choćby ze względu na wielość podmiotów je tworzących. Konflikty w roku 1990 były przede wszystkim odbiciem trwającej wówczas w naszym kraju „wojny na górze”. Wewnątrz komitetów pojawiły się podziały na zwolenników Tadeusza Mazowieckiego (głównie działacze Ruchu Obywatelskiego Akcji Demokratycznej) i zwolenników Lecha Wałęsy (związanych z Porozumieniem Centrum), aktywni stali się także zwolennicy opcji chrześcijańsko-narodowej (członkowie Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego). Z Komitetu Obywatelskiego w czerwcu 1990 roku wystąpiło sześćdziesiąt osób, sprzeciwiających się kandydaturze Lecha Wałęsy na prezydenta. W tym samym czasie działacze komitetowi z całej Polski opowiedzieli się za utrzymaniem zdecentralizowanego charakteru swego ruchu. W powołanej w lipcu 1990 roku Krajowej Konferencji Komitetów Obywatelskich (KKKO) uczestniczyli przedstawiciele wszystkich konkurujących ze sobą platform politycznych. Decyzja podjęta przez KKKO w październiku tegoż roku o poparciu kandydatury Lecha Wałęsy na Urząd Prezydenta RP przesądziła jednak o opuszczeniu ruchu komitetowego przez

działacze popierających Tadeusza Mazowieckiego i związanych z ROAD.

Po wyborach prezydenckich ruch komitetowy popierał zdecydowanie działalność prezydenta Wałęsy. Przed wyborami parlamentarnymi w 1991 roku KKKO zabierała wielokrotnie głos w ogólnokrajowej debacie nad fundamentalnymi dla budowy ustroju demokratycznego aktami prawnymi – konstytucją i ordynacją wyborczą. Do wyborów jednak Komitety Obywatelskie stały podzielone. Część z nich poparła Porozumienie Centrum, część – Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Niektóre Komitety jednak pozostały neutralne, stawiając sobie przede wszystkim cel dalszej pracy na rzecz swych środowisk. Z ich inicjatywy po wyborach parlamentarnych ruch komitetowy przekształcił się w federację stowarzyszeń lokalnych i regionalnych. Niektóre z nich działają do dziś, niejednokrotnie odgrywając ważną rolę na poziomie Polski lokalnej.

Pomimo konfliktów i rozłamów zdecydowana większość Komitetów Obywatelskich funkcjonowała na podstawie reguł demokratycznych, dążąc do osiągnięcia wewnętrznego konsensusu. Dzięki temu Komitety Obywatelskie stworzyły warunki do transformacji ustrojowej w społeczeństwie. Należy wszakże podkreślić, że uczestnicy ruchu komitetowego w większości brali udział w całym procesie przemian ustrojowych w Polsce, począwszy od sierpnia 1980 roku. Doświadczenie wyniesione z działalności w Solidarności dało im demokratyczne know-how, wykorzystywane z sukcesem, gdy w latach 1989–1991 roku Komitety Obywatelskie organizowały nową, demokratyczną przestrzeń polityczną i społeczną. Wielu ich działaczy było zarazem pionierami gospodarki rynkowej w Polsce. Uprawnione będzie stwierdzenie, że doświadczenia oraz umiejętności działaczy Komitetów Obywatelskich miały podstawowe znaczenie dla przeprowadzenia procesów transformacji ustrojowej w Polsce. ■

dr hab. Inka Słodkowska – socjolog, profesor w Zakładzie Najnowszej Historii Politycznej w Instytucie Studiów Politycznych PAN, kierownik Archiwum Partii Politycznych ISP PAN

Moja droga do Auschwitz

– relacja Kazimierza Albina

Pod koniec 1939 roku wraz z przyjaciółmi z harcerstwa postanowiliśmy uciekać na Węgry, by przedostać się do armii polskiej we Francji. Znajomy ojca internowany na Węgrzech zbiegł z obozu i przez zieloną granicę wrócił do okupowanej Polski. Udzielił nam cennych informacji o szlaku. Trasa wiodła przez Muszynę, Nowy Sącz, Preszów do Budapesztu. Koledzy zrezygnowali z udziału w ostatniej chwili. Namówiłem brata. Wyruszyliśmy. Zostaliśmy niestety ujęci przez policję słowacką w Preszowie. Skazano nas na kilkutygodniowy pobyt w więzieniu. Przesłuchiwano nas. Tłumaczyłem, że chciałem zwiedzić świat. Po zakończeniu sądownej kary wyprowadził nas funkcjonariusz policji i wsadził w pociąg. Przy granicy przywołał żołnierza ze słowackiej straży granicznej i kazał nas odprowadzić. Żołnierz podprowadził nas kilkadziesiąt metrów w kierunku granicy i zamiast zaprowadzić nas na niemiecki posterunek powiedział, byśmy poszli we wskazanym kierunku. Niezauważeni przez Grenzschutz dotarliśmy do Krynicy.

W Krynicy zamieszkaliśmy u niejakiego Hadalskiego, podoficera Wojska Polskiego, który rzekomo przeprowadzał grupy polskich oficerów przez Słowację na Węgry. Siedzieliśmy z nim w słowackim więzieniu. Został zwolniony po paru dniach. Był bardzo zdenerwowany. Miał jakieś kłopoty. Jeździł do Nowego Sącza, wówczas jeszcze nie wiedziałem, dlaczego. Nazajutrz do drzwi zapukali dwaj warszawiacy, których poznaliśmy w celi. Przeszli granicę w podobny sposób jak my. Trzeciego dnia pojechaliśmy pociągiem do Muszyny, by przejść tą samą trasą, tym razem z Hadalskim jako przewodnikiem. Hadalski ułokował się w innym przedziale. Do naszego zaglądał żandarm niemiecki, na szczęście poszedł dalej. Wysiedliśmy w Muszynie. Zbliżamy się w tłumie do przejścia przez bramki. Nagle tłum zostaje rozdzielony, a do nas podchodzi pięćosobowa grupa esesmanów z pistoletami w ręku. *Hände hoch!* Założyli nam kajdanki i całą czwórkę poprowadzili w zawiei śnieżnej przez miejscowość. Zauważyłem, że Hadalski odłącza się od nas i znika w tłumie.

Zaprowadzono nas do niewielkiego budynku więziennego w Muszynie. W nocy do cel wpadli gestapowcy i tłukli więźniów. W poniedziałek przewieźli nas na przesłuchanie do willi „Kujawianka”. Notabene byłem w niej również po wojnie, w latach siedemdziesiątych, wówczas było tam... sanatorium. Chciałem, by umieszczono tablicę upamiętniającą te wydarzenia, ale władze miejskie nie były tym wówczas zainteresowane.

Przed piętrową willą stał otulony w kozuch wartownik. W środku zauważyliśmy młode dziewczyny. Okazało się, że to Żydówki, sprzątały tam, były zastraszone. W ogóle z nami nie rozmawiały, nawet szeptem. Na przesłuchanie wprowadzano nas pojedynczo. Poszedłem pierwszy. Tłukli nas. Raz straciłem przytomność. Polewali mnie wodą. Mówiłem, że nie jadę do żadnej armii, że czytałem wiele książek podróżniczych, że sytuacja w domu jest bardzo ciężka, nie ma co jeść. Po prostu urwaliśmy się i chcieliśmy pojechać gdzieś na południe, do Afryki, zwiedzić świat. Nie dawali wiary i wmawiali nam, że chcieliśmy uciec do polskiej armii. Brata strasznie pobili. Znałem niemiecki, więc zrozumiałem słowa tłumacza, że informacje na nasz temat mają od Hadalskiego. Zorientowaliśmy się, że był na ich usługach.

Potem trafiłem do więzienia w Nowym Sączu. Pewnej nocy wpadło gestapo i zaczęli straszliwie tłuc wszystkich więźniów w celach. Dwóch więźniów miało bardzo poważne zarzuty i dowody działalności w konspiracji z bronią. Przy-

Kazimierz Albin – ur. 30 sierpnia 1922 roku w Krakowie; przewieziony pierwszym transportem do KL Auschwitz. Otrzymał numer obozowy 118. Zbiegł z obozu w lutym 1943 roku. Został szefem dywersji bojowej III Odcinka Komendy Obwodu Kraków-Miasto Armii Krajowej. Autor książek *List Gończy* (1989 i 1996) oraz *Postscriptum. Lasy powojenne i powrót do Auschwitz* (2013). Był jednym z założycieli i prezesem Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem, jest członkiem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej oraz Rady Muzeum Auschwitz-Birkenau.



Fot. Maciej Foksz

gotowali się do ucieczki. Niemcy dowiedzieli się o tym. Heinrich Hammann, szef gestapo w Nowym Sączu, z psem oraz grupą gestapowców wpadli i zastrzelili tych dwóch więźniów. Następnie z każdej celi brali starszego celi, żeby zobaczyć, jakie są konsekwencje w razie usiłowania ucieczki.

Kolejnym etapem więziennej drogi stał się z początkiem maja 1940 roku Tarnów, gdzie był jeden z największych zakładów karnych na południu Polski. 12 czerwca 1940 roku rozeszła się po rurach wiadomość alfabetem Morse'a, że wyjeżdżamy, prawdopodobnie na roboty do Niemiec. Cieszyliśmy się z tego, bo cięższa praca w Rzeszy wydawała nam się znośniejsza od wegetacji w zamkniętym pudle. Emocje ogromne. Następnego dnia wywołano nas z cel na duży dziedziniec, w sumie 728 osób, przeważnie młodych ludzi. Poprowadzono nas przez miasto na dworzec, policjanci niemieccy cały czas patrolowali po bokach, zapowiedzieli, że jeżeli ktoś w ogóle wyjdzie z szeregu zostanie zastrzelony, szansy ucieczki nie było. Załadowano nas do pociągu pasażerskiego starego typu. W każdym przedziale stłoczono po dziesięć osób, na korytarzu stali funkcjonariusze Schutzpolizei. Po paru godzinach pociąg zatrzymał się na dworcu głównym w Krakowie. 14 czerwca 1940 roku lato było upalne, okna mieliśmy zamknięte, ale szupowcy otwierali te na korytarzu. Przez ramię funkcjonariusza obser-

wowałem dworzec. Puszczano skoczną muzykę, widziałem wielu żołnierzy Wehrmachtu i policjantów. W pewnym momencie muzyka umilkła. Usłyszeliśmy komunikat: *Achtung, Achtung, Sondermeldung! Das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt, unsere tapfere Truppen haben heute Paris genommen* – „Uwaga! Uwaga! Komunikat specjalny: Naczel-

KL.: *Auschwitz* HEIL-№. 118

Häftlings-Personal-Karte

Fam.-Name: <i>Albin</i>	am: _____ an KL.	Personen-Beschreibung:
Vorname: <i>Kazimierz</i>	am: _____ an KL.	Größe: _____ cm
Geb. am: <i>28.8.1888</i> in: <i>Andouze</i>	am: _____ an KL.	Gestalt: _____
Stand: <i>Pol.</i> Kinder: <i>X</i>	am: _____ an KL.	Gesicht: _____
Wohnort: <i>Andouze</i>	am: _____ an KL.	Augen: _____
Strasse: <i>Breck-Palais Nr. 101</i>	am: _____ an KL.	Nase: _____
Religion: <i>A. R.</i> Staatsang.: <i>Pol.</i>	am: _____ an KL.	Mund: _____
Wohnort d. Angehörigen: _____	am: _____ an KL.	Ohren: _____
Eingewiesen am: <i>12. VI 1940</i>	am: _____ an KL.	Zähne: _____
durch: _____	am: _____ an KL.	Haare: _____
in KL.: _____	am: _____ an KL.	Sprache: _____
Grund: _____	am: _____ an KL.	Bes. Kennzeichen: _____
Vorstrafen: _____	am: _____ an KL.	Charak.-Eigenschaften: _____
	am: _____ an KL.	Sicherheit b. Einsatz: _____
	am: _____ an KL.	Körperliche Verfassung: _____

Strafen im Lager:		
Grund: _____	Art: _____	Bemerkung: _____
		<i>Entlohnung 27.2.43</i>

► Karta personalna więźnia nr 118

ne Dowództwo Sił Zbrojnych podaje do wiadomości: Nasze dzielne wojska zajęły w dniu dzisiejszym Paryż”. Byliśmy zupełnie załamani, Francja, na którą liczyliśmy, u jej boku polska armia, do której nie dotarliśmy... Po chwili pociąg ruszył w kierunku zachodnim. Po przekroczeniu granicy Generalnego Gubernatorstwa z Rzeszą zatrzymaliśmy się na dużym dworcu kolejowym z napisem gotycką czcionką: „Auschwitz”. Starsi koledzy powiedzieli nam, że jesteśmy w Oświęcimiu.

Po chwili pociąg ruszył, zatoczył łuk i zatrzymał się przed dwoma ogromnymi budynkami, pomiędzy którymi był duży ogrodzony plac z budkami strażniczymi. Otworzono drzwi i podoficer SS ryknął: *Alles raus! Bewegt euch!* – „Szybko, ruszajcie się, wszyscy na zewnątrz”. Spokojni wcześniej szupowcy zaczęli zachowywać się tak, jakby ktoś im ostrogę wsadził. Wypchnęli nas kolbami. Wypadaliśmy przez wąskie drzwi. Popędzili nas na plac. Zobaczyliśmy dużą grupę oficerów i podoficerów SS, a także jakąś grupę w pasiakach, widzieliśmy marynarskie czapki i granatowe kurtki. Nie wiedzieliśmy, kim oni są. Ustawiono nas w dziesięciu szeregach i policzono. Najstarszy z tych, jak się później okazało, kapów niemieckich (Lagerältester), zameldował Lagerführerowi

Fritzschowi: „758 więźniów angetreten”. Nas było 728 i tak zorientowaliśmy się, że pozostała trzydziestka to także więźniowie. Fritzsch powiedział: „Jesteście w niemieckim obozie koncentracyjnym, wszystkie przejawy niesubordynacji będą bezwzględnie tępił. Usiłowanie ucieczki to kara śmierci. Młodzi i zdrowi mają prawo żyć tutaj nie dłużej niż trzy miesiące, księża jeden miesiąc, Żydzi dwa tygodnie”. Wśród naszego transportu było kilku zakonników i ośmiu Żydów, których przewieziono jako obywateli polskich.

Potem ustawili nas przy stoliku, nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi. Wiedziałem z doświadczenia więziennego, że w takich niepewnych okolicznościach nie należy być pierwszym, ani ostatnim. Okazało się, że dali nam numery więźniarskie. Pierwszy Polak dostał numer 31, bo numery od 1 do 30 otrzymali wspomniani kapowie. Brat stojący przede mną dostał numer 116, między nami stał rotmistrz Stachowicz, ja zaś otrzymałem numer 118.

Dopiero teraz się dowiedzieliśmy, że istnieje Konzentrationslager Auschwitz. Nikt nie miał dotąd pojęcia o jego istnieniu. Obóz nie był jeszcze gotowy i około dwóch tygodni byliśmy na kwarantannie. Przed południem sześć godzin, i po godzinnej przerwie obiadowej następne sześć godzin w strasliwym upale ganiałi nas po placu apelowym. Tam był żwir i piasek. Dużo kurzu. Ćwiczyliśmy marsze i biegi. Potem był tzw. sport, czyli skakanie żabką (*hüpfen*), rolowanie (*rollen*), czołganie, po tym znów biegiem i znów marsz.



Fot. ze zbiorów Maciejka Foksa



Były pierwsze ofiary. Padali ci starsi, wycieńczeni wielomiesięcznym siedzeniem w więzieniu. Byli wygłodniali, a tu też dostawali niewiele więcej kalorii. Jeżeli ktoś upadł, był bity knyplami lub pejcami przez kapów. Jeżeli się nie podniósł, odnoszono go. Krematorium już pracowało.

Po tygodniu przyjechał połączony transport trzystuosobowy z Wiśnicza i Krakowa. To była inteligencja polska, profesorowie gimnazjalni, nauczyciele, inżynierowie, oficerowie, którzy uniknęli osadzenia w oflagach. Nie zostali skierowani na kwarantannę tylko, ponieważ kilka bloków było już przygotowanych, przebywali we właściwym obozie, z bramą *Arbeit macht frei*. Widzieliśmy ich na zewnątrz, zazdrościliśmy im, że mogą pracować, a my w takich strasznych warunkach ginimy. Co jakiś czas grupy więźniów były kierowane do Auschwitz. Po dwóch tygodniach znalazłem się na bloku 3.

Na terenie *Stammlager*, czyli obozu macierzystego, była kiedyś konna jednostka wojskowa, koszary. Kilka budynków jednopiętrowych z ogromnym placem manewrowym. Naszym zadaniem było wyrównywanie placu i przygotowanie pod budowę budynków, które później powstały. Praca była wyniszczająca. Trzeba było po wąskiej desce przewozić pełnymi taczkami ziemię, kamienie. Codziennie walczyliśmy, by zdobyć łopatę,

a nie taczki. Miałem szczęście, chyba tylko dwa razy pracowałem przy taczkach. Po kilku tygodniach przyszedł na nasz blok kapo nr 2, Otto Küsel, który zajmował się organizacją pracy. Potrzebował tzw. *Stubbendienst*, czyli więźnia, który zajmie się porządkowaniem bloku, na którym mieszkali kapowie. Było tam kilkanaście pokoi, tzw. sztub, które trzeba było utrzymać w porządku, kiedy wychodzili do pracy. Küsel wybrał mnie spośród kilkuset młodych więźniów. Miałem na szczęście dobrze opanowany język niemiecki. Jeżeli któryś z kapów albo esesmanów dawał polecenie więźniowi, a on go nie rozumiał, był bity od razu. Dlatego przeżyło więcej ludzi wykształconych niż chłopów, którzy wprawdzie byli przyzwyczajeni do ciężkiej pracy fizycznej, ale nie znali języka.

Praca była fantastyczna. Pięć czy sześć izb wyszorowałem i uporządkowałem w ciągu paru godzin, a później siedziałem sobie w fotelu i patrzyłem na zewnątrz. Mogłem stamtąd bardzo szybko wylecieć. Jeżeli esesman wchodził do bloku, to pierwszy więzień, który go zobaczył miał krzyknąć *Achtung!* Wszyscy stawali na baczność. W pewnym momencie usłyszałem takie *Achtung!* Podebrałem się z tego fotela i stanąłem przy drzwiach izby. Po chwili wkroczył Rapportführer Palitzsch, pan życia i śmierci, który rozstrzeliwał więźniów na bloku 11. Wprowadził go Lagerältester Bruno Brodniewicz, kapo nr 1. *Häftling num-*

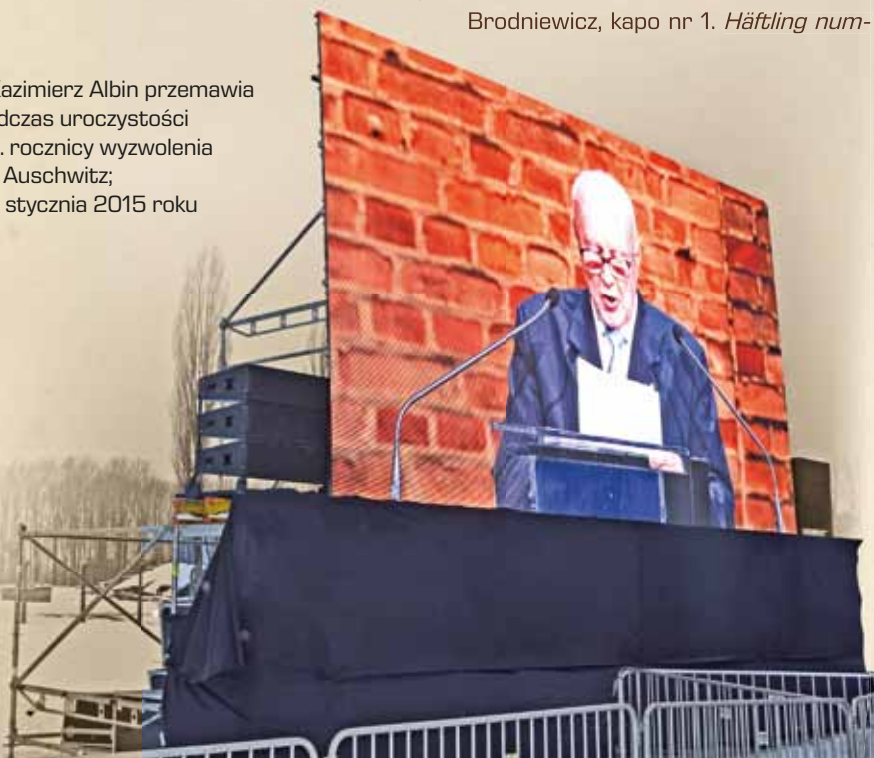
mer 118 bei der Arbeit – więzień nr 118 przy pracy – meldowałem. Palitzsch rozejrzał się, wszystko było wypucowane na mokro. Sprawdził, czy nie ma kurzu na parapecie. Przestraszyłem się, że po kilku godzinach mógł tam osiąść kurz, ale na szczęście wszystko było w porządku. „Co to jest?” – zapytał wychodząc. „Wiadro z czystą wodą” – odpowiedziałem. Kazał mi postawić je na środku pokoju. Przewrócił je kopniakiem i krzyknął: *Weitermachen!* „No, chłopcze, ale miałaś szczęście” – powiedział Otto Küsel, kiedy się dowiedział o incydencie z Palitzschem. Kapowie byli wobec mnie w porządku, przeszedłem na ich wikt, lepsze porcje, więcej mięsa, jakiś tłuszcz, mogłem więc moją porcję oddać bratu albo kolegom.

Po dwóch miesiącach roczniki 1922–1924 zostały wywołane na apelu. Obawialiśmy się, że gdzieś nas wywożą. Okazało się, że organizowano warsztaty szewskie, krawieckie, stolarskie, ślusarskie etc., bo obóz gwałtownie się powiększał. Znalazłem się w warsztacie szewskim. To było jedno z najlepszych komand, bo pod dachem. Pracowałem tam przez półtora roku.

Nie zapomnę wizyty komendanta Hößa. Zamówił dla siebie buty z cholewami. Kapo Erich Grönke rozkazał mi wyczyścić buty pana komendanta na *Hochglanz*. Omawiano, jak te buty mają wyglądać. Tymczasem Höß postawił nogę na małym taborecie. Klęcząc pastowałem jego buty. Zawsze chodził w eleganckim mundurze, miał jasne bryczesy, jeździł konno. Mimo że wyczyściłem jego buty, traktował mnie jak powietrze. Byłem wściekły. Złośliwy chochlik odpowiedział mi, żeby przejechać mu pastą po tych pięknych, jasnych bryczesach. Opanowałem się, bo pewnie byśmy dzisiaj nie rozmawiali. Można powiedzieć, że dotykałem pana komendanta Hößa... poprzez szczotkę do butów. 🍷

oprac. Maciej Foks

► Kazimierz Albin przemawia podczas uroczystości 70. rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz; 27 stycznia 2015 roku



Kazimierz Albin

Sygnatura: N-0897

Czas nagrania: 8 godzin

Archiwum Historii Mówionej BEP IPN,
Rafał Pękała, Maciej Foks

Nagranie zostało zrealizowane w latach
2012–2013

Zesłanie – relacja Stefanii Szantyr-Powolnej

cz. 2

[...] Piszę rankiem. Śnieg zawiął okienka mej chaty,
W izbie mroźno i szaro. Jakiś gość skrzydlaty
Przed zimnem do lepianki schronił się i ćwierka.
Ja piszę, a ptaszyna z pod pułapu zerka
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie.
Sople wiszą lodowe u ścian, na okapie,
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...
Jak głucho! bicie serca słyszę jak głos dzwonu! [...]
(Or-Ot, List z Sybiru)

Stefania Szantyr-Powolna – żołnierz Armii Krajowej, uczestniczka operacji „Ostra Brama”, po zakończeniu działań wojennych rozpoczęła pracę w sekretariacie dyrekcji kolejowej. Została jednak wysłędzona i aresztowana przez NKGB. Przeszła przez więzienie na Łukiszkach, po procesie skazano ją na 10 lat łagrów. Wyrok odbywała w obozach pracy w ZSRR.

Tak Stefania Szantyr-Powolna wspomina transport do Republiki Komi na dalekiej północy w europejskiej części Związku Radzieckiego:

„W czasie podróży był też taki moment, kiedy pozwolono nam wyjść, aby umożliwić załatwienie potrzeb fizjologicznych. Działo się to ku uciesze konwojentów, którzy ustawili się naprzeciwko i zaśmiewali się na nasz widok. Z tego, co wiem, zdarzały się w czasie transportu zgony. Jeśli ktoś zmarł, to ciało po prostu wyrzucano z wagonu.

W Uchcie zawieziono nas do obozu rozdzielczego, z którego jak niewolników rozsyłano więźniów do właściwych obozów. Wraz z koleżankami trafiłam do sowchozu Sedju w rejonie Uchty. W czasie transportu nie dostawałyśmy prawie nic do picia, a karmiono nas kawałkami suszonej ryby. Spragnione, piłyśmy roztopiony śnieg, który jeszcze gdzieniegdzie zalegał”.



► Stefania Szantyr (pierwsza z prawej) z koleżankami w Worskucie

Pobyt w sowchozie rozpoczął się od spotkania z naczelnikiem. Była to zarazem zapowiedź trudnego losu, który czekał więźniarki.

„Naczelnik uprzedził nas przed kontaktami z kryminalistkami, zabronił także pożyczania od nich czegokolwiek z uwagi na to, że wszystkie chorowały wenerycznie. Kiedy kładłyśmy się spać, przypinałyśmy swoje ubrania agrafkami do koca, który przykrywał prycze. To jednak nas nie uchroniło, wkrótce zostałyśmy okradzione z ubrań i butów. W zamian otrzymałyśmy łapcie wykonane z łyka i onuce. Zgubienie łapci było karane, najczęściej jednak były one kradzione. Po powrocie z pracy obuwie i onuce były wilgotne, dlatego suszyłyśmy je w suszarniach. Nie raz wstawaliśmy w nocy, aby ich pilnować, ale i to nie pomagało. Mnie także się to zdarzyło [ukradziono mi onuce]. Kiedy

rozpoczął się poranny *rozwod*, wszystkie brygady stawały na placu i pod okiem żołnierzy wychodziły do pracy. Ja musiałam się stawić z bosymi stopami. Jedna z pilnujących cofnęła mnie, abym mogła otrzymać przydział łapci”.

Prace wykonywane przez więźniów w sowchozie miały zwykle charakter sezonowy.

„Pracowałyśmy przy sadzeniu roślin, później wyganiano nas do pracy przy ścinianiu młodych gałęzi brzoź oraz kwiatów, bardzo zresztą pięknych, nazywanych *iwanczaj* (herbata lwana). Nie było to jednak lekkie zajęcie. Norma wynosiła 200 kg na osobę. Samo pokonanie odległości około 20 km do pracy trwało bardzo długo, a dzień pracy był wtedy nienormowany. W efekcie przebywałyśmy poza obozem kilkanaście godzin, a na odpoczynek zostawało już niewiele czasu. Dopiero po śmierci Stalina ustalono, że najwyższa norma pracy to 12 godzin, ale to i tak było dużo”.

Znacznie bardziej wyczerpujące były prace wykonywane w czasie srogiej, syberyjskiej zimy.

„Zimą kierowano nas do wyrębu lasu. Otrzymałyśmy przeszkolenie od naczeln-

Stefania Szantyr-Powolna – córka hrabiego Bolesława Ursyn-Szantyra i Emilii z Ostrowskich, ur. 30 lipca 1924 roku w Wilnie, harcerka. W wieku 15 lat wstąpiła do konspiracji. Brała udział w operacji „Ostra Brama”. Została aresztowana przez NKGB w grudniu 1944 roku i poddana brutalnemu śledztwu.



nika, jak się zachowywać i co należy robić. Po opadach śnieg sięgał powyżej pasa. Pierwszą czynnością było zatem usunięcie śniegu spod pnia drzewa, tak, aby można było ściąć je przy samej ziemi. Kolejny etap to pilowanie i rąbanie pnia tak, aby nadać mu odpowiedni, kontrolowany kierunek upadania. [...] Za niewyrobienie normy groził brak posiłku oraz karcer. Na samym początku kompletnie nie potrafiliśmy poradzić sobie ze ściętym drzewem. Wtedy zlitował się nad nami konwojent, który ściągnął dla mnie i dla koleżanki, z którą pracowałam, drewno z utworzonych już kubików”.

Nie tylko mróz i praca ponad siły stanowiły zagrożenie dla życia, często większym niebezpieczeństwem mógł się okazać współwięzień.

„Pamiętam, jak pracowałam w parze z Rosjanką, kryminalistką. W czasie krótkiej przerwy podbiegła do niej inna więźniarka, także Rosjanka, i zadała jej siekierą śmiertelny cios w głowę. Dopiero po chwili dotarło do nas, co się właściwie stało. Pilnujący nas konwojent kazał nam się zgromadzić, zebrać narzędzia i ruszyliśmy do obozu, niosąc zamordowaną Rosjankę. Według mnie to nie była chęć zemsty czy porachunki. To były metody wyzbycia się przymusu wyjścia do ciężkiej pracy. Sprawczyńnie po takim czynie były zabierane do więzienia, przechodziły śledztwo, ale otrzymywały także wyżywienie. Śmierć czyhała na nas na każdy kroku, nawet w baraku. Więźniarki powodowane niechęcią wyjścia do pracy potrafiły zabić siebie nawzajem”.

Życie obozowe rządziło się własnymi prawami:

„W niedługim czasie po przyjeździe do obozu zostałam obudzona w nocy przez strażnika i poprowadzona rzekomo na rozmowę z naczelnikiem obozu. Zdziwiło mnie natomiast pomieszczenie, w którym owa rozmowa się odbywała, przypominało raczej fryzjernię niż gabinet naczelnika. Mężczyzna, z którym rozmawiałam, oświadczył, że upatrzył mnie sobie na swoją niepisaną »obozową żonę« i że z nim niczego mi nie zabraknie. Usłyszawszy to, wyprostowałam się i odparłam, że on nie zna Polek. Żadna z nas nie zgodzi się na

taką sytuację, ślub zawiera się w kościele, a dwoje ludzi musi łączyć miłość. On tylko się roześmiał i powiedział, żebym się namyśliła. Następnego dnia wezwał mnie prawdziwy naczelnik obozu. Kiedy wyjaśniłam mu, co zaszło minionej nocy, uczulił mnie, że człowiek, z którym rozmawiałam, to największy kryminalista w obozie. Na szczęście nic więcej z tej sprawy nie wyniknęło.

Pamiętam także inną sytuację, która miała miejsce w czasie pracy w lesie. Rano otrzymywałyśmy mały przydział chleba. Nigdy nie było wiadomo, czy zjeść go od razu, czy zabrać ze sobą na później. W czasie przerwy rozmawialiśmy i śmiałyśmy się. Wtedy podbiegł do nas strażnik i zabronił nam się śmiać. Jedna z koleżanek zapytała: »a co, strzelać będziesz?« Będę – odpowiedział. No to strzelaj! I rzeczywiście, strażnik otworzył ogień, zabijając jedną osobę, a drugą raniąc. Brygada została zdjeta z pracy, a strażnik otrzymał nagrodę za to, że rzekomo uniemożliwił próbę ucieczki”.

Pomimo trudnych warunków życia, braku wystarczającej ilości pożywienia i wyniszczającej pracy Stefania Szantyr nie straciła ducha ani godności.

„W sowchozie Sedju zbliżała się pierwsza wigilia Bożego Narodzenia w niewoli. Wiedziałyśmy, że ta pierwsza Wigilia z dala od naszych domów, z dala od rodzin i od ojczyzny będzie trudnym przeżyciem. Postanowiłyśmy wtedy, że będziemy silne, nie będziemy się roztkliwiać, a myślami powędrujemy do rodzinnych domów i Wi-

gilię urządzimy wspólnie. Zgromadziłyśmy nasze racje obiadowe, które składały się z łyżki kaszy okraszonej kroplą oleju. Zostawiłyśmy także chleb, który był dla nas jakby opłatkiem. Usiadłyśmy przy stole, zaśpiewałyśmy ułożoną przeze mnie piosenkę i złożyłyśmy sobie życzenia, łamiąc się chlebem. Potem przyszedł czas na kolędy. W tym momencie czułyśmy się silne i mocne, czułyśmy, że wytrwamy, że zniesiemy trud i te wszystkie upokorzenia. Wokoło ustawiły się Rosjanki, mieszkanki baraku, podziwiały nasze kolędy i ze zdziwieniem patrzyły, że w tych warunkach możemy się czuć szczęśliwe. Kiedy rozchodziliśmy się już na swoje miejsca, do baraku wkroczyli żołnierze. U mnie przeprowadzono rewizję, w czasie której znaleziono spisana przeze mnie na kartce piosenkę. Tak jak stałam, w sukience, odprowadzono mnie do karceru. Jedna z koleżanek wyprosiła u komendanta, aby pozwolił mi ubrać się w watowaną kurtkę, którą nosiłyśmy na co dzień. Karcer był małym, zimnym pomieszczeniem, w którym nie było oświetlenia. Niska temperatura powodowała, że włosy przymarzały do ściany. W takich warunkach przesiedziałam dziesięć dni. Wizytę w karcerze przyplaciłam pobytom w szpitalu”.

W wyniku urazu doznanego w czasie pracy w lesie, Stefania Szantyr została skierowana do szpitala obozowego w Wietłosianie koło Uchty, w którym po niedługim czasie otrzymała również przydział do pracy w laboratorium. ➤

Fot. ze zbiorów Stefanii Szantyr - Powolnej



➤ U państwa Jackiewiczów; to oni podali Stefanii Szantyr pomocną dłoń tuż po jej wyjściu z obozu

„Był to ogromny obóz podzielony na kilka części. Jedna zona to była strefa robocza, gdzie znajdowały się warsztaty krawieckie, stolarskie itd. Druga zona to baraki męskie, a tuż za ogrodzeniem ulokowano dwa baraki żeńskie. Z drugiej strony prowadziło wąskie przejście do bardzo rozległej strefy szpitalnej, gdzie mieściły się różne oddziały: interna, chirurgia, stomatologia, dermatologia, psychiatria, rentgen. Personel szpitala rekrutował się z profesorów, którzy w obliczu wojny niemiecko-sowieckiej nie opuścili swoich placówek (tym samym sprzeniewierzając się w oczach władzy swojemu narodowi) oraz pacjentów. Byli też tacy, którzy zakończyli wyroki, ale zostali jako osiedleńcy. Zatem fachowość personelu stała na wysokim poziomie. Główny lekarz, zapewne z dużymi ambicjami, co jakiś czas organizował zjazdy lekarzy z Republiki Komi. Ponadto personel był nam, Polkom, bardzo przychylny”.

Są jednak i dużo trudniejsze wspomnienia z tamtego obozu.

„Aby przejść do strefy szpitalnej z baraku żeńskiego, trzeba było minąć barak męski. I właśnie pewnego razu idąc do pracy, miałam narażone okna tego baraku, a w tym czasie bandziory, bo tylko tak ich można nazwać – mieli po wiele wyroków na swoim sumieniu – grali w karty. Z nudów grali w karty o pierwszą osobę, która przejdzie koło ich okien. I to byłam ja. Dowiedziałam się o tym od lekarza stomatologa. On był Ormianinem i ci kryminaliści bardzo go cenili. Wiadomość ta bardzo szybko obiegnęła cały obóz. Lekarz główny nie bardzo wiedział, co począć, zabronił mi poruszania się po obozie poza szpitalem i zawiadomił naczelnika obozu. Ten przyznał, że niestety jest bezradny w tej sprawie. Cały świat obozowy był terroryzowany przez kryminalistów. Ale stał się naprawdę cud. Jeden z bandziorów zakochanych w siostrze oddziałowej i zarazem mojej przyjaciółce, Estonce Made Tikerpuu, obiecał, że w prezencji dla niej odegra mnie w karty. To jest niepowtarzalna historia”.

Niedługo potem Stefania Szantyr ponownie została skierowana do transportu. Tym razem do Workuty. Tam było jeszcze gorzej niż w poprzednich miejscach.

„Nie mieliśmy nazwisk, tylko numery.

Numery, które były naszyte na kurtkach, na bluzach, na czapkach. Traktowanie było okropne. Zwracano się do nas, wywołując numery. W nocy odbywały się sprawdziany. Wstawaliśmy z łóżek, oczywiście na boso, czekając na zmrożonej podłodze, aż zostanie wywołany konkretny numer. Wtedy należało głośno wypowiedzieć swoje imię, nazwisko i *otczestwo*. [...]

Szczególnie uciążliwe były rewizje. Rewizje ogólne polegały na tym, że wyganiało nas z baraku, wywracano nasze łóżka, pościelenie i sprawdzano każdy, nawet najdrobniejszy skrawek papieru. Ale gorsze były rewizje osobiste, w czasie których kazano nam się rozbierać. Bardzo despotyczne były wtedy kobiety – strażniczki, które krzyczały i poniżały nas”.

W ciągu dnia – katorżnicza praca.

„Najgorsze prace wykonywano przy budowie kolei, która miała połączyć Europę z Azją. Wożono nas na znaczną odległość, wokół tylko tundra, teren podmokły, poruszanie możliwe było jedynie po kępach trawy. Poza nimi woda, dochodząca do głębokości dwóch metrów. Nasza praca polegała na tym, że pomiędzy tymi »trawiastymi wyspami« musiałyśmy usypywać żwir, kamienie, tak aby stworzyć możliwość dojazdu dla cięższych maszyn. [...] Rozładunek jednej platformy to była norma dzienna dla dwóch osób. W tych trudnych warunkach dokuczały nam jednak najbardziej komary i meszki. Nie sprawdzały się żadne zabezpieczenia, żadna ochronna odzież. Prace przy tej budowie nazywano drogą donikąd. I w rzeczywistości nigdy ta trasa nie została ukończona”.

Zdarzało się, że więźniowie podejmowali próby przedostania się na wolność.

„Wśród kobiet chyba nie zdarzały się próby ucieczki, ale z opowiadań wiem, jak te próby wyglądały. Nawet jeśli ucieczka za druty się powiodła, zostawały do pokonania jeszcze tundra, tajga i tropiące uciekinierów psy. Karą za ucieczkę było rozstrzelanie śmiałków, a ich ciała leżały przez kilka dni przy branie głównej, ku przestrodze.

Kiedy w roku 1953 dotarła do nas wiadomość o śmierci Stalina, chciałyśmy wszystkie tańczyć z radości. Oczywiście

nie wolno nam było, bo za to groził karcer, a nawet dodatkowy wyrok. Natomiast cały personel obozowy, wszyscy chodzili bardzo smutni i zapłakani. Później wśród więźniów nie poruszało się już tego tematu. Poczuliśmy jednak, że racja chleba się zwiększyła, praca zaczęła być normowana do 12 godzin. To była odczuwalna zmiana”.

Stefania Szantyr wykazała wielką determinację w czasie pobytu w niewoli. Także tam podjęła ważne decyzje, które zadecydowały o jej przyszłym życiu.

„Był taki okres, że byłam jedyną Polką w obozie. Nie mogąc rozmawiać w ojczystym języku, wychodziłam przed barak i sama do siebie mówiłam różne wiersze. Najbardziej lubiłam utwór Or-Ota List z *Sybiru*.”

Właśnie tam, na Workucie, dałam sobie słowo honoru, że zostanę lekarzem. Pacjenci w szpitalu często umierali, brakowało leków czy wręcz nie były one dostępne. Do wysokiej śmiertelności przyczyniały się także głodowe racje żywnościowe, a pracę utrudniały głodowe obrzęki ciała. Bardzo częsty był także szkorbut, czyli tzw. cynga. Zwłaszcza w sowchozie Sedju. [...]

Któregoś dnia powiedziano mi, że moja katorga dobiega końca. Skierowano mnie do innego, męskiego obozu i umieszczono w budynku, w którym przebywali więźniowie przygotowujący do zwolnienia. Było

► Jeszcze zesłanka, już nie łagierniczka: praca w laboratorium w Workucie



nas tam kilkanaście kobiet. Kiedy przebywający w obozie kryminaliści dowiedzieli się o naszej obecności, zaczęli niszczyć płot okalający budynek, a potem dach. Przechwalali się przy tym, co z nami zrobią, kiedy wedrą się już do środka. Sytuację uratował oddział wojska, który przybył na miejsce i pod groźbą użycia broni zmusił bandytów do odstąpienia”.

W obozie tym przedstawiono Stefanii Szantyr do podpisu dokument stwierdzający, że po opuszczeniu obozu będzie mieszkanką Workuty i obywatelką ZSRR. Nie uzyskawszy jej akceptacji, zagrożono, że w ogóle może nie opuścić obozu. Po tygodniu przedstawiono jej inny dokument, tym razem tymczasowego pobytu w Workucie.

„Wysłałam wreszcie na upragnioną wolność. Nie byłam już więźniarką, ale byłam zesłanką. Wraz z moją przyjaciółką, Janką Zubą, zamieszkałyśmy u polskiej rodziny. Po krótkim czasie otrzymałam posadę w laboratorium na terenie osiemnastej kopalni. Z pomocą państwa Jackiewiczów znalazłam mały pokój, szerokości tapczanu, i tam zamieszkałam wspólnie z trzema koleżankami. Ten mały i ciasny pokój w rzeczywistości był kochanym przez nas miejscem”.

Zesłani Polacy starali się utrzymywać ze sobą kontakt, wspierali się w trudnych chwilach. Często miejscem spotkań, w czasie których m.in. wspólnie śpiewano patriotyczne pieśni, były mieszkania państwa Weberów i Jackiewiczów.

„Kiedy [po jednym z takich spotkań] wróciłam do mojego małego pokoiku, znalazłam wezwanie do biura NKGB w sprawie powrotu do Polski”.

Wezwanie to było wynikiem kilku wizyt Stefanii Szantyr we wspomnianym biurze. Droga powrotu nie była jednak prosta. Warunkiem koniecznym była informacja od rodziny w Polsce, która zgodziłaby się przyjąć na swoje utrzymanie repatriantkę.

„[Mój kolega] Olek Zarzycki miał już w tym czasie kontakt ze swoją rodziną w kraju. Zawiadomiona o sprawie matka Olka dała ogłoszenie w prasie, poszukując kontaktu z rodziną Szantyrów. Właśnie w taki sposób moja mama dowiedziała się,

Fot. ze zbiorów Stefanii Szantyr-Powolnej



► U państwa Weberów: kawałek Polski na zesłaniu

co się ze mną dzieje. Muszę tu wspomnieć, że próbowała odnaleźć mnie już wcześniej i za pośrednictwem Czerwonego Krzyża otrzymała informację, że umarłam w obozie. Jednak mama nigdy w to nie wierzyła”.

Po nawiązaniu kontaktu rozpoczęły się starania o wydanie pozwolenia na powrót. Odpowiednie dokumenty należało odebrać w mieście Syktywkar. Po załatwieniu formalności i wszystkich niezbędnych przygotowaniach nadszedł dzień powrotu.

„Z każdym, kto wyjeżdżał, żegnaliśmy się zawsze z łezką. Ja pożegnałam się, z kim tylko mogłam. Dostałam mnóstwo adresów w Polsce z prośbą, aby przekazać wiadomości rodzinom. Pożegnania były bardzo, bardzo wzruszające. W Moskwie wsiedliśmy [z innymi zesłańcami] do pociągu, który miał jechać przez Terespol. Kiedy zobaczyłam białe-czerwone słupy graniczne zaczęłam płakać. Nigdy, przez jedenaście lat pobytu w tych moich »uniwersytetach«, nie było u mnie łez. Do tej pory. W Warszawie zawiadomiłam o powrocie moją mamę, umówiliśmy się na spotkanie na dworcu w Tczewie. Kiedy tam dotarłam, peron był zupełnie pusty. Jedyne z oddali szła ku mnie jakaś kompletnie siwa staruszka, moja mama. Nie poznała mnie. Kiedy byłyśmy od siebie w odległości kilku kroków zawołałam »Mamusiul!« i wtuliłam się w jej rozpostarte ramiona”.

Ojciec umarł rok po aresztowaniu córki. Po powrocie do kraju Stefania Szantyr

przeniosła się do Gdańska i tam dzięki pomocy wielu życzliwych osób znalazła pracę w laboratorium. W 1956 roku została przyjęta na studia w Akademii Medycznej, które następnie ukończyła z celującymi wynikami. Bez problemu nawiązała kontakt ze znacznie młodszymi kolegami i koleżankami, spotkała również kilku wykładowców poznanych jeszcze w czasach wileńskiej konspiracji. Na ostatnim roku studiów poznała swojego przyszłego męża, z którym wzięła ślub w 1959 roku. Mieli troje dzieci.

„Kiedy spoglądam wstecz, myślę, że całe moje życie było ogromnie ciekawe. Spotkałam wielu interesujących i serdecznych ludzi. Dobrze to było widać w obozie, ponieważ tam charakter człowieka był obnażony. W konspiracji natomiast wspaniała była wspólna praca pod egidą tych samych wartości: Bóg, Honor i Ojczyzna. O tym zawsze trzeba mówić, to są wartości niezwykle, to są podstawy i to te wartości pozwoliły się nie załamać, przetrwać, chociaż wielu zginęło na tej drodze. Niestety. Te wysiłki trzeba uchronić od zapomnienia. I należy się cieszyć tym, co mamy – wolną i niepodległą ojczyzną”.

oprac. Piotr Wiejak

Stefania Szantyr-Powolna

Sygnatura: N-0760/2014

Czas nagrania: 3 godziny

Archiwum Historii Mówionej BEP IPN,
Rafał Pękała, Tomasz Piotrowski,
Piotr Wiejak

› Ciotka „Ringa”:
wielka rola
Krystyny Feldman

Yesterday

Jerzy Eisler

Wszyscy, którzy znają mnie bliżej, wiedzą, że obchodzę urodziny w czerwcu. Wiedzą także, że od ponad pół wieku jestem zafascynowany historią i – przede wszystkim – muzyką zespołu The Beatles. Kiedyś (w latach sześćdziesiątych) nagrywałem ich piosenki na taśmę magnetofonową, z czasem nie bez wyrzeczeń, zbierałem ich płyty, a od ponad dwudziestu lat kolekcjonuję rozmaite „beatlesowskie rarytasy” na płytach kompaktowych. Mam też w swoich zbiorach kilkanaście albumów fotograficznych i książek na ich temat. Z okazji urodzin postanowiłem więc sam zrobić sobie prezent i napisać o tym spośród polskich filmów, który bez wątpienia w największym stopniu nasycony jest ich muzyką i nawiązuje do historii czterech chłopców z Liverpoolu.

Myślę oczywiście o obrazie *Yesterday*, fabularnym debiucie Radosława Piwowarskiego. Premiera tego filmu, którego angielski tytuł – za zgodą autora – został zapożyczony od wielkiego przeboju Paula McCartneya i The Beatles, odbyła się 10 czerwca 1985 roku. Trudno orzec, czy było to życzenie twórcy tego obrazu (Piwowarski był także scenarzystą), czy też czysty przypadek, ale premiera filmu niemal co do dnia zbiegła się z dwudziestą rocznicą nagrania *Yesterday* przez The Beatles. Niemniej w żadnym razie nie jest to film opowiadający o zespole, chociaż niewątpliwie przesycony jego muzyką, a artyści dwukrotnie się pojawiają w kronikach filmowych oglądanych przez bohaterów.

Raz jest to materiał ukazujący „beatlemanię”, występy „Fab Four” w Holandii, m.in. na Festiwalu Heinekena, czemu w tle towarzyszy *I saw her standing there*. W drugim przypadku pojawia się pewna formalna i prawna niezręczność. Mianowicie w tle kroniki filmowej, prezentującej w październiku 1965 roku wizytę beatlesów w Pałacu Buckingham, gdzie – na wniosek premiera Harolda Wilsona – zostali odznaczeni przez królową Elżbietę II Orderem Imperium Brytyjskiego, można usłyszeć *Rock and Roll Music*. Problem polega na tym, że w napisach podano, iż kompozytorami wykorzystanych w filmie piosenek

The Beatles są John Lennon i Paul McCartney, gdy tymczasem tę napisał Chuck Berry. Poza już wymienionymi utworami w trakcie oglądania filmu możemy posłuchać jeszcze *And I love her* oraz *Love me do*. Ta ostatnia zresztą w końcowej scenie wykonywana jest także po polsku. Na zakończenie tych uwag wstępnych należy przypomnieć, że konsultantem filmu do spraw muzyki zespołu The Beatles był dziennikarz muzyczny Piotr Metz.

Oprychówki i Bambino

Wspomniałem już, że mimo wszystko nie jest to film o beatlesach. Opowiada on historię czterech uczniów technikum w prowincjonalnym mieście, gdzieś daleko od Liverpoolu, zafascynowanych muzyką beatlesów i ich stylem bycia. Chłopcy w prząsnej gomułkowskiej Polsce dokonywali naprawdę nie lada wyczynów, aby choć trochę się upodobnić do swoich idoli. Przede wszystkim starali się nosić beatlesowskie fryzury, w czym zgodnie przeszkadzali im rodzice i nauczyciele, ubierać się tak, jak nosili się ich idole (na co dzień ciemne marynarki, czapki przypominające robotnicze kaszkiety, tzw. oprychówki) i przede wszystkim legendarne beatlesowy – skórzane buty z gumowym ściągaczem za kostkę, z wysokim (w oryginale 7 cm) obcasem i podwiniętym w górę ściętym czubkiem.

W każdej wolnej chwili rozmawiali o beatlesach i zachwycali się ich muzyką. Dla młodych widzów scena słuchania wydanej przecież bez przestrzegania jakichkolwiek praw autorskich i licencji trzeszczącej pocztówki dźwiękowej (zwykła pocztówka świąteczna

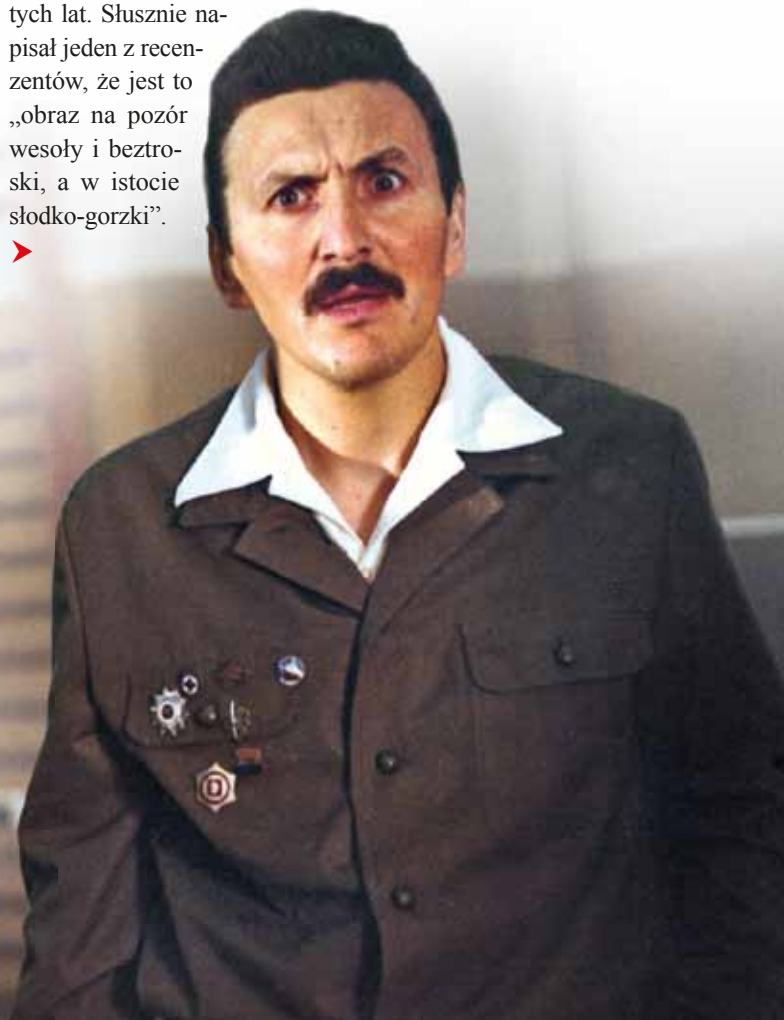
lub widokówka powleczone specjalną substancją z wytłoczoną na niej jedną piosenką, ponoć czasem z dwoma) na adapterze Bambino może być nie do końca zrozumiała, ale dla tych wszystkich, którzy chociaż raz w życiu w taki sposób, z wypiekami na twarzy – niemal potajemnie – słuchali The Beatles lub The Rolling Stones, jest to wspaniała podróż w czasie do lat własnego późnego dzieciństwa czy wczesnej młodości. Chłopcy nie tylko starali się wyglądać jak niewiele od nich starsi John Lennon, Ringo Starr, Paul McCartney czy zwłaszcza najmłodszy z czwórki George Harrison, lecz także założyli zespół, w którym grali w klasycznym składzie (trzy gitary plus perkusja), a nawet przyjęli beatlesowskie przyzwiska: „Ringo”, „John”, „George” i „Paul”.

► „Ringo” z sadystycznym nauczycielem przysposobienia obronnego, brawurowo zagranym przez Krzysztofa Majchrzaka

Film rozpoczyna sekwencja zabawy na świeżym powietrzu w polskim miasteczku pod koniec upalnych wakacji w 1964 roku. Przy realizacji tej sceny twórcy nie ustrzegli się jednak zabawnego ahistoryzmu. Otóż w pewnym momencie orkiestra na tej zabawie gra i śpiewa z polskimi słowami popularny przebój *El Cóndor Pasa*. Rzecz w tym, że orkiestra nie mogła wykonywać tej piosenki w 1964 roku, gdyż dopiero sześć lat później wylansowali i spopularyzowali ją Paul Simon i Art Garfunkel. Ten pierwszy napisał nowe, angielskie słowa do starej peruwiańskiej melodii, pochodzącej jeszcze z 1913 roku. Jest to zresztą najprawdopodobniej najslawniejsza peruwiańska melodia i nic dziwnego, że w latach dziewięćdziesiątych została wpisana w Limie na listę narodowego dziedzictwa.

Opresyjna szkoła

Niemal cała akcja filmu rozgrywa się w roku szkolnym 1964/1965 i jest przede wszystkim historią pierwszych miłosnych uniesień nastolatków; niekiedy zabawnych, czasem niemal tragicznych (nieudana próba samobójcza „Ringa”, wcześniej wypadek „Johna” podczas próby zespołu – w wyniku awarii – poważnie porażonego prądem). Dzieło Piwowarskiego opowiada o tym, jak wyglądała prowincjonalna Polska doby gomułkowskiej małej stabilizacji i jak się w tym kraju żyło. Jednak w odróżnieniu od wielu filmów zrealizowanych na ten temat po zmianach ustrojowych, nie ma tutaj irytującej niekiedy, a czasem po prostu męczącej, tendencji do idealizowania tamtych lat. Słusznie napisał jeden z recenzentów, że jest to „obraz na pozór wesoły i beztrojski, a w istocie słodko-gorzki”.



Należy podkreślić, że właśnie w tym filmie zawarto jeden z najbardziej sugestywnych i zarazem prawdziwych obrazów opresyjnej szkoły z lat środkowej PRL. Pokazano ją jako miejsce, w którym niemal dorosłych ludzi poddawano dość ostrym rygorom. Kazano m.in. nosić szkolne uniformy (fartuchy dla dziewcząt, ciemne marynarki lub swetry dla chłopców) z nieodłączną tarczą na rękawie. Dzisiaj, w dobie bardzo rozbudowanej ochrony danych osobowych, zapewne niektórzy uznaliby to za naruszenie mitycznej anonimowości. Wszak po kolorze tarczy (niebieskie miały szkoły podstawowe, czerwone licea ogólnokształcące, a zielone szkoły zawodowe) i wybitym numerze szkoły można było łatwo namierzyć niegrzecznego lub niepokornego ucznia. Mogę sobie nawet wyobrazić radykałów prawiących o stygmatyzowaniu w ten sposób młodych ludzi. Niemniej nawet osoby o surowych zasadach byłyby zapewne „nieco” zdziwione metodami pedagogicznymi prezentowanymi przez nauczyciela przysposobienia obronnego, brawurowo zagranego przez Krzysztofa Majchrzaka, który przestraszonej uczennicy Ani, nakrytej przez niego wcześniej w niedwuznacznej sytuacji z „Johnem”, nakazuje robić dwadzieścia pompek.

Równie, ale jednak zupełnie inaczej, wyrazistą postacią jest dyrektor szkoły, zagrany przez Henryka Bistę. To stary nauczyciel, pedagog, któremu kiedyś najpewniej o coś istotnego chodziło, ale którego tryby historii (wojna, okupacja, stalinizm) przerobiły i na swój sposób ubezwłasnowolniły. W wyrazistym epizodzie pojawia się Zdzisław Kuźniar, jako odrzucany przez syna („Johna”) lokalny komunistyczny aparatczyk. Jak niemal zawsze, wielką kreację stworzyła Krystyna Feldman – długo niedoceniana, a wręcz niemal niedostrzegana przez kino – która tym razem wcieliła się w tragikomiczną postać ciotki „Ringa”.

► Młodzi mieszkańcy gomułkowskiej prowincji marzyli, żeby być jak beatles: „George” (Waldemar Ignaczak), „Paul” (Robert Piechota), „John” (Andrzej Zieliński) i „Ringo” (Piotr Siwkiewicz)

Ciekawe, że choć rola „beatlesa” w takim filmie stwarzała wielkie możliwości młodym aktorom, to w końcu żaden z odtworzących te role artystów nie zrobił zawrotnej kariery. Dziś najbardziej znany, i to głównie za sprawą seriali telewizyjnych, jest Andrzej Zieliński. Natomiast Piotr Siwkiewicz, który miał znakomity początek kariery (jeszcze na studiach zagrał „Ringa” i za rolę tę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w San Sebastian otrzymał nagrodę, a później był nawet wyróżniony Nagrodą im. Zbigniewa Cybulskiego dla najlepszego młodego polskiego aktora) po zagraneniu w kilku filmach wyjechał z Polski do Francji. Podobnie jak wielu innym polskim aktorom, nie udało mu się jednak zrobić kariery na Zachodzie.

Bez happy endu

Sam film *Yesterday* obsypano nagrodami (między innymi: nagroda FIPRESCI na festiwalu w Wenecji, Złota Muszla w San Sebastian, Grand Prix – Złoty Tulipan – na festiwalu w Istambule, Złota Kaczka przyznawana przez tygodnik „Film” dla najlepszego filmu polskiego, nagrody dla Witolda Adamka za zdjęcia oraz dla Radosława Piwowarskiego za reżyserię na festiwalu w Gdańsku). Piwowarski otrzymał także nagrodę Ministra Kultury i Sztuki II stopnia. Do dziś wielu ludzi uważa, że jest to najlepszy obraz w całym jego dorobku artystycznym. Niestety, dość trudno się o tym przekonać, ponieważ dzieło to jest raczej rzadko prezentowane w telewizji.

Gdy 10 lutego 2015 roku, w ramach XIV edycji Przeglądu Filmowego „Kino w PRL – PRL w kinie”, organizowanego wspólnie przez Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie oraz „Kinotekę” w Pałacu Kultury i Nauki, wygłaszałem prelekcję przed pokazem *Yesterday*, powiedziałem, że bardzo lubię ten film, lecz... bez ostatnich trzech minut. Oto bowiem widzimy (ucharakteryzowanych na ludzi starszych o dwadzieścia lat) Anię i „Ringa” czekających na korytarzu sądowym na swoją sprawę rozwodową. Towarzyszy im nastoletnia córka; oni nie odzywają się do siebie, a przecież przed chwilą widzieliśmy ich przytulonych w tańcu przy dźwiękach *Love me do*. Muzyka The Beatles przed laty ich połączyła, ale nie była w stanie – za nich – utrzymać ich małżeństwa. Po seansie do organizującego pokazy Sławomira Stepnia i do mnie podszedł młody człowiek i powiedział coś w rodzaju: „To jest naprawdę dobry film”. I ja tak myślę, ale jeszcze lepsza jest nieśmiertelna muzyka The Beatles...

Wszystkiego najlepszego, Jurku! 🍷

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(ly) w PRL* (2008), *Siedmiu „wspaniałych”. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

Fot. MWiP



► Powstańcy III baonu rezerwowego po wycofaniu z frontu w czerwcu 1921 roku, Pszów; doskonale widoczna mozaika wzorów – karabiny Mannlicher wz. 1895, Mauser wz. 1898 i wz. 1888; na dole widoczny niemiecki granatnik wz. 1916



Arsenał III powstania śląskiego

Michał Mackiewicz

Mimo niemałych wysiłków zmierzających do ustalenia jednolitej struktury, armia powstańcza na Śląsku pozostała formacją nieregularną, w znacznym stopniu improwizowaną. Brak możliwości korzystania z bieżącej produkcji zbrojeniowej oraz zdecentralizowany system zaopatrzenia skutkowało olbrzymią mozaiką typów i rodzajów uzbrojenia.

Ocenia się, że w przededniu I powstania śląskiego Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska dysponowała blisko 4 tys. karabinów i karabinków. Tuż przed wybuchem III powstania stan ten zwiększył się wielokrotnie, na co miało wpływ zaangażowanie strony polskiej i samodzielnie podejmowane akcje zaopatrzeniowe przez ochotników z zagranicy. Nie można jednak podać dokładnej liczby zgromadzonej broni; było to 25–30 tys. karabinów. Niejasno przedstawia się też kwestia pochodzenia tego uzbrojenia, tzn. kiedy i ile sprzętu dostarczono z magazynów Związku Przyjaciół Górnego Śląska (ZPGŚ), a ile udało się pozyskać bezpośrednio w terenie przez Dowództwo Obrony Plebiscytu. Zasoby magazynowe oce-

nia się na 10–30 tys. Te dane świadczyłyby o tym, że w chwili wybuchu walk w maju 1921 roku powstańcza piechota była dość dobrze uzbrojona. Z ogólnej liczby blisko 40 tys. żołnierzy oddziały bojowe stanowiły przecież jedynie pewną ich część. W początkowej fazie walk nie mało broni zdobywano ponadto na Niemczech.

Mausery, mannlichery i mosiny

Gros karabinów stanowiły wzory niemieckie. Jest to oczywiście zupełnie zrozumiałe, biorąc pod uwagę obszar, na którym toczyły się walki i źródła pozyskiwania bojowego rynsztunku. Część mogła stanowić własność Ślązaków – byłych żołnierzy armii niemieckiej, którzy, wróciwszy z frontu, skorzystali z powojennej zawieruchy

► Oddział bojowy powstańców z Kosztów na pozycji (Grupa Północna); w środku niemiecki maxim wz. 08, pozostałe cekaemy to austriackie Schwarzlose wz. 07/12

i po prostu broni nie zdali. Znaczny procent stanowiły karabiny kupione na czarnym rynku, przejęte z magazynów, wreszcie zdobyte już w trakcie walki. Spośród nich używano przede wszystkim mauserów wz. 1898 (Gewehr 98) kal. 7,92 mm, czyli standardowego oręża piechura niemieckiego z okresu I wojny światowej. Poza nim występował także karabin wz. 1888 (Gewehr 88), poprzedni regulaminowy karabin niemiecki, używany w okresie 1914–1918 przed drugorzutowe i tyłowe jednostki (m.in. Landwerę i Landsturm). Na uzbrojeniu znalazły się oczywiście także skrócone wersje obu wzorów, czyli karabinki wz. 98AZ i wz. 88.

Poza konstrukcjami niemieckimi spotykane są także inne, przy czym wydaje się, że najliczniej reprezentowane są karabiny austriackie systemu Mannlichera – wzory 1890 i 1895 kal. 8 mm – ten drugi stanowił podstawową broń piechoty austro-węgierskiej w latach 1914–1918. W przypadku tej broni możemy domniemywać, że jej zdecydowana większość pochodziła z polskich zasobów. To przypuszczenie jest uzasadnione, ponieważ za podstawę uzbro-



Fot. MWPP

► Grupa powstańców pow. pszczyńskiego „Pszczynscy Strzelcy” – kompania karabinów maszynowych; po lewej niemiecki maxim wz. 08, w dolnym prawym rogu angielski elkaem Lewis wz. 1915

jenia strzeleckiego w Wojsku Polskim uznano karabiny francuskie i niemieckie. Łatwiej wobec tego przyszło się pozbyć broni niestandardowej, którą w perspektywie miano zupełnie wycofać z uzbrojenia.

Nie zabrakło mosinów wz. 1891 kal. 7,92 mm, uwiecznionych na archiwalnych fotografiach. Stanowiły podstawowe uzbrojenie strzeleckie rosyjskiej piechoty i w trakcie I wojny światowej. Wielka ich liczba została zdobyta przez Austriaków i Niemców, przy czym w obu przypadkach dokonywano przekalibrowania do własnej amunicji (8 i 7,92 mm). Można przyjąć, że część z karabinów Mosina, które mieli powstańcy, była po przeróbkach i w innym kalibrze aniżeli standardowe rosyjskie trzy linie (czyli 7,62 mm). Może na to wskazywać m.in. inne mocowanie pasa

nośnego (klasyczne strzemiączka zamiast rzemienia przechodzącego przez szczeliny w łożu i kolbie), widoczne na niektórych zdjęciach.

Fotografie przedstawiające powstańców oddziały z 1921 roku potwierdzają również użycie karabinów włoskich (Carcano wz. 1891 kal. 6,5 mm) i francuskich (Berthier wz. 1915 kal. 8 mm). Było kilka możliwości pozyskania tej broni. Pierwszą okazję stwarzały oddziały rozjemcze stacjonujące na Śląsku. Zwłaszcza Włosi, którzy zaangażowali się w wydarzenia na Śląsku i stoczyli z powstańcami krwawe walki, mogli być źródłem pozyskania tej broni. Nie można też wykluczyć zakupów czy zwykłej kradzieży, wreszcie przejęcia z magazynów, w których Niemcy przechowywali zdobycz wojenną. Ostatnią ewentualnością były dostawy z Polski. Tak czy inaczej należy założyć, że broń francuską i włoską wykorzystywano incydentalnie.

► Uroczystość poświęcenia wąskotorowego pociągu pancernego „Kabciz” (front gliwicki); na pierwszym planie dwuosiowa opancerzona węglarka ze strzelnicami dla karabinów maszynowych, dalej opancerzony parowóz



Fot. MWPP

Maximy, lewisy i działa Uchatiusa

Jeśli chodzi o broń zespołową, ocenia się, że potencjał bojowy sięgał ponad 600 ciężkich i lekkich karabinów maszynowych, jednakże *gros* znajdowało się w magazynach ZPGŚ. Na podstawie informacji o stanie z połowy maja należy sądzić, że większość tej broni dostarczona na obszar plebiscytowy. Przeważały zdecydowanie niemieckie cekaemy Maxim wz. 08 i elkaemy wz. 08/15. W użyciu były również austriackie cekaemy Schwarzlose wz. 07/12, które dostarczono powstańcom zapewne z Polski. Incydentalnie używano karabinów angielskich (elkaem Lewis wz. 1915 kal. 7,7 mm) oraz francuskich (erkaem Chauchat wz. 1915 i cekaem Hotchkiss wz. 1914, oba na amunicję 8 mm).

Działa nie odegrały większej roli, głównie z powodu ich małej liczby. Oczywiście, o ich użyciu można mówić w zasadzie tylko w odniesieniu do 1921 roku. W chwili wybuchu walk strona polska mogła dysponować najwyżej kilkoma lekkimi armatami, które pozostawały w gestii Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych i były używane stosownie do sytuacji na danym odcinku, zwłaszcza do niszczenia wykrytych stanowisk ogniowych nieprzyjaciela. Liczba dział zwiększyła się w połowie maja dzięki dostawom z Polski. Pod koniec czerwca wojsko powstańcze dysponowało przeszło sześćdziesięcioma lekkimi działami połowymi różnych wzorów. Wśród sprzętu przekazanego z Polski znalazły się m.in. szybkostrzelne rosyjskie i austriackie armaty połowe, których używano zarówno w pociągach pancernych, jak i w polu: wz. 1902 kal. 76,2 mm oraz wz. 1905/08 kal. 76,5 mm.

Poza nowoczesnymi konstrukcjami w powstańczym arsenale znalazły się także przestarzałe austriackie armaty połowe wz. 1875/96 kal. 90 mm (zwane niekiedy działami Uchatiusa – inżyniera, który opracował specjalny stop brązu do produkcji luf, o łożach sprężystych (tzn. bez oporopowrotników), niewielkiej szybkostrzelności i donośności. Wcześniej armaty te znajdowały się na uzbrojeniu Legionów Polskich, a w 1919 roku na stanie WP było

Fot. MWP



► Improwizowany samochód pancerny „Korfanty” uzbrojony w cekaemy wz. 08, wraz załogą (w jasnej koszuli dowódca – por. Robert Oszek)

ich 140 (w roku następnym nie są odnotowywane). Ich przydatność na ówczesnym polu walki była znikoma. Z innych armat, których użycie potwierdzają zdjęcia, należy wymienić francuskie armaty górskie wz. 1906 kal. 65 mm i włoskie „siedemdziesiątki piątki” wz. 1906. Te ostatnie zostały zaprojektowane na włoskie zamówienie w zakładach Kruppa na początku XIX wieku. Ponad sto sztuk trafiło w drodze zakupów do Polski w 1919 roku, a dwa lata później niewielką liczbę egzemplarzy dostarczono na Śląsk.

Improwizowane pociągi i samochody pancerne

Dobrze rozbudowane zaplecze techniczne oraz rozwinięta sieć dróg i kolei sprawiały, że Górną Śląsk doskonale się nadawał do użycia broni pancernej, pociągów pancernych przede wszystkim. W większości uzbrojenie było improwizowane, tworzone *ad hoc* już podczas trwania walk. W odniesieniu do pociągów pancernych nale-

ży podkreślić duży wkład strony polskiej, zarówno jeśli chodzi o doświadczoną kadrę, jak i sam sprzęt. Głównymi zakładami, w których budowano, czy też przystosowywano do warunków bojowych „pancerki”, były warsztaty w Zawadzkiem i w Szopienicach. W trakcie III powstania polscy Ślązacy wykorzystali w walce nieustaloną dokładnie liczbę pociągów pancernych i drezyn opancerzonych. Z nazw znanych jest szesnaście, ale mogło ich być około dwudziestu, przy czym nie działały one na froncie jednocześnie, a niektóre w ogóle nie wzięły udziału w walce. Zachowało się co najmniej kilkanaście fotografii ukazujących pociągi pancerne powstańców śląskich, w tym „Kabcza”, „Ludyge”, „Nowaka”, „Piasta”, „Pierona”, „Testarta” i „Ślązaka”. Do ich uzbrojenia wykorzystano m.in. wspomniane francuskie armaty górskie kal. 65 mm.

Dość efektywnym orężem okazały się także samochody pancerne, które dowództwo wykorzystywało na najbar-

ziej newralgicznych odcinkach frontu. Były to improwizowane pojazdy uzbrojone w karabiny maszynowe, budowane z podwozi ciężarówek. Wyjątkiem był Erhardt wz. 1917 – niemiecki samochód pancerny produkowany seryjnie (w sumie powstało kilkadziesiąt egzemplarzy) pod koniec pierwszej wojny światowej w zakładach Heinrich Erhardt Automobilwerke AG w Zella-Mehlis. Pojazd został zdobyty przez powstańców wielkopolskich w 1919 roku, a w 1921 trafił wraz z załogą na Górną Śląsk. Jego dowódcą był ochotnik z Alzacji, dlatego też wóz ochrzczono nazwą „Górną Śląsk-Alzacja”. Bez wątpienia najśłynniejszym pojazdem powstańczym był „Korfanty”. Zbudowany w Sosnowcu i obsadzony załogą złożoną z polskich marynarzy ochotników (dowódcą całej zmotoryzowanej grupy – pancernka plus samochody ciężarowe – był porucznik marynarki Robert Oszek) wydatnie wspomagał powstańczą piechotę na różnych odcinkach, także podczas zmagania o Górę św. Anny. Opancerzenie stanowiły stalowe blachy sporządzone w hucie „Katarzyna”, a uzbrojeniem były niemieckie maximy, cztery lub pięć sztuk. Na obu burtach znajdowała się wymalowana białą farbą nazwa własna, a z przodu i z tyłu umieszczono trupa czaszkę nad skrzyżowanymi piszczelami.

Wspomnieć należy też o granatach ręcznych i granatnikach. Ze źródeł pisanych wynika, że oba te środki walki wykorzystywano masowo, na dodatek w odniesieniu do tych pierwszych mamy do czynienia z mozaiką wzorów (francuskie, austriackie, niemieckie), chociaż dokumentacja zdjęciowa potwierdza jedynie wykorzystywanie niemieckich zaczepnych granatów trzonkowych wz. 17. W przypadku granatników możemy mówić tylko o niemieckich wz. 16. Była to broń bezłufowa, stromotorowa, miotająca pociski o masie 1,85 kg na odległość maksymalną do 300 m. ■

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojennej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

► Francuskie armaty górskie wz. 1906 kal. 65 mm; uzbrojenie strzeleckie artylerzystów stanowią karabinki wz. 98



Fot. MWP

Orły kawalerii II Brygady Legionów Polskich

Tomasz Zawistowski

13 czerwca przypada setna rocznica najslawniejszej w XX stuleciu szarzy polskiej kawalerii. Wzięli w niej udział kawalerzyści II Brygady Legionów Polskich, weterani kampanii karpackiej. Ich oddział powstał zaledwie dziesięć miesięcy wcześniej, a data upamiętniająca to wydarzenie została umieszczona na tarczach amazonek orła z wysokich, ulańskich czapek.

Pierwszym wojskowym nakryciem głowy, typowym dla kawalerii II Brygady, były wysokie, jasnooliwkowej barwy czapki „Sokoła” konnego, w których przybyła do oddziału znaczna liczba ochotników. Początkowo były one ozdobione emblematami organizacyjnymi w kształcie krzyży kawalerskich. Aby ujednoczyć wygląd zróżnicowanych nakryć głowy, uszyto wysokie czapki z sukna austriackiego barwy ochronnej, wzorowane na wcześniejszych, sokolskich. Na obu typach czapek umieszczono dwuczęściowe orły oryginalnego projektu.

Zaprojektowane jesienią 1914 roku i produkowane w Wiedniu, były pierwszymi legionowymi godłami przedstawiającymi ukoronowanego orła siedzącego na tarczy amazonek. Na ich wzór korony ozdobiły głowy orłów „beliniackich” z 1915 roku, a z przyczyn oczywistych były też na głowach orłów bitych z dziewiętnastowiecznej tzw. matrycy Jamuszkiewicza. Później, aż do połowy 1916 roku, nie było więcej orłów w koronach.

W rysunku orłów kawalerii II Brygady występują elementy oryginalne



► Orzeł z czapki ulańskiej kawalerii II Brygady Legionów Polskich, Wiedeń, 1914 rok

i w historii polskiego orła ani wcześniej, ani później niespotykane. Na tarczy amazonek została umieszczona data powstania oddziału, rozdzielona rzymską cyfrą „I”, dolną zaś krawędź tarczy ozdobiono girlandą z liści dębu i wawrzynu. Godła były dwuczęściowe i dwubarwne: sam orzeł matowo posrebrzony, tarcza amazonek zaś – posrebrzona i oksydowana.

Obecność cyfry „I” była spowodowana rywalizacją o pierwszeństwo w numeracji, trwającą między oddziałami kawalerii dwóch brygad legionowych aż do roku 1916, kiedy to ostatecznie ustalono numerację pułków. Spory trwały długo, jeszcze w marcu 1916 roku ułan Karol Koźmiński z 1. Pułku Ułanów (którego zwyczajowa, wcześniej już używana nazwa i numer były oficjalnie zatwier-

Fot. ze zbiorów autora

dzione od stycznia 1916 roku przez Komendę Legionów) wspominał moment prezentacji ułanów arcyksięciu Fryderykowi, naczelnemu wodzowi armii austro-węgierskiej: „Przedstawił nas Puchalski [gen. Stanisław Puchalski, dowódca LP], przyczem krótko zdecydował, że jesteśmy »pierwszym pułkiem ułanów«, podczas gdy stojący za nami ułani Ostoi [rtm. Juliusz Ostoja-Zagórski to dowódca ówczesnego Pułku Kawalerii II Brygady] są »pułkiem drugim«”.

Wysokie czapki dość szybko zostały uznane za niepraktyczne i odesłano je z frontu na tyły. Były wykorzystywane jedynie na zapleczu, przez oficerów kawalerii pełniących służbę przy sztabie. W polu ułani używali początkowo austriackich furazerek z małymi orłami lub bez nich, a w okresie walk na Wołyniu coraz większą popularność zaczęły zyskiwać maciejówki, ostatecznie wprowadzone jako obowiązujące nakrycie głowy od lipca 1916 roku. W chwili wkroczenia pułku do Warszawy, czyli 1 grudnia 1916 roku, nosili je już wszyscy ułani.

Wysokie czapki noszono sporadycznie, w uroczystych chwilach. Podporucznik (późniejszy generał Wojska Polskiego) Stanisław Rostworowski wspominał, że podczas rezurekcji w Kołomyi, w roku 1915, ułani 3. szwadronu w wysokich czapkach tworzyli szpaler. Dwa i pół miesiąca później, 15 czerwca 1915 roku, podczas pogrzebu poległych w szarży pod Rokitną, wysoka czapka z orłem stała na okrytej biało-czerwoną flagą trumnie rtm. Zbigniewa Dunin-Wąsowicza, dowódcy 2. szwadronu. Taka sama czapka stanowiła element dekoracji katafalku podczas mszy za poległych pod Rokitną, odprawionej w Piotrkowie 3 lipca tegoż roku.

Nowa Somosierra

W kwietniu 1915 roku, po trwającej pół roku kampanii w Karpatach, oddziały składające się na II Brygadę Legionów Polskich zostały wycofane z frontu na odpoczynek i reorganizację do Kołomyi. Po miesięcznej przerwie trafiły na front bukowiński, gdzie początkowo toczyły walki pozycyjne, a następnie wycofały



Fot. ze zbiorów autora

► Ułan II Brygady w wysokiej czapce z orłem

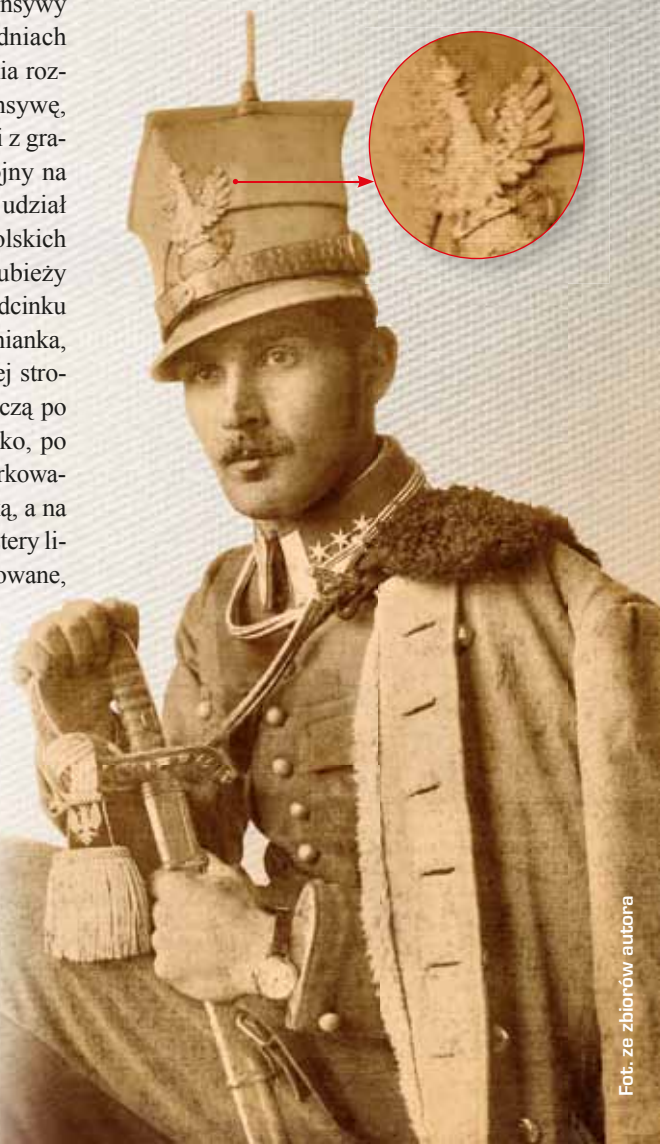
się nieznacznie pod naporem ofensywy moskiewskiej. W pierwszych dniach czerwca cesarsko-królewska armia rozpoczęła znad Prutu własną ofensywę, zmierzającą do wyparcia Moskali z granic cesarstwa i przeniesienia wojny na teren imperium carów. Biorące udział w ofensywie pułki Legionów Polskich dotarły do silnie umocnionej rubieży granicznej 11 czerwca. Na ich odcinku granicę wyznaczała rzeka Rokitnianka, z dwiema wioskami po dwóch jej stronach: oddaloną od brzegu Rarańczą po zachodniej i Rokitną naprzeciwko, po wschodniej, tuż nad rzeczką. Pagórkowaty teren silnie wznosił się za rzeką, a na stokach wzgórz znajdowały się cztery linie okopów. Były dobrze przygotowane, głęboko wkopane, przykryte, zabezpieczone drutem kolczastym i zawczasu obliczonym ogniem ustawionej za nimi artylerii.

Pierwszy atak, dokonany 12 czerwca przez 2. i 3. Pułk Piechoty Legionów, zatrzymał się na zachodnim skraju wsi Rokitna z powodu ognia wrogiej artylerii i karabinów maszynowych.

► Wachmistrz Gustaw Zaleski z 2. Pułku Ułanów LP, 1917 rok

Równoczesne natarcie lewoskrzydłowe, prowadzone przez austriacką 42. Dywizję Piechoty, także utknęło w miejscu.

Jedynym dostępnym w tym momencie odwozem Żelaznej Brygady był II Dywizjon Ułanów, dowodzony przez rotmistrza Dunin-Wąsowicza. 13 czerwca, o 12.30, dowódca dywizjonu wezwał do siebie przez gońca szefa sztabu II Brygady, kpt. Árpád Vágás. W słoneczny, ciepły dzień podkomendni rotmistrza oczekujący rozkazów na polu niebiesko kwitnącej lucerny obserwowali sylwetki obu oficerów stojących na wzgórzu. Gestykulacja szefa sztabu była aż nadto czytelna, ułani bez rozkazu zaczęli podciągać popręgi pasącym się dotąd koniom. Rotmistrz wrócił do oddziału poirytowany, rozkazał: „Na koń!”



Fot. ze zbiorów autora



Fot. NAC

► Weterani 2. Pułku Ułanów LP w mundurach historycznych podczas XIII Zjazdu Legionistów w Krakowie, sierpień 1935 roku

Rotmistrz Dunin-Wąsowicz otrzymał rozkaz przekroczenia Rokitnianki i zaatakowania od frontu okopów rosyjskich. W ślad za nim miała ruszyć piechota, której zadaniem było oczyszczenie i utrzymanie umocnień zdobytych przez ułanów. Dywizjon ruszył kolumną czwórkową i dotarł do rzeczki, idąc kłusem wzdłuż świeżo wykopanych okopów austriackiej piechoty. Na bagnistym brzegu Rokitnianki dowódca, widząc wahanie niektórych swoich podkomendnych, miał zawołać, że „dla polskiej kawalerii nie ma przeszkód”. Za rzeczka dywizjon skręcił w prawo. Na wprost było widać faliste błonia, a na nich trzy wiatraki. Między nimi okopali się Moskale.

Rotmistrz musiał sobie zdawać sprawę z ryzyka, które niesło ze sobą wykonanie rozkazu. Sam odważny do szaleństwa, dbał niebywale o życie podkomendnych. Już w drodze na podstawę wyjściową szarży rozesłał dziewięciu ludzi na patrole w odśloniętym kierunku północnym – jeden po zachodniej, drugi już po wschodniej stronie Rokitnianki. Jego ostatni rozkaz brzmiał: „3 szwadron w re-

zerwę pod wieś! 2 szwadron: – Dobądź broń – tyraliera co trzy kroki za mną – galop!”. Mierząc w tym momencie siły na zamiary, zakładał zapewne, że zadanie jest wykonalne połową sił w dyspozycji, a pozostawienie 3. szwadronu w rezerwie, bez zamiaru użycia go w walce, pozwoli na ograniczenie strat. Jak się okazało trzynaście minut później – miał rację.

64 ułanów rozpoczęło szarżę od wysokości okopów własnej piechoty. Pierwszą, słabo obsadzoną bądź w ogóle pustą (relacje różnią się w tej kwestii) linię okopów przekroczone z minimalnymi stratami. Cena wzięcia kolejnych linii była już dużo wyższa. Początkowo Moskale, zaskoczeni niespodziewanym atakiem, masowo się poddawali. Fatalny w tym momencie brak piechoty własnej, która pozostała na stanowiskach, sprawił, że zorientowawszy się w sytuacji – chwyтали ponownie za rzuconą przed chwilą broń.

Walka na trzeciej, najsilniej umocnionej i obsadzonej linii przyniosła ciężkie straty. Ułanów ostrzeliwała broń maszynowa z czwartej, najdłuższej linii, obudziła się z opóźnieniem wroga artyleria. Baterie austriackie, nie poinformowane o szarży, a mające rozkaz wspierania ataku piechoty, dodały też niemało od siebie. Ze wszystkich stron strzelali ci Moskale, którzy jeszcze przed chwilą wołali „Zdajomsia!”. Przed czwartą linią padła Chochla – koń rotmistrza Dunin-Wąsowicza. Potłuczony oficer zerwał się, machnął ręką na chcących go ratować podkomendnych i pobiegł wzdłuż okopu, strzelając do wychylających się Moskali. Zginął tuż przed czwartą linią, postrzelony w bok. Za czwartą linią w siodłach pozostało ledwo sześciu ułanów, zbyt mało, by kontynuować atak na oddaloną wroga artylerię. Szarża była skończona. Oca-



► Polscy ułani i pułkownik węgierskiego 13. pułku huzarów, pierwszy z prawej stoi ppor. Marcelli Śniadowski; 1914 rok



Fot. MHF

► Zbiorowa mogiła ułanów rtm. Zbigniewa Dunin-Wąsowicza na cmentarzu w Rarańczy; zdjęcie wykonane w czerwcu 1915 roku

łała szóstka pod ogniem zjechała na prawą flankę, do wsi Rokitna, by przez jej zabudowania dotrzeć do własnych linii. W tym samym czasie do punktu wyjściowego na linii polskiej piechoty wracali ci, którzy odnieśli rany bądź stracili konie na początku szarży.

15 czerwca 1915 roku odbył się w Rarańczy pogrzeb piętnastu ułanów, wśród których byli: dowódca dywizjonu, rtm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz, dowódca 2. szwadronu, por. Jerzy Topór-Kisielnicki, i oficer za frontem – ppor. Roman Włodek. Na trumnie pierwszego z nich spoczywała wysoka, ułańska czapka z orłem.

Trzynastka porucznika Topora

Podporucznik Stanisław Rostworowski wspominał wieczór 12 czerwca, spędzony przez oba szwadrony na wzgórzach między Rarańczą a Rokitną. Dowódca 2. szwadronu, por. Topór-Kisielnicki, w cywilu inżynier, był dziwnie pochmurny. Mówił: „Trzynastego sierpnia ubili mi

Fot. IPWIS

pod Kielcami konia, czegom ledwo życiem nie przypłacił, dwudziestego szóstego października cały szwadron pod Cuciłowem ledwo nie wyginął; trzynastego maja mało brakowało, by i po nas kozaki pod Strzeleckim Kątem nie przejechały – widać do trzynastki szczęścia nie mamy, ano – zobaczymy, co też nam dzień jutrzejszy nowego przyniesie”.

13 czerwca przyniósł sławną szarżę, rozpoczętą około 13.00 i trwającą trzynaście minut. Tuż za czwartym okopem gniady wałach porucznika Topora, Ocean, najwyższy koń w szwadronie, upadł śmiertelnie ranny. Porucznik, złamawszy przy upadku szablę, bronił się rewolwerem, ale *nec Hercules contra plures*, a upadł w tłum Moskali. Wielokrotnie postrzelonego, dobito bagnetami.

Po bitwie i po wojnie

W dzień po szarży okopy za Rokitnianką były puste. Moskale wycofali się, zabierając dziewięciu rannych polskich ułanów. Mimo popelnienia przez dowództwo błędów taktycznych, mimo braku odpowiedniego przygotowania i skoordynowanego wsparcia akcji 2. szwadronu przez piechotę, cel szarży został osiągnięty, bo linia frontu przesunęła się w głąb terytorium rosyjskiego.

Z czasem II Dywizjon Ułanów Legionów Polskich stał się 2. Pułkiem Szwoleżerów Rokitniańskich, a datą święta pułkowego w wolnej Polsce był oczywiście 13 czerwca. Pobojowisko Rokitny znalazło się na terytorium Rumunii (dziś jest na Ukrainie) i, choć zwłoki poległych – ekshumowane w 1923 roku – przewieziono na Cmentarz Rakowicki w Krakowie, 2. Pułk Szwoleżerów aż do roku 1939 utrzymywał braterskie stosunki z rumuńskim 11. Pułkiem Huzarów, który opiekował się grobami na cmentarzu w Rarańczy.

W okresie międzywojennym wysokie czapki z orłami stanowiły element mundurów historycznych, których używano podczas zjazdów legionistów i w trakcie innych wystąpień oficjalnych. 🇵🇱

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

„Kusy”: od Ołtarzewa do Palmir

Katarzyna Dzierzbicka

► Janusz Kusociński (stoi drugi z lewej) z kolegami z klubu „Sarmata”, 1926 rok



75 lat temu zginął z rąk Niemców Janusz Kusociński „Kusy” – jeden z najwybitniejszych polskich sportowców, złoty medalista Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles, żołnierz II batalionu 360. pułku piechoty, obrońca stolicy w 1939 roku, odznaczony Krzyżem Walecznych.

Janusz Kusociński urodził się 15 stycznia 1907 roku w Warszawie. Gdy miał pół roku, rodzice zdecydowali o przeprowadzce do Ołtarzewa pod Warszawą, gdzie ojciec Janusza – Klemens – miał gospodarstwo rolne. „Pamiętam jak przez mgłę, że jako mały bąk całe dnie spędzałem na dworze, że się wślizgiwałem do psiej budy i bawiłem ze szczeniakami. Później mi nieraz mama opowiadała, że wcześniej niż inne dzieci zacząłem chodzić i to od razu biegiem. Byłem – mówiąc otwarcie – nieznośny smarkacz” – wspominał Kusociński

w swoich zapiskach, wydanych po jego śmierci w książce *Od palanta do olimpiady*. Dom, w którym się wychowywał przyszły olimpijczyk, stał do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Dziś w tym miejscu, u zbiegu ulic Tadeusza Kościuszki i Poznańskiej, znajduje się pamiątkowa tablica. Słynny mieszkaniec Ołtarzewa ma również swój pomnik przed budynkiem pływalni w Ożarowie Mazowieckim.

Janusz został posłany do szkoły im. Nawrockiego przy ulicy Marszałkowskiej 151 w Warszawie, do której codziennie dojeżdżał z Ołtarzewa kole-

Fot. Katarzyna Dzierzbicka

► Pomnik Janusza Kusocińskiego przed pływalnią w Ożarowie Mazowieckim



ją. „Bardzo to była miła szkoła – można było podczas pauz wymykać się do Ogrodu Saskiego i organizować mecze piłki nożnej. [...] Przyznaję ze skruchą, że uczyłem się tylko wtedy, gdym przeczuwał, że będę »wyrwany« przez profesora. No i jakoś nieźle szło” – pisał Kusociński. W tym czasie Janusz odkrył swoją miłość do futbolu. „Ojciec ufał, że pobyt w szkole wpłynie zbawiennie na mój charakter, że się ustatkuję i zakocham w książkach – a tymczasem ja się zakochałem w piłce”. W 1923 roku po niezdanych egzaminach do gimnazjum, trafił do szkoły powszechnej nr 129, którą ukończył dwa lata później. „W szkole powszechnej [...] nudziłem się okropnie [...]. Bardziej mnie tutaj pilnowano aniżeli u Nawrockiego”.

Po ukończeniu szkoły ojciec zdecydował, że syn zostanie ogrodnikiem. Janusz został wysłany do Państwowej Średniej Szkoły Ogrodniczej przy ul. Wspólnej. „Pomolog – czyli państwowa szkoła średnia ogrodnicza – dawała złudzenie wolności. Mogłem jeszcze łatwiej niż poprzednio wymykać się na mecze futbolowe, nie zwracając uwagi nauczycieli”. Profesorowie strofowali go, mówiąc, że gdyby uczył się tak dobrze, jak gra w piłkę, byłby najlepszym uczniem w szkole. W 1922 roku Kusociński z kolegami założył klub sportowy „Pretoria”. „Klub ten istniał bardzo niedługo, jako że nie mieliśmy zdolności organizatorskich...”. Grywał na skwerze Berberys na pl. Starynkiewicza, w „Sparcie” i „Placówce” na terenie Cytadeli Warszawskiej. To najprawdopodobniej tam chłopcy nadali mu przydomek „Kusy”. Następnie wstąpił do nowo powstałego klubu piłkarskiego „Ożarówianka” w Ożarowie Mazowieckim. „Pierwszy mój debiut wypadł podczas meczu Ożarówianki z Józefowianką, o 6 km od Ożarowa. Przegraliśmy 8:2, ale te dwa gole były moją robotą”. Następnie na krótko przeniósł się do „Józefowianki”, a potem do Robotniczego Klubu Sportowego „Ruch”, aby ostatecznie znaleźć miejsce w Robotniczym Klubie Sportowym „Sarmata” w Warszawie.

Treningi drużyny odbywały się na obiekcie należącym do RKS „Skra”

przy ul. Okopowej 43/47 i na pl. Budla między ulicami Eustachego Tyszkiewicza i Szlenkierów. „Zamiast przyglądać się kielkującej pszenicy, wolałem grać w totka o to, czy wygra »Sarmata«, czy też »Skra«. Co mnie mogła obchodzić rywalizacja roślin – kiedy obok mnie wrzała walka takich konkurentów jak dwa sportowe kluby. Ojciec był na mnie oburzony – a ja tak byłem rozkochany w piłce nożnej, że nie zwracałem uwagi na niczyje rady i przycinki, tylko namiętnie oddawałem się nałogowi sportu futbolowego”. Przypadek sprawił, że Kusociński zadebiutował w barwach „Sarmaty” w zawodach lekkoatletycznych. „Pewnego razu, podczas święta klubów robotniczych, urządzano bieg sztafet. [...] Stałem sobie w tłumie, z rękami w kieszeniach, jako widz. [...] Tymczasem w pewnej chwili wśród członków komitetu zrobiło się zamieszanie. Okazało się, że jeden z zawodników nie stawiał się na zawody. Po chwili poproszono mnie, abym spróbował szczęścia i zastąpił brakującego kolegę. Powiedziałem sobie – było nie było, raz kozie śmierć – no i pobiegłem”. Kusociński wypadł doskonale: wygrał bieg na 800 metrów i wystąpił w drużynie, która zwyciężyła w sztafecie 5x1000 metrów. Potem przysły kolejne sukcesy, m.in. zwycięski bieg przełajowy na 3,5 km o mistrzostwo Związku Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych w Rembertowie. W 1927 roku po raz pierwszy wyjechał jako reprezentant Polski za granicę.

Treningi w Łazienkach

W 1928 roku „Kusy” zdobył dyplom ukończenia szkoły i mógł się poświęcić karierze sportowej. Pożegnał się z „Sarmatą” i rozpoczął treningi w klubie

„Warszawianka”, gdzie został serdecznie przyjęty. Treningi pod okiem Estończyka Aleksandra Klumberga odbywały się na stadionie Agrykoli i wkrótce przyniosły efekty – mistrzostwo Polski w biegu na 5 km.

W tym samym roku „Kusy” otrzymał wezwanie do wojska. Służbę wojskową odbył w batalionie administracyjnym III kompanii, która stacjonowała na warszawskiej Pradze. „Przez pierwsze kilka dni spędzonych w koszarach czułem się dość obco. Przede wszystkim byłem sam, bez znajomych i kolegów, nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Patrząc z bliska na życie rekruta od razu doszedłem do przekonania, że ten tryb życia nie będzie mi odpowiadał. Przeklinałem na czym świat stoi, że nie wstąpiłem do podchorążówki rezerwy, kiedy chciano mnie tam przydzielić. [...] Po kilku dniach jako tako przyzwyczailem się do otoczenia”. Kusociński, mimo zmęczenia wojskowymi ćwiczeniami, brał udział w zawodach sportowych. Przed biegiem Wilanów–Warszawa zignorował zalecenia lekarza, aby nie forsował kontuzjowanego kolana, co skończyło się pobytem w szpitalu im. Józefa Piłsudskiego przy ul. Nowowiejskiej.

10 marca 1929 roku Kusociński zdał z piątą lokatą egzaminy w szkole podoficerskiej i został przydzielony do pierwszej kompanii w charakterze instruktora. „Czas schodzi mi na ciężkiej pracy, na dozorowaniu i uczeniu rekrutów [...]]. Jednocześnie staram się wszystkimi siłami o przeniesienie do innego oddziału” – pisał. Wkrótce został przeniesiony do Ośrodka Wychowania Fizycznego w Warszawie, gdzie mógł wznović treningi i ponownie brać udział w zawo- ➤



dach. Podczas trójmeczcu bałtyckiego w Rydze „Kusemu” odnowiła się kontuzja kolana. Sportowiec trafił na pięć tygodni do szpitala przy Nowowiejskiej.

1 grudnia 1931 roku Janusz Kusociński otrzymał posadę ogrodnika w Łazienkach Królewskich i przeniósł się na stałe do Warszawy. Zamieszkał na terenie parku. „W tym mieszkaniu, do którego stare konary drzew zaglądną przez okna mego pokoju, czuję się najlepiej” – zanotował. W wolnych chwilach trenował biegi przelajowe. „Teren Łazienek specjalnie nadaje się do tych biegów, gdyż posiada liczne nierówności, a nic tak nie wyrabia, jak biegi po zboczach na dobrej trasie” – wspominał. Lekkoatleta rozpoczął intensywne treningi do Igrzysk Olimpijskich w Stanach Zjednoczonych. Po zdobyciu minimum olimpijskiego wystartował na mistrzostwach świata w Antwerpii w Belgii, gdzie z wynikiem 8:18,8 zdobył złoty medal na 3 km, ustalając przy tym nowy rekord świata.

Szczęśliwa trzynastka

30 lipca 1932 roku odbyła się uroczysta inauguracja Igrzysk X Olimpiady w Los Angeles. Polskę reprezentowało dwudziestu sportowców. Janusz Kusociński przybył do Kalifornii kilkanaście dni przed polską ekipą. „Niezwykłe poczułem się uszczęśliwiony i dumny, kiedy zaraz po moim przyjeździe do wioski, wciągnięto na maszt flagę polską, na znak, że drużyna polska bierze udział w X olimpiadzie. To samo zrobiono już w samej wiosce na terenach, które zajmowały domki przeznaczone dla nas, oraz przy naszym boisku treningowym”. „Kusy” trenował, a w wolnym czasie spotykał się z Polonią i zwiedzał

miasto. Wielkie wrażenie zrobiły na nim przedmieścia Los Angeles i wytwórnie filmowe w Hollywood. Uroczystość otwarcia Igrzysk Olimpijskich wspominał z entuzjazmem. „Brak słów na określenie tego, co się tam działo. Olbrzymi, przeszło 100-tysięczny stadion, wypełniony był do ostatniego miejsca publicznością. Istna wieża Babel [...] przy dźwiękach orkiestry rozpoczęła się defilada. [...] Wreszcie przychodzi i kolej na naszych. Ubrani w granatowe marynarki, białe spodnie, prezentują się nadzwyczaj okazale. [...] Na trybunach zrywają się oklaski i krzyki: – Hallo, Poland – miesza się z okrzykami: Brawo Polska!”.

Dzień później Janusz Kusociński z czasem 30:11,4 zdobył złoty medal w biegu na 10 000 m. Przed startem otrzymał numer 364, co przyjął jako dobrą wróżbę. „Choć nie jestem przesądny to... numer bardzo szczęśliwy dla siebie, bowiem bardzo summa cyfr daje trzynastkę, którą oceniam jako pomyślną. Wszak pierwszy rekord, jaki zdobyłem w życiu przed kilku laty, odbył się pod auspicjami cyfry 13”. „Kusy” pobiegł w nowych butach, które do krwi obtarły mu stopy, przez co nie mógł już wystartować w biegu na 5 km. „Chcę uciekać jak najprędzej do szatni, ale niestety, ciągną mnie do megafonu i mikrofonu. Nogi mnie tak boją, że po prostu nie mogę spokojnie myśleć. Z trudnością znalazłszy się przed mikrofonem, wykrztusiłem kilka słów. »Jestem szczęśliwy, że mogłem swoim wynikiem przyczynić się do rozśławienia imienia Polski i do uświetnienia sportu polskiego«”.

Na dworcu w Warszawie „Kusego” witały tłumy. „Zostałem porwany na ręce. Stałem się niewolnikiem tłumu, który czynił ze mną, co tylko chciał. Musia-

łem błagać, aby mnie puszczone, gdyż ktoś mi krzyknął, że na dworcu jest moja matka. Na szczęście, choć z wielkim trudem, przedostałem się do niej, aby ją ucałować”. Ogromny sukces polskiego sportowca nie pozostał bez echa w świecie kultury i sztuki. Kazimiera Wirska skomponowała na cześć złoto-medalisty olimpijskiego utwór *Kusy: marsz sportowy* na głos i fortepian, do którego tekst napisał Walery Jastrzębiec-Rudnicki, a poeta Jerzy Kierst poświęcił mu wiersz *Los Angeles 1932: Znowu Hermes prowadzi zawodników na drugą półkulę*.

Już na okręcie wpadł mu w oko Polak, Janusz Kusociński, chociaż Herakles polecił mu Finów: Virtanena i Iso-Hollo. Nie omylił się Hermes. Wielki biegacz, miłujący kwiaty, miał wspaniałe serce i olimpijski oddech, Bieg na dziesięć tysięcy metrów wywołał zachwyt ludzi i bogów. Kusy prowadząc za sobą podwójny cień – dwóch Finów – obiega stadion, jakby to była dziecięca gonitwa naokoło klombu w Parku Łazienkowskim w Warszawie [...].

Pod koniec października 1933 roku Kusociński przeniósł się do nowego lokum – mieszkania na parterze Pałacu Myślewickiego w Łazienkach Królewskich. „Było ono bardzo przytulne, a co najważniejsze – suche” – wspominał. Gdy rok później „Kusy” leczył kontuzję, przez pałac przewinęło się wielu znamienitych gości. W tym samym czasie pisał specjalistyczne artykuły sportowe, a następnie został redaktorem naczelnym „Kuriera Sportowego”. Funkcję tę pełnił do 1934 roku. Powoli tracił nadzieję, że powróci na bieżnię. Podjął decyzję o rozpoczęciu studiów, aby w przyszłości móc uczyć nowe pokolenie sportowców. „Zdecydowałem się więc wstąpić do Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego na Bielanach. Studia w Instytucie wzbudziły we mnie prawdziwe zainteresowanie. Pilnie uczęszczałem na wszystkie wykłady. Niestety, nie mogłem brać udziału w zajęciach praktycznych ze względu na



stan nogi”. CIWF to obecnie Akademia Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego. Kusociński przyjęty został warunkowo, bo nie miał zdanej matury. „Zabrałem się więc z zapalem do pracy, aby przygotować się do egzaminów i uzyskać świadectwo dojrzałości”. Będąc wolnym słuchaczem, „Kusy” nie mógł mieszkać na terenie CIWF. Przeprowadził się więc do lokalu przy ul. Złotej, gdzie zamieszkał wraz z matką. Rok później pracował jako korespondent zagraniczny działu sportowego „Gazety Polskiej” i „Przeglądu Sportowego”. 9 marca 1936 roku przeszedł udaną operację kolana, którą na jego życzenie przeprowadził dr Henryk Julian Levittoux, lekarz wojskowy, zamordowany później w Charkowie. Po krótkiej rekonwalescencji sportowiec powrócił na studia i przyjął kierownictwo sekcji lekkoatletycznej dziewcząt w „Warszawianie”. W sierpniu 1936 roku pojechał jako doradca techniczny ekipy i korespondent „Przeglądu Sportowego” na Igrzyska Olimpijskie w Berlinie. Jego redakcyjny kolega Kazimierz Gryżewski wspominał: „Bardzo cenny był dla nas Janusz Kusociński, który, choć inwalida, został zaproszony na Igrzyska przez organizatorów i mieszkał w wiosce olimpijskiej. On miał bezpośredni kontakt z zawodnikami i spisywał swoje spostrzeżenia oraz płoteczki na małych karteczkach, które później nam dostarczał”.

W październiku 1937 roku Janusz Kusociński zdał eksternistycznie egzamin dojrzałości i został pełnoprawnym studentem w CIWF w Warszawie. Po ukończeniu studiów w 1938 roku, przez dwa lata pracował jako nauczyciel wychowania fizycznego w szkole podstawowej przy ul. Zuga 16 w Warszawie. Dziś szkoła ta nosi jego imię.

24 lipca 1938 roku Janusz Kusociński wystartował w Mistrzostwach Polski odbywających się na stadionie Wojska

Polskiego w Warszawie (obecnie stadion Legii Warszawa). W biegu na 5 km zajął drugie miejsce. 12 marca 1939 roku wziął udział w Międzynarodowych Halowych Zawodach Lekkoatletycznych w Berlinie, gdzie ustanowił dwa nowe rekordy Polski na 2 i 3 km. W czerwcu 1939 roku z powodzeniem startował na 5 km w Helsinkach i Sztokholmie. Ostatni raz stanął na bieżni 28 czerwca 1939 roku. Na stadionie Wojska Polskiego pobił rekord Polski w sztafecie 4x1,5 km.

„Prawdzie”

Na początku września 1939 roku kapral z cenzusem Janusz Kusociński zgłosił się na ochotnika wraz z płotkarzem, st. strzelcem Józefem Korolkowiczem, do służby wojskowej. Mimo że „Kusy” z powodu kontuzji kolana dostał kategorię D, a Korolkowicz kategorię C, trafili do kompanii karabinów maszynowych II batalionu 360. pułku piechoty. Początkowo „Kusy” zajął odcinek w Alejach Jeruzolimskich koło wiaduktu przy ul. Towarowej. 12 września brał udział w natarciu na Służew i lotnisko na Okęciu, a następnie bronił Fortu Czerniakowskiego przy ul. Powsińskiej 28, gdzie dwukrotnie został ranny. Mimo przestrzelonego ramienia i uda nie chciał opuścić swojego stanowiska. 25 września



Fot.: Katarzyna Dzierzbicka

ranny trafił do szpitala przy ul. Powsińskiej, a następnie został przeniesiony do mieszkania kierowniczkii punktu ratunkowo-sanitarnego – Zofii Biernackiej. 28 września, w dniu kapitulacji Warszawy, Kusocińskiego przewieziono do Szpitala Ujazdowskiego, a następnie do Szpitala Wolskiego przy ul. Płockiej 26, gdzie przeszedł kolejną operację kolana. Z rozkazu gen. Juliusza Rómmla „Kusy” został odznaczony Krzyżem Walecznych. Przy Fortcie Czerniakowskim, w miejscu, gdzie został ranny, znajduje się dziś **pałiatkowy kamień**.

Kontuzja i wprowadzony przez Niemców zakaz uprawiania sportu zmusiły lekkoatletę do znalezienia innego zatrudnienia. Kusociński rozpoczął pracę jako kelner w nowo otwartym lokalu „Pod Kogutem – Gospodzie Sportowców”. Mieścił się on przy ul. Jasnej 6 w istniejącej do dziś, choć przebudowanej po wojnie, kamienicy Stanisława i Izzydora Seydenbeuthłów. Pomysłodawcą lokalu był protektor tenisistów, Aleksander Olchowicz. Dziennikarz sportowy Kazimierz Gryżewski wspominał: „Ściany nowego lokalu zostały udekorowane fotografiami sportowymi oraz karykaturami popularnych mistrzów. Są również napisy w rodzaju tego: »Wyścig Kusego z tacą do gości«?”. Wraz z Kusocińskim „Pod Kogutem” zostali zatrudnieni inni wybitni sportowcy: Jadwiga i Zofia Jędrzejowskie, Maria Kwaśniewska i Ignacy Tłoczyński.

W drugiej połowie grudnia 1939 roku Janusz Kusociński wstąpił do podziemnej Organizacji Wojskowej „Wilki”, gdzie przybrał konspiracyjny pseudonim „Prawdzie”. Mistrz olimpijski, który zamierzał wśród sportowców zorganizować komórkę Związku Walki Zbrojnej, dostarczał gościom lokalu podziemną



Fot.: Katarzyna Dzierzbicka



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

prase, którą również sam czytał przy jednym z restauracyjnych stolików. Zdaniem Ignacego Tłoczyńskiego, Kusociński był zbyt pewny siebie i lekcewał wszelkie ostrzeżenia. Wkrótce gospoda „Pod Kogutem” została objęta ścisłą obserwacją Niemców.

26 marca 1940 roku ok. 19.00, po denuncjacji przez niemieckiego agenta Szymona Wiktorowicza, Janusz Kusociński został aresztowany przez gestapo w bramie kamienicy przy ul. Noakowskiego 16, gdzie mieszkał z matką i siostrą. „W bramie do »Kusego« doskoczyło kilku gestapowców

przebranych po cywilnemu. Dozorca, który akurat znajdował się w tym miejscu, rzucił się na pomoc. Został on kopnięty przez jednego z Niemców i stracił przytomność”

– pisał Kazimierz Gryżewski. Po aresztowaniu „Kusego” Niemcy przeszukali jego pokój. Na szczęście nie znaleźli kompromitujących dokumentów, zabrali jedynie wszystkie fotografie z Igrzysk Olimpijskich w Berlinie i maszynę do pisania. Kusociński został przewieziony do więzienia mokotowskiego przy ul. Rakowieckiej, a następnie trafił do pojedynczej celi w al. Szu-

cha. Mimo brutalnych przesłuchań nikogo nie wydał. Następnego dnia po aresztowaniu „Kusego” Niemcy zatrzymali pozostałych pracowników lokalu „Pod Kogutem”, jednak po przesłuchaniu wszyscy opuścili siedzibę gestapo. Kusociński przez dwa tygodnie przebywał w więzieniu na Pawiaku w celi nr 4 znajdującej się na oddziale żeńskim. W jego celi widziano Heinricha Himmlera.

21 czerwca Janusz Kusociński został rozstrzelany w masowej egzekucji w Palmirach, w ramach akcji AB (Außerordentliche Befriedungsaktion) – Nadzwyczajnej Akcji Pacyfikacyjnej, zakładającej wymordowanie przedstawicieli polskiej elity intelektualnej, kulturalnej i politycznej. Jak się później dowiedziała siostra sportowca, przed egzekucją „Kusy” miał powiedzieć: „Nie wiem, gdzie mnie wieziecie, może już nie powrócę”, a następnie stanął na baczność i zawołał „Niech żyje Polska!”. Siostra otrzymała w lutym 1941 roku oficjalne zawiadomienie o treści: „Brat zmarł w czerwcu 1940 roku w obozie koncentracyjnym w Warszawie”. O zbrodni w Palmirach, w której zginęło ok. 1,7 tys. osób,

przypomina wiersz Tadeusza Kubiaka *Pamięci Janusza Kusocińskiego*:

Pamiętaj – Palmiry

W sosnowym lesie – tu dobiegał do mety

*Tu go dopadła, wyprzedziła śmierć,
Nie ta śnieżysta, z dziecinnych jasełek
co otrzepuje się z świerków, z jodełek,
z gwiazd nocą jasną...*

*Ta naznaczona, napiętnowana
czarnymi krzyżami swastyk.*

Stąd już nie pobiegł ku słońcu, przetrzeni

Tu nikt nie myślał o wieńcach laurowych

gałęziach palmy, gałązkach oliwek.

*Koroną z cierni wieńczyły tu głowy
hordy wrzaskliwe.*

W 1979 roku na terenie Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie odsłonięto pomnik poświęcony Kusocińskiemu autorstwa Witolda Korskiego i Józefa Potęgi. 12 sierpnia 2009 roku Janusz Kusociński został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski za „wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za osiągnięcia sportowe w dziedzinie lekkoatletyki”. Pamiętki po wybitnym sportowcu: medale, świadectwo ukończenia szkoły podoficerskiej i dyplom olimpijski, przechowywane są w stołecznym Muzeum Sportu i Turystyki. 🇵🇱

Katarzyna Dzierzbicka – dziennikarka, licencjonowana przewodniczka po Warszawie



Fot. Katarzyna Dzierzbicka



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

Muzeum Auschwitz: od ciekawości do empatii

Katarzyna Stec

Jak potwierdzają badania, dla większości młodych Polaków to właśnie wyjazd szkolny jest pierwszą wizytą w danym muzeum miejscu pamięci. Jest to też zazwyczaj pierwsze doświadczenie z miejscami upamiętniającymi wydarzenia II wojny światowej w ogóle.

Jakie zatem wyobrażenia o Auschwitz-Birkenau Miejscu Pamięci i Muzeum mają współcześni młodzi Polacy? Jakie znaczenia ma dla nich taka wizyta i jak weryfikuje ona wcześniejsze wyobrażenia? Poszukując odpowiedzi na powyższe pytania, zaplanowałam i zrealizowałam w latach 2008–2010 badania empiryczne m.in. wśród polskich uczniów szkół gimnazjalnych (13–16 lat) oraz szkół ponadgimnazjalnych (do 21. roku życia), odwiedzających Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau. Głównym etapem badań był sondaż wśród polskiej młodzieży szkolnej, zrealizowany przy wykorzystaniu ankiety audytoryjnej w dwóch momentach: przed wizytą w muzeum i po niej. Dodatkowym elementem były wywiady z przewodnikami muzeum oraz nauczycielami, którzy towarzyszyli młodzieży podczas wizyty. Badania empiryczne dostarczyły danych do zinterpretowania tego, jak polska młodzież szkolna wyobraża sobie, przeżywa i pamięta wizytę w muzeum i miejscu pamięci Auschwitz-Birkenau.

Obowiązek moralny

Młodzi ludzie traktują tę wizytę głównie jako doświadczenie edukacyjne. Na pytanie o to, czego przede wszystkim się spodziewają po wizycie w Auschwitz-Birkenau, najczęściej wymieniają

„chęć poznania miejsca/historii/prawdy, zobaczenia na własne oczy, dowiedzenia się więcej, zrozumienia lepiej tragedii, historii, zagłady”. Młodzi ludzie zorientowani wyłącznie na wiedzę, podkreślający edukacyjny i poznawczy walor wizyty, uznający ją za szczególną lekcję historii – stanowili 23 proc. w grupie badanej młodzieży, a tych, którzy wśród innych interpretacji wymieniali także wartość wychowawczą wizyty, było niemal 40 proc.

Określenia skoncentrowane na wymiarze edukacyjnym, takie jak: „dowiedzieć się”, „poznać”, „nowe, prawdziwe, rzetelne informacje” nie były zaskakujące, młodzi ludzie bowiem zwiedzali muzeum miejsce pamięci jako uczniowie podczas wyjazdu szkolnego. Najczęściej jest to dla nich lekcja historii w terenie, co zresztą potwierdziły ich odpowiedzi na pytanie o nadrzędną funkcję muzeów miejsc pamięci, którą według nich pełnią i powinny pełnić takie instytucje. Nieco ponad połowa badanej młodzieży wśród najważniejszych współczesnych zadań Auschwitz-Birkenau wskazuje jego rolę w przekazywaniu faktów z dziejów obozu, a w dalszej kolejności w pielęgnowaniu pamięci o ofiarach (37 proc.). To właśnie takie miejsca stanowią według uczniów, zaraz po szkole, najważniejsze źródło wiedzy o II wojnie światowej.

Doświadczenie edukacyjne to nie tylko zdobycie wiedzy, lecz także możliwość obcowania z autentycznym miejscem. Wartość przebywania w nim i poznawania go była łączona najczęściej z chęcią porównania i zweryfikowania posiadanej już wiedzy, przekonania się na własne oczy, doświadczania realnej historii i możliwością skonfrontowania tego, co się udało dowiedzieć z książek. Jeden z uczestników badania podkreślał: „Te muzea i ogólnie miejsce pamięci to jest namacalna historia. Bo to, co mamy w podręcznikach, to są suche fakty. A tutaj jednak da się przyjść i namacalnie dotknąć tej historii”.

► Uroczystości 70. rocznicy wyzwolenia na terenie byłego obozu koncentracyjnego Mauthausen; 10 maja 2015 roku



► Uroczystość pod tablicą upamiętniającą polskie ofiary obozu koncentracyjnego w Ebensee; 9 maja 2015 roku

Fot. Maciej Fokis

Młodzi ludzie wymieniali wśród oczekiwań także chęć konieczności oddania hołdu, wyrażenia szacunku, spełnienia obowiązku moralnego wobec ofiar, wyrażenia wdzięczności dla rodaków. Motywacja tego typu była charakterystyczna dla około 22 proc. badanych. Na taką interpretację zwracali uwagę także przewodnicy: „W niektórych zachowaniach przejawia się [...] coś takiego jak moralny obowiązek bycia tutaj i zapalenia świeczki, pomodlenia się, położenia kamyczka. Tak jak my chodzimy na cmentarze naszych bliskich, tak jest to w jakiś tam sposób cmentarz naszego narodu, pokolenia naszych dziadków”.

Element upamiętnienia młodzież postrzega wielowymiarowo. Z jednej strony Auschwitz-Birkenau to dla nich symbol ludobójstwa, zbrodni przeciw ludzkości. Upamiętnianie w tym kontekście ma znaczenie uniwersalne – odnosi się do ofiar obozu bez precyzowania ich pochodzenia narodowego, etnicznego czy religijnego. Taka interpretacja symboliki odwiedzanego miejsca była wśród młodzieży podawana najczęściej, zarówno przed wizytą, jak i po niej (ok. 40 proc. uczestników badania).

Z drugiej strony, mając możliwość wskazania, obok dominującej, także inne konotacje z Auschwitz-Birkenau, podkreślano, że to miejsce zagłady Żydów i symbol Holokaustu. Większość polskiej młodzieży kojarzyła również Auschwitz jako symbol męczeństwa narodu polskiego podczas II wojny światowej oraz obóz koncentracyjny dla więźniów polskich.

Część młodych ludzi stwierdzała, że wizyta wzbudziła w nich m.in. empatię i szacunek dla rodaków. Chodziło głównie o przeszłe pokolenia Polaków – poległych i tragicznie zmarłych. Towarzyszył temu zazwyczaj uproszczony obraz wojny – jako okresu bohaterskiej walki i męczeńskiej śmierci Polaków, co

Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau to najliczniej odwiedzane polskie muzeum miejsce pamięci wśród wszystkich utworzonych na terenach byłych obozów koncentracyjnych i zagłady. W 2007 roku liczba zwiedzających po raz pierwszy przekroczyła 1 mln osób, a w 2014 roku wyniosła już do około 1,5 mln. Wśród odwiedzających to miejsce jedną z najliczniejszych grup jest polska młodzież szkolna.

potwierdzają przykładowe wypowiedzi uczniów: „Wizyta w tym miejscu [...] nauczyła mnie, żebyśmy byli pełni szacunku dla bohaterów narodowych”. Albo: „Mogłem oddać hołd pomordowanym przodkom naszego kraju, bohaterom i ofiarom wojny”.

Dla niektórych odwiedzane miejsce jest przede wszystkim atrakcją turystyczną, którą warto i należy zobaczyć, i to przekonanie stanowi dla nich główną motywację do wizyty (17 proc. badanych). Chcą przeżyć coś ciekawego, nadzwyczajnego. Jeden z przewodników podsumowuje: „Myślę, że ciekawość jednak też gra dużą rolę. Może jest to troszkę trywialnie powiedziane, ale młodego człowieka szokuje wszystko, co jest straszne, okropne, niesamowite. I ja myślę, że taka czysta ciekawość – no, [na przykład] jak wygląda ten piec krematoryjny. Jest coś takiego, że to miejsce samo w sobie szokuje i ta ciekawość jest: no, ja też tam byłem. Czyli możliwość [...] potwierdzenia, że to się zna, też jest ważna”.

Warto jednak podkreślić, że emocje związane z wizytą w muzeach miejscach pamięci, utworzonych na terenach poobozowych, są naturalną konsekwencją przekazywanych w takich miejscach wiadomości, także w wymiarze symbolicznym. Sama wizyta weryfikuje turystyczne oczekiwania zwiedzających. Spośród osób, które wcześniej podkreślały przede wszystkim atrakcyjność turystyczną miejsca, po wizycie większość wskazywała głównie na jej wymiar edukacyjny i emocjonalny.

Buty, włosy, zapach

Po upływie czasu w pamięci pozostają głównie wrażenia i emocje: zapamiętane obiekty, obrazy, zapachy czy dźwięki. Około pół roku po wizycie badani mówili: „Najbardziej utkwiły mi w pamięci włosy i buty ofiar Holokaustu, gdyż są one tak realne i prawdziwe, że ich widok przyprawia mnie o dreszcze”. Albo: „Pamiętam autentyczne przedmioty, które należały do osób przetrzymywanych w tym obozie”. Inna osoba: „Najbardziej zapamiętałam zapach tam panujący”.

Wizyta w muzeum miejscu pamięci niewątpliwie wywołuje emocje, które utrzymują się jakiś czas po zwiedzaniu i stają się wraz ze zdobytą wiedzą podstawą do refleksji o znaczeniu pamięci o przeszłości, przeszłych pokoleniach, o historii i jej wartości dla młodych ludzi. Obcowanie, choćby symboliczne, ze śmiercią, cierpieniem, szczególnie w ekstremalnych warunkach obozów koncentracyjnych i zagłady, wzbudza emocje, takie jak lęk czy niepokój, ale pośrednio też pobudza do refleksji.

Wizyta w Auschwitz-Birkenau w jakimś stopniu kształtuje uczucia jako świadome interpretacje emocji, uwrażliwia na problematykę śmierci, wywołuje empatię wobec drugiego człowieka i pobudza do refleksji nad systemem wartości. Ponadto wzmacnia postrzeganie muzeów miejsc pamięci zgodnie z ich zakładanymi funkcjami: edukacyjną i upamiętniającą, a redukuje interpretację tych miejsc jako atrakcji turystycznych. Jest też dla młodych doświadczeniem potwierdzającym prawdziwość historii i zachęca do jej upamiętniania. 🌸

dr Katarzyna Stec – socjolog, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, zajmuje się badaniem odbioru muzeów miejsc pamięci wśród polskiej młodzieży

Lektura obowiązkowa

Autobiografia Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, a właściwie wywiad rzeka Piotra Skwiecińskiego z nimi i ich córką Agnieszką, to lektura obowiązkowa nie tylko dla osób zainteresowanych naszą historią. Lektura pasjonująca, choć momentami bardzo gorzka.

Zofii i Zbigniewa Romaszewskich nie trzeba przedstawiać. W okresie PRL to było małżeństwo-instytucja. Ważni działacze Komitetu Obrony Robotników, legalnej i podziemnej Solidarności, pomysłodawcy i organizatorzy podziemnego Radia „Solidarność”. Można powiedzieć, że specjaliści w dziedzinie praworządności i obrony prześladowanych (nie tylko zresztą z przyczyn politycznych). Mimo że właściwie zawsze stanowili jedność, to w wolnej Polsce ich losy potoczyły się nieco inaczej – Zbigniew był przez ponad dwadzieścia lat senatorem, a od 2011 roku członkiem Trybunału Stanu; Zofia przez kilka lat (1989–1995) kierowała Biurem Interwencji Kancelarii Senatu, a potem zajmowała się działalnością społeczną.


Bardzo ciekawy wywiad z nimi i ich córką Agnieszką Romaszewską-Guzy (w PRL działaczką Niezależnego Zrzeszenia Studentów, dzisiaj dyrektor TV Bielsat – telewizji satelitarnej nadającej program w języku białoruskim) pozwala lepiej poznać biografie pary ludzi bardzo zasłużonych dla wolnej Polski. Pozwala także zrozumieć ich dzisiejsze wybory, w tym te tak kwestionowane z różnych pozycji, jak z jednej strony zaangażowanie w obronę Piotra Staruchowicza „Starucha” – jednego z liderów kiboli Legii Warszawa, a z drugiej polityka z konkurencyjnego obozu – Platformy Obywatelskiej – senatora Krzysztofa Piesiewicza. W obu przypadkach i zresztą nie tylko tych (Romaszewscy bronili również ludzi, o których, delikatnie rzecz ujmując, nie mieli najlepszej opinii, i których poglądy były im co najmniej obce) płacili za to konkretną cenę. W tym pierwszym były to oskarżenia, że z politycznych powodów bronią stadionowego bandyty, w drugim zaś sankcje ze strony władz Prawa i Sprawiedliwości za nieposłuszeństwo wobec wytycznych władz klubu (Romaszewski niebędący członkiem PiS, głosował przeciwko uchyleniu immunitetu swego kolegi z PO). Okazuje się bowiem, że Romaszewscy po prostu się nie zmienili – wartości, zasady, które były dla nich najważniejsze przed rokiem 1989, również później pozostały najważniejsze. I to niezależnie od ceny, którą przyszło za nie zapłacić czy to w PRL, czy w wolnej Polsce. W tym kontekście bardzo pouczająca jest lektura fragmentu o tym, jak Zbigniew Romaszewski nie został wybrany na prezesa Najwyższej Izby Kontroli, mimo że nikt nie kwestionował jego kompetencji.

Oczywiście omawiana książka – o czym nie można zapominać – jest subiektywnym spojrzeniem Romaszewskich na przeszłość. I nie ze wszystkimi ich ocenami wydarzeń w naszym kraju można się zgodzić. Niemniej jest to niezwykle ważna i cenna relacja świadków i uczestników wydarzeń, która dalece wykracza poza biografie bo-

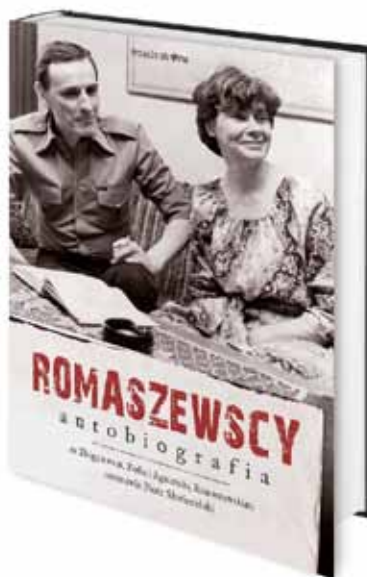
haterów. Ważna jest opowieść ich córki, z oczywistych względów pozostającej w cieniu. Ukazuje ona działalność niełatwą przecież (ze względu chociażby na represje władz uderzające nie tylko w rodzinę Romaszewskich, ale też w bliskich im ludzi) w okresie PRL widzianej oczami dziecka czy później – dorastającej dziewczyny.

Dzięki tej nietypowej biografii nie tylko poznamy korzenie rodzinne czy losy Zofii i Zbigniewa Romaszewskich w okresie II wojny światowej, smutnych i trudnych czasach PRL i w demokratycznej Polsce po 1989 roku, lecz także możemy prześledzić kulisy (niekiedy zaskakujące, czasem wręcz szokujące) wielu wydarzeń z tego czasu. Przede wszystkim zaś to niezwykle ciekawa, momentami wręcz pasjonująca lektura – nie tylko dla specjalisty zajmującego się najnowszą historią naszego kraju, ale po prostu dla wszystkich zainteresowanych naszą przeszłością. Tym bardziej że zawiera ona diagnozę (momentami bardzo gorzką) współczesnej Polski i Polaków, a także wiele – moim zdaniem – cennych uwag i spostrzeżeń. Często gorzkich i trudnych do przyjęcia, ale to efekt szczerości Zofii i Zbigniewa Romaszewskich. Szczerości, którą wszyscy ponoć tak lubimy, a która ma nieraz konkretną, wysoką cenę. Bo kolejną zaletą wywiadu rzeki z nimi jest właśnie otwartość, choć czasem może razić towarzysząca jej ostrość sądów. Przy czym jest to raczej, poza kilkoma wyjątkami, ostrość w ocenie zjawisk, a nie konkretnych ludzi. W tym miejscu warto zresztą zacytować wypowiedź Zofii Romaszewskiej: „Pewien kolega powiedział, że boi się bardziej niż milicji i dlatego gdzie [pomagać robotnikom represjonowanym po czerwcu 1976 roku] do Radomia”. Niekoniecznie to tylko anegdota, bo wiele osób bało się ostrej w sądach działaczki opozycji.

Należy przy tym pochwalić Piotra Skwiecińskiego, który do rozmowy ze swymi bohaterami był bardzo dobrze przygotowany, na czym wywiad przez niego przeprowadzony tylko skorzystał. Ponadto – nie wiem czy to pomysł, zapewne wydawcy – książka zawiera liczne notki biograficzne, informacje o omawianych wydarzeniach i strukturach, co powoduje, że dla laika nie najlepiej zorientowanego w naszej historii jej lektura staje się zdecydowanie łatwiejsza. Czytelnik nie musi gdzie indziej sprawdzać np. tego, kim był Jan Narożniak, czego dotyczyła sprawa milicjanta Karosa albo czym był salon Walendowskich.

To wszystko sprawia, że tę niezwykle biografię czyta się po prostu dobrze. I pozostaje po niej tylko żal, że takich ludzi jak Zofia i Zbigniew Romaszewscy jest we współczesnej Polsce coraz mniej. Żal, że dzisiaj dla większości z nas najważniejsze są zupełnie inne wartości niż dla nich. Bo książka Skwiecińskiego jest też świadectwem tego, że pewne pokolenie, pewna wizja zaangażowania obywatelskiego po prostu się stają przeszłością...

Grzegorz Majchrzak



Zbigniew Romaszewski, Zofia Romaszewska, Agnieszka Romaszewska-Guzy, Piotr Skwieciński, *Romaszewscy. Autobiografia*, Wydawnictwo Trzecia Strona, Warszawa 2014, 544 s.

Nie do pomyślenia

8 maja 1945 roku bezwarunkowa kapitulacja III Rzeszy Niemieckiej zakończyła II wojnę światową w Europie. Dla większości mieszkańców kontynentu zwycięstwo aliantów oznaczało wolność i pokój. Niestety jednak nie dla wszystkich. Dla obywateli tych państw, których terytoria w latach 1944–1945 zostały zajęte przez Armię Czerwoną w jej pościgu za Wehrmachtem, zwycięstwo to miało gorzki smak. Nie oznaczało bowiem odzyskania prawdziwej wolności.

Informacje o tym, jak w praktyce wygląda sowiecka polityka na wyzwolonych spod okupacji niemieckiej terytoriach Europy Środkowej i Wschodniej, począwszy od lata 1944 roku, coraz częściej docierały do przywódców zachodniego świata: prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Delano Roosevelta i premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla. O ile ten pierwszy, bardzo już wówczas schorowany, koncentrował się przede wszystkim na sprawach ogólnoswiatowych, takich jak pokonanie Japonii i ustanowienie Organizacji Narodów Zjednoczonych, o tyle ten drugi był coraz bardziej zaniepokojony postawą dyktatora ZSRR Józefa Stalina. Zwłaszcza odkąd wiosną 1945 roku ostatecznie się okazało, że nie zamierza on przestrzegać ustaleń z konferencji wielkiej trójki w Teheranie i Jaltcie, a jego polityka faktów dokonanych coraz bardziej zagraża interesom Wielkiej Brytanii. Nie bez znaczenia była także świadomość stale wzrastającej potęgi Armii Czerwonej, która wkrótce po ostatecznym rozgromieniu Wehrmachtu miała stanąć naprzeciw znacznie od niej mniej licznych sił alianckich. W tej sytuacji premier Churchill wydał Połączonemu Sztabowi Planowania polecenie przygotowania planu prewencyjnego ataku na Związek Sowiecki, który otrzymał bardzo adekwatny kryptonim: *Unthinkable* (Nie do pomyślenia). I właśnie okolicznościom jego powstania, samemu planowi oraz jego późniejszemu losom, jest poświęcona książka brytyjskiego historyka Jonathana Walkera *Trzecia wojna światowa*, z polskim podtytułem: *Tajny plan wyrwania Polski z rąk Stalina*.

Podtytuł książki sugeruje, jakoby podstawowym celem operacji było przywrócenie Polsce pełnej wolności, jednakże w samym planie jest wyraźnie napisane, że jej cel to: „narzucenie Rosji woli Stanów Zjednoczonych i Imperium Brytyjskiego”. Oczywiście, gdyby się to udało, miało to oznaczać również „wyrwanie Polski z rąk Stalina”, choć byłoby to raczej rezultatem powodzenia operacji, a nie celem samym w sobie. Warto także zwrócić uwagę na to, że ewentualne rozpoczęcie III wojny światowej w „obronie Polski” (tak jak II wojny) miałyby dobry wydźwięk propagandowy, jednakże tak jak w przypadku podjęcia decyzji o wypowiedzeniu 3 września 1939 roku wojny Niemcom, pomoc Polsce byłaby tylko pretekstem. Zarówno Chamberlain, jak i Churchill, w swoich decyzjach kierowali się przede wszystkim

kim interesem Imperium Brytyjskiego, nawet jeśli oficjalnie głosili co innego.

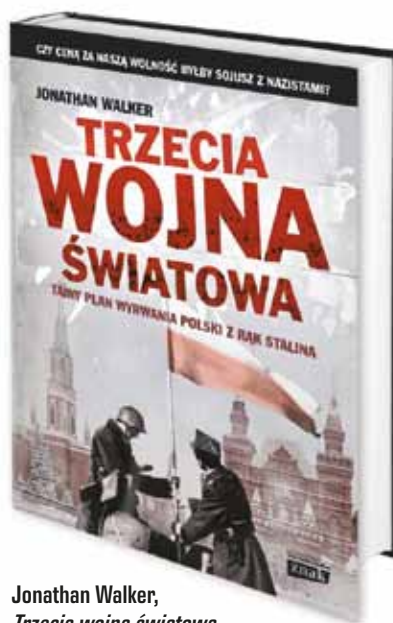
Główną osią książki jest opisanie, a raczej streszczenie na podstawie dokumentów zachowanych w Brytyjskim Archiwum Państwowym w Londynie samego planu *Unthinkable*. Trochę szkoda, że autor się nie pokusił o próbę własnej oceny szans samej operacji, a streścił tylko dostępne w tej sprawie oficjalne dokumenty. Bynajmniej nie chodziłoby o „historię alternatywną”, ale jedynie o rzetelną analizę na podstawie dostępnych dokumentów i literatury przedmiotu. Dlatego książka sprawia trochę wrażenie pójścia na łatwiznę. Co prawda, są ukazane kolejne powojenne miesiące, jednakże na podstawie lektury bardzo trudno stwierdzić, co przesądziło o niezrealizowaniu planu *Unthinkable* i czy w jakimkolwiek momencie był on w ogóle brany pod uwagę jako alternatywa dla prowadzonej faktycznie w dalszym ciągu polityki ustępstw wobec ZSRR.

Z perspektywy polskiego czytelnika najciekawsze powinny być te fragmenty książki, które bezpośrednio dotyczą spraw polskich i ewentualnego udziału Polaków operacji *Unthinkable*. O ile jednak to drugie zagadnienie w opracowaniu jest dosyć dokładnie opisane (na podstawie samego planu operacji), o tyle omówienie tego pierwszego wyraźnie kuleje. Jest to zaskakujące dlatego, że sprawami polskimi Jonathan Walker się zajął już kilka lat wcześniej (w 2010 roku opublikował pracę *Polska osamotniona: dlaczego wielka Brytania zdradziła swojego najwierniejszego sojusznika*), a także, jak wskazują na to przypisy, publikację książki poprzedził korespondencją z kilkoma polskimi historykami. Także polskie wydanie, jakby się mogło здаwać, zostało starannie przygotowane (konsultacja merytoryczna), a jednak w sprawach polskich w książce widać zaskakująco wiele usterek. Od błędnego rozwinięcia akronimu PKWN jako „Państwowy (sic!) Komitet Wyzwolenia Narodowego” po bardzo skrótowe, a przez to pełne błędów, opisanie polskiego podziemia po 1945 roku.

Dużą zaletą książki są zamieszczone w niej mapy ukazujące dwa warianty operacji *Unthinkable*. Niestety, tego samego nie można powiedzieć o wkładce ze zdjęciami wewnątrz książki. Ich dobór sprawia wrażenie przypadkowego i totalnie chaotycznego, mającego często bardzo niewiele wspólnego z treścią samej książki.

Na zakończenie pozwolę sobie zacytować jednego z pracowników brytyjskiego MSZ, który na wieść o planie *Unthinkable* stwierdził: „Jeśli Kreml dowie się, iż Wielka Brytania rozważa wojnę z ZSRR, będzie to najpewniejszy sposób na jej rozpętanie”. Patrząc z perspektywy siedemdziesięciu lat, wypada stwierdzić, że mimo wszystko dobrze, iż do tego nie doszło. A z samą książką, pomimo licznych jej mankamentów, warto się zapoznać, aby uświadomić sobie, że już na starcie zimna wojna mogła się przekształcić w gorącą. ❄️

Maciej Żuczkowski



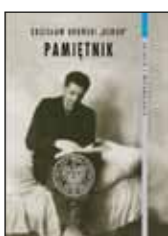
Jonathan Walker,
Trzecia wojna światowa.
Tajny plan wyrwania Polski z rąk Stalina.
Znak, Kraków 2014, 280 s.



■ *Archeologia totalitaryzmu. Ślady represji 1939–1956*, red. O. Ławrynowicz, J. Żelazko, IPN, Łódź 2015, 457 s.



■ Grzegorz Bębniak, *Sokoły kapitana Ebbinghausa. Sonderformation Ebbinghaus w działaniach wojennych na Górnym Śląsku w 1939 r.*, IPN, Wydawnictwo LIBRON, Katowice – Kraków 2014, 567 s.



■ Zdzisław Broński „Juskok”, *Pamiętnik (wrzesień 1939 – maj 1949)*, wstęp, red. naukowa, oprac. dokumentów S. Polepszak, edycja tekstu A. Filippek, S. Polepszak, M. Sobieraj, wyd. 2, IPN, Lublin – Warszawa 2015, 383 s.



■ *Doktor Zbigniew Solak (1953–2004) a wzajemne poznanie Polski i Litwy. Życie i problematyka badawcza krakowskiego uczonego*, red. S. Gąsiorowski, IH PAN, IPN, Warszawa – Kraków 2014, 214 s.



■ Monika Litwińska, *WiP kontra PRL. Ruch Wolność i Pokój 1985–1989*, IPN, Kraków 2015, 602 s.



■ Małgorzata Madej, *SB uprzejmie donosi... Służba Bezpieczeństwa jako filtr zasilerii informacyjnych systemu politycznego PRL w latach 1956–1970. Przykład województwa wrocławskiego*,

IPN, Wrocław 2014, 189 s.



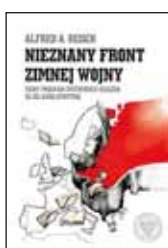
■ Mieczysław Marcinkowski, *Wbrew losowi. Z partyzantki i tułaczki 1939–1945*, oprac. G. Ostasz, M. Nalepa, IPN, Politechnika Rzeszowska im. I. Łukasiewicza, Uniwersytet Rzeszowski, Rzeszów 2014, 376 s.



■ *Oskar Halecki i jego wizja Europy*, red. M. Dąbrowska, t. 3, IPN, Uniwersytet Łódzki, Warszawa – Łódź 2014, 423 s.



■ *Polskie uczelnie w latach osiemdziesiątych. Studia*, red. T. Gąsowski, IPN, Warszawa 2015, 341 s.



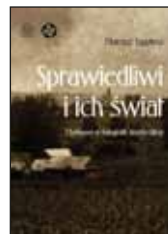
■ Alfred A. Reisch, *Nieznany front zimnej wojny. Tajny program dystrybucji książek za żelazną kurtyną*, red. M. Choma-Jusińska, IPN, Warszawa 2015, 568 s.



■ Bartłomiej Różycki, *Polska Ludowa wobec Hiszpanii frankistowskiej i hiszpańskiej transformacji ustrojowej (1945–1977)*, IPN, Warszawa 2015, 462 s. + 16 s. wkł. zdj.



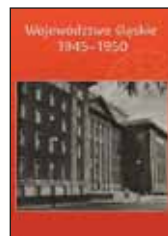
■ *Rzeczpospolita wolnych ludzi. Janusz Kurtyka w mediach – wybór wywiadów, artykułów, oświadczeń z lat 2000–2010*, wybór i oprac. A. Arseniuk, F. Musiał, IPN, Warszawa 2015, 645 s.



■ Mateusz Szpytma, *Sprawiedliwi i ich świat. Markowa w fotografii Józefa Ulmy*, wyd. 2, IPN, Instytut Studiów Strategicznych, Kraków 2015, 156 s.



■ *Tragedia w cieniu „wyzwolenia”. Górny Śląsk w 1945 roku. Materiały edukacyjne*, IPN, Katowice 2015, 80 s.



■ *Województwo śląskie 1945–1950. Zarys dziejów politycznych*, red. A. Dziurok, R. Kaczmarek, wyd. 2, IPN, Katowice 2014, 654 s.



■ *Wojsko w Polsce „ludowej”. Studia i materiały*, IPN, red. R. Klementowski, J. Nowosielska-Sobel, P. Piotrowski, G. Strauchold, IPN, Wrocław 2014, 310 s.



■ Mariusz Zajączkowski, *Ukraińskie podziemie na Lubelszczyźnie w okresie okupacji niemieckiej 1939–1944*, IPN, ISP PAN, Lublin – Warszawa 2015, 504 s.



■ Przemysław Zwiernik, *Prasa podziemna opozycji politycznej w Poznaniu*, INH UKSW, IPN, Warszawa – Poznań 2014, 502 s.

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25,
00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05
i w księgarni IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa,
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79.

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;
22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres IPN
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.poczytaj.pl

Nowa gra
planszowa IPN



W OBRONIE
LWOWA



Rok 1920

to nie tylko Bitwa Warszawska

16 kontra **17** 

**Niezwykłe starcie polskiego lotnictwa
z bolszewicką kawalerią**

PREMIERA

Małopolski Piknik Lotniczy
27–28 czerwca 2015 (sobota-niedziela)
Kraków, Muzeum Lotnictwa Polskiego

Partner
premiery:



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Patron medialny:

pamięć.pl



pamiec.pl/gra7



Gra „7” do nabycia podczas Pikniku,
w punktach sprzedaży IPN
oraz w dobrych sklepach z grami planszowymi.